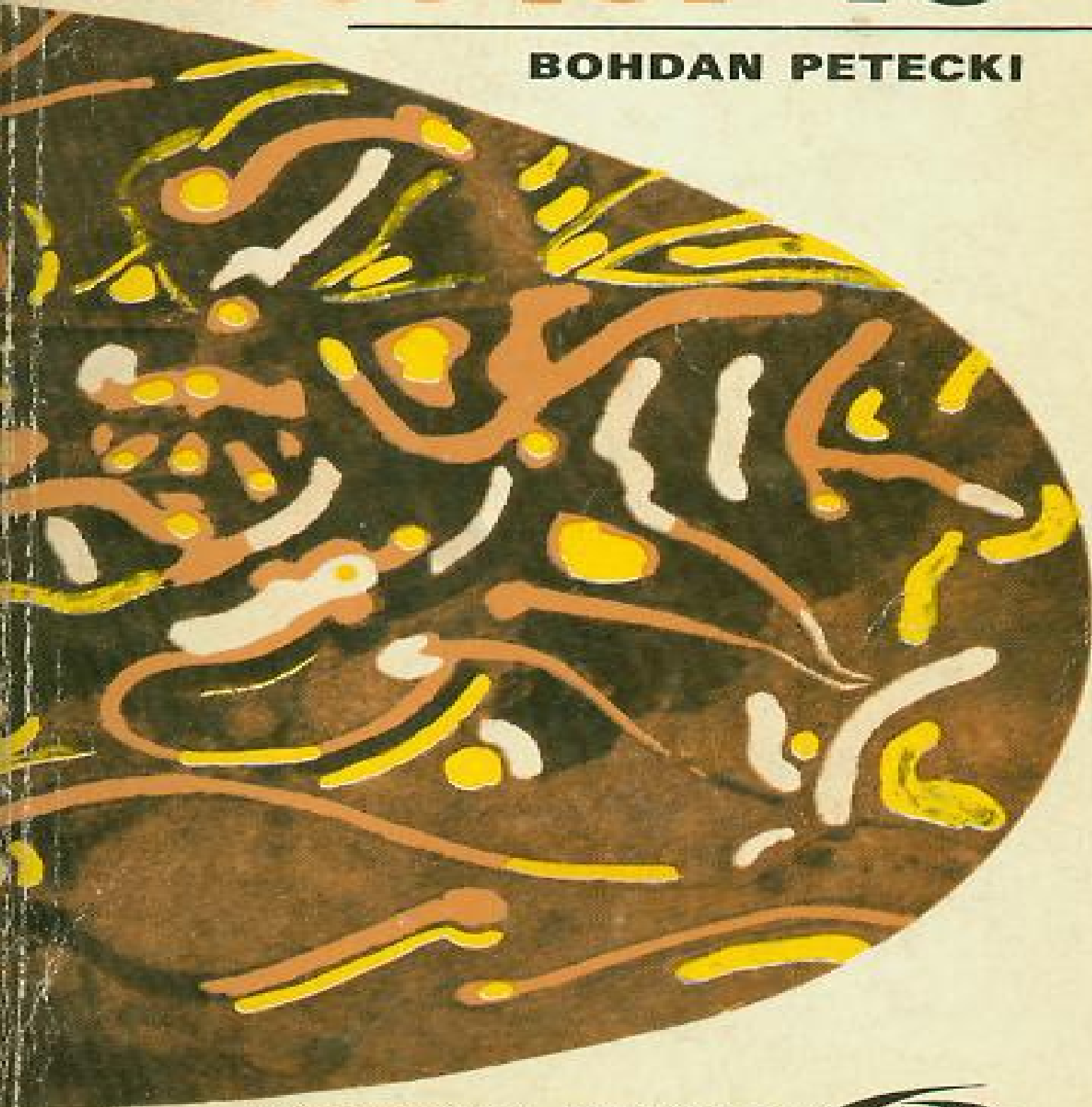


messier 13

BOHDAN PETECKI



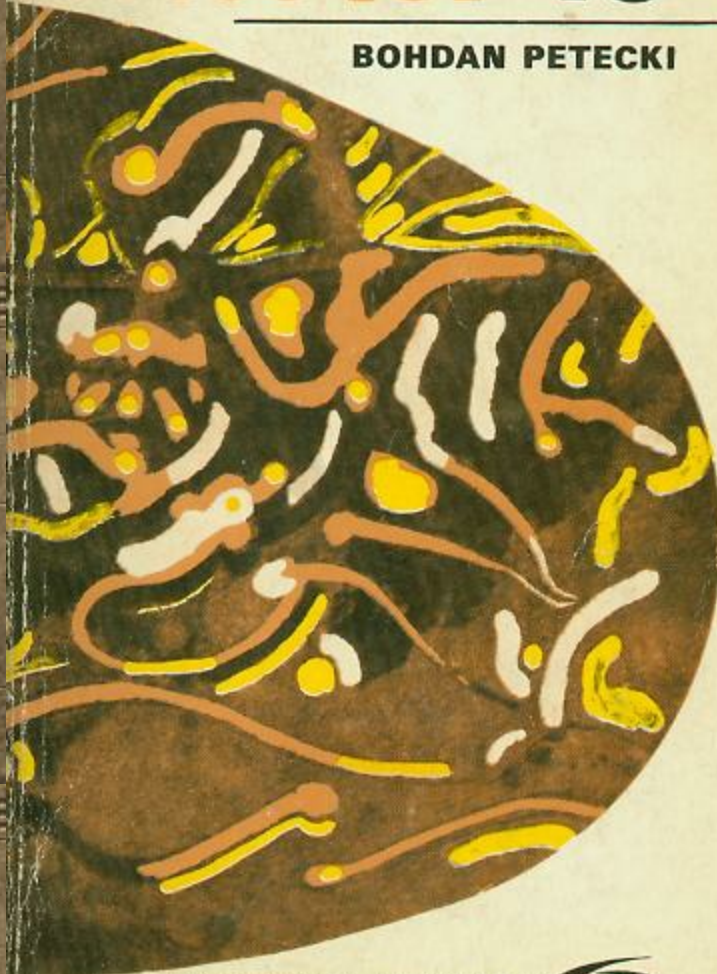
FANTASTYKA - PRZYGODA



**Dane książki,
informacje**

messier 13

BOHDAN PETECKI



FANTASTYKA · PRZYGODA



Wydawnictwo: „Iskry”

Rok wydania: 1977

Wydanie: 1

Seria: „Fantastyka-Przygoda”

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne

Redaktor: Danuta Łukawska

Redaktor techniczny: Paweł Hołozubiec

Korektor: Jolanta Rososińska

Opracowanie graficzne: Kazimierz Hałajkiewicz

Format: 11x17 cm

Stron: 260

Bohdan Petecki, ur. w 1931 r. w Krakowie. Z wykształcenia orientalista, z zawodu dziennikarz. Debiutował w 1971 r. powieścią fantastyczno naukową pt. „*W połowie drogi*”. W latach następnych wydał powieści wszystkie związane z tematyką SF:

1. Bal na Pięciu Księżycach
2. Kogga z Czarnego Słońca
3. Królowa Kosmosu
4. Ludzie z gwiazdy Feriego
5. Messier 13
6. Operacja Wieczność
7. Pierwszy Ziemianin
8. Prosto w gwiazdy
9. Rubin przerywa milczenie
10. Sola z nieba północnego
11. Strefy zerowe
12. Tylko cisza
13. Tu Aluda z Planety Trzeciej...
14. Tysiąc i jeden światów
15. Wiatr od Słońca
16. W połowie drogi
17. X-1, uwolnij gwiazdy



Treść książki

Nie miałem pojęcia, jak trafiłem w to niesamowite miejsce, na zastanawianie się nie pozostało mi jednak bodaj ułamka sekundy. Jaskrawe chmury dymu, mięsiste i ciężkie, w nagłych wybuchach podobne do płonącej plazmy, otaczały mnie ze wszystkich stron. Nie widziałem drogi, którą przyszedłem, nie było jej już, czułem tylko ognistą otchłań ziejącą za załomem skały. Grube, próżniowe buty nie chroniły moich stóp przed żarem. Jeśli natychmiast nie trafię na półkę, a raczej nikłą szczerbę w bazaltowej ścianie krateru, która sprowadziła mnie na to dno piekła, będę mógł przestać się śpieszyć.

Raptem dym zaczął rzednąć. Chmury zawirowały i utworzyły na wprost mnie niewielkie, koliste okno. Ujrzałem rozległą płytę, jakby pogorzelnisko pełgające pojedynczymi płomykami. Dym po obu stronach przybrał barwę jasnopomarańczową, rozognił się, przyszło mi na myśl, że tuż obok wschodzi przerażające, bliskie słońce.

Wtedy ujrzałem Annę. Stała na krawędzi owego pogorzelniska z twarzą zwróconą w moją stronę. Rozkrzyżowała ramiona, jak dzieci bawiące się w ptaki. Nie mogłem widzieć jej oczu ani ust, oślepiiony blaskiem rozpoznawałem zaledwie zarys jej głowy, przysiągłbym jednak, że się uśmiecha. W tym samym momencie poczułem w gardle gryzący smak wulkanicznych wyziewów. Pomyślałem, że w skafandrze powstała jakaś szczelina. Ale to nie miało już znaczenia. Odwróciła głowę i wtedy spostrzegłem, że nie jest sama. Kilka metrów za nią widniała drobna sylwetka mojej matki, a kiedy się w nią wpatrzyłem, tuż za nią wyrosła postać ojca. Równocześnie z nim pojawił się Rud, w zwykłym treningowym dresie, niedorzecznym w tym przeklętym miejscu. Ostatni raz byliśmy w klubie... zaraz, ile to już lat?... Nonsens. Cóż za nonsens. Przecież... Anna poruszyła się. Zrobiła krok w moją stronę i skinęła ręką. Napiąłem mięśnie do bólu, próbując oderwać stopy od skały. Na próżno. Otworzyłem usta, żeby zawołać i w tym właśnie momencie płonąca płyta pękła jak cienka warstwa szkła. Tuż przede mną otwarła się przepaść, trysnął płomień, a z nim rozpalone strzępy skorupy globu, który z całą pewnością nie mógł być Ziemią. Kiedy po chwili któraś z gwałtowniejszych erupcji przepędziła na mgnienie zwały dymu, Anny już nie było. Gdybym zrobił ten krok w jej stronę...

Nigdy się nie dowiem, czy chciała mnie ostrzec, czy też przyzywała mnie do siebie tam, gdzie była tylko niezgłębiona, ognista czeluść. Usłyszałem dźwięk, który pogrążył mnie w nagłej ciemności. Krater, dym, płomień, wszystko to znikło jak zdmuchnięte. Jakieś odległe, śpiewne nawoływanie. Zaczerpnąłem bezwiednie powietrza i nie bez pewnego wysiłku otworzyłem oczy.

Sny. Nawiedzają mnie sny. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Teraz, kiedy śpiąc czy czuwając, w działaniu i najgorszym ze wszystkiego oczekiwaniu muszę panować nad każdym moim gestem, słowem, każdym uczuciem. Kiedy nie, wolno mi dopuszczać do siebie załączka jakiegokolwiek myśli, nie przesączonej uprzednio przez filtr zakodowanych w mej pamięci informacji, skupionych i uporządkowanych tak, aby służyły jednemu celowi. W razie potrzeby moja pamięć może, a nawet powinna, uciec się do pomocy sprzężonej z nią aparatury. Ale w tej aparaturze nie ma danych, dotyczących mojej przeszłości. Nie ma wzmianki o katastrofie lotniczej, która w ułamku sekundy pozostawiła mnie samego na świecie. Nie ma myśli, które mnie nachodziły, kiedy czekając na dworcu, skąd mieliśmy wszyscy razem pojechać na urlop, ujrzałem daleki błysk eksplozji i ohydny, tępy grzmot, w który natychmiast wmieszały się syreny pogotowia. O ratunku nie mogło być mowy i wiedziałem o tym na długo przedtem, zanim podeszli do mnie pracownicy linii lotniczej, smutni i zakłopotani, by poprosić mnie „na rozmowę” do gabinetu ich szefa. Nie poszedłem tam wtedy i nie poszedłem także na symboliczny pogrzeb, jaki z wielką pieczołowitością zorganizowało miejscowe koło pilotów. Symboliczny, oczywiście, bo ciała

ofiar...

Dosyć. Inaczej okaże się, że wątpliwości Bessa, kiedy przyszedłem do niego prosić o przeniesienie do grupy operacyjnej, nie były tak bezsensowne, jak wtedy myślałem. Niczego, rzecz jasna, nie powiedział wprost. Jednak tak długo kluczył, aż w końcu sam spytałem, czy przedstawi mój wniosek Centrali, czy też boi się, że chcę przejść do „Trójki” pod wpływem chwilowego załamania, spowodowanego osobistymi przejściami, i woli nie mieć z tym nic wspólnego. Nie czekając na odpowiedź, z którą się zresztą nie kwapił, zapytałem jeszcze, czy jego zdaniem przesłanki mojej decyzji będą mieć jakiegokolwiek znaczenie, skoro już znajdę się w grupie operacyjnej i otrzymam konkretne zadanie. Przemilczał i to. Delikatność nie była cechą, która go wyróżniała wśród pozostałych funkcjonariuszy SAO. Żaden z nas nie był delikatny. Taka praca.

Na zakończenie naszej pierwszej rozmowy powiedziałem, że wrócę do niego za tydzień i nie żegnając się wyszedłem. Może to poskutkowało, a może go jednak przekonałem, bo trzy dni później dostałem wezwanie. Następnego ranka zlikwidowałem swoje sprawy w biurze sztabu Słonecznej Agencji Obrony i przenieśliśmy się na poligon u południowych podnóży Atlasu. Tam z teoretyka, opracowującego zbiorcze dane, sprawdzającego sprawozdania i dorabiającego od czasu do czasu ideologię do działalności SAO, w czasie kolejnych kampanii prasowych inspirowanych przez naukowców, przeobraziłem się w praktyka. Zostałem agentem, jednym z tych, którzy dotychczas stanowili dla mnie bezimienną rzeszę funkcjonariuszy, rozsianych po niezliczonych bazach i stacjach pozaziemskich, a kojarzących mi się jedynie z sygnaturą informacji, wnoszonych w przystawki pamięciowe sekcyjnych komputerów i zapisywanych po selekcji w centralnym archiwum.

Nie byłem nowicjuszem. Oszczędzono mi testów socjologów, psychologów i specjalistów od procesów przystosowawczych. Przeszedłem zaledwie skrócony kurs taktyki i dwa staże, na Ganimedzie oraz w laboratorium galaktycznym Spi-11, tym samym, które czterdzieści lat temu jako pierwsze odebrało sygnały płynące z kierunku skupiska Messier 13. A teraz leciałem już w stronę gwiazd, w stronę tej trzynastki z katalogu średniowiecznego astronoma, autora pierwszego rejestru obiektów mgławicowych. Cel mojej podróży nie był jednak aż tak bardzo odległy. Na skraju sąsiedniej galaktyki czekała na mnie czwarta planeta Millsa, słońca niezbyt różniącego się od naszego, nazwana „Petty” na cześć jej odkrywców: Peterssena i Tytkina, i od kilkunastu lat goszcząca uczonych z Ziemi. Uczonych, a także takich jak ja. Chociaż ci ostatni przebywali nie na samej planecie, tylko na jednym z jej satelitów.

Dźwięk, który przepędził dręczące mnie sny i skłonił do otwarcia oczu, trwał nadal. Był to jakby cichy śpiew jednej napiętej struny. Upłynęło jeszcze kilka sekund, zanim zrozumiałem, co ten dźwięk oznacza. Statek wychodził z czarnego korytarza czasowego. Wracaliśmy do świata naszych niedoskonałych zmysłów, nawet jeśli był to świat próżni.

Powinienem teraz położyć się na wznak i leżeć bez ruchu, czekając, aż ucichnie ostrzegawczy sygnał. Cóż, kiedy od kilku godzin nie robiłem niczego innego. Spałem, zamiast czekać do pokładowej nocy. Więc teraz, na odmianę, postanowiłem wstać.

Od trzystu bez mała lat wiedziano o istnieniu w przestrzeni superwielkich pól grawitacyjnych, które początkowo kojarzyły się astronomom jedynie z tak zwanymi Czarnymi Dziurami. Kiedy dwa wieki temu Vivien ogłosił swoją teorię, ostatecznie zamykającą spekulacje na temat Einsteina w ten sposób, że nowy dział matematyki wchłonął po prostu całą geometrodynamikę z jej ultrateorią względności jako pewien szczególny przypadek, stało się jasne, że zjawiska towarzyszące owym polom umożliwią ludziom podróżowanie przez galaktyki z szybkością

teoretycznie nieskończoną. Pierwsze statki wykorzystujące sztuczne pola grawitacyjne, wytwarzane we własnych siłowniach, powstały zaledwie pięćdziesiąt lat później. Od stu lat metagalaktyka stoi przed ludźmi otworem. Do układu odległego, dajmy na to, o dwadzieścia cztery tysiące lat świetlnych, można się przenieść w ułamku sekundy, doliczając jedynie czas potrzebny na dojście do miejsca, w którym przepisy pozwalają już stymulować superwielkie pola grawitacyjne. Nie wolno bowiem wchodzić w czarne korytarze przed apheliami komet systemu słonecznego i nie wolno ich opuszczać później, aniżeli w analogicznej odległości od docelowej gwiazdy. Inaczej mówiąc, w ten sposób można podróżować tylko do miejsca, którego współrzędne dają się przed startem obliczyć bardzo dokładnie i które jest dostatecznie znane, aby nie zaskoczyć pilotów warunkami, uniemożliwiającymi nawigację. Przecież po wyjściu z czasowego korytarza załoga nie znająca parametrów celu znalazłaby się w sytuacji o wiele gorszej niż starożytni żeglarze, którym na oceanie burza zmiotła za pokład wszystkie urządzenia pomiarowe i mapy, a na dodatek strzaskała maszty i ster. Ziemskie urządzenia, jak chociażby chronometry czy sieć informatyczna, przestają w trakcie takiej podróży funkcjonować. Każda informacja, płynąca czy to przez włókna nerwowe człowieka, czy też przez sztuczne nerwy stworzonych na miarę naszych pojęć automatów, potrzebuje czasu. A ten czynnik w czarnych korytarzach nie istnieje. Bez zakodowanych ścisłych danych, dotyczących celu podróży, ludzie nie mieliby najmniejszych szans już nie tylko powrotu, ale bodaj dotarcia do jakiegokolwiek systemu słonecznego.

Statek, na pokładzie którego się znajdowałem, szedł torem wielokrotnie sprawdzonym nie tylko w obliczeniach, ale i w praktyce. Drogę z Ziemi na Petty pokonywał chyba po raz dziesiąty. Zawoził tam aparaty i uczonych, historyków, archeologów, egzobiologów, a przywoził z powrotem innych. Nie było mowy o jakiegokolwiek pomyłce. Tyle tylko, że sygnał oznajmiający wyjście z czarnego korytarza zabrzmiał, jak wynikało z cyferek, które wyskoczyły na tarczą mojego podręcznego kalkulatora, o dobre ćwierć miliparseka wcześniej, niż należało.

Od stu lat metagalaktyka stoi przed ludźmi otworem. Spenetrowaliśmy spory szmat przestrzeni, znajdując miliony światów, o których miliony ludzi napisało prace doktorskie. Nie znaleźliśmy jednego: cywilizacji. Przynajmniej tak długo, aż wysłana w kierunku Messier 13 ekspedycja przypadkiem nie napotkała na swojej drodze układu Millsa, a w nim planety pławiącej się niemal w samym centrum słonecznej ekosfery. Na tej planecie istniało życie. Istniała także wysoko rozwinięta cywilizacja. Niegdyś. To znaczy pozostały po niej urządzenia i budowle. Nie pozostał żywy świadek dawnej świetności. Czyli kolejna porażka apostołów Kontaktu, a nieoczekiwany raj dla archeologów. Oni to właśnie zaanektowali planetę i władali nią niepodzielnie do dnia dzisiejszego.

Tak im się przynajmniej zdawało. W rzeczywistości od pierwszej chwili pozostawali pod dyskretną opieką SAO, naszej stacji, założonej na księżycu Petty. Nie sposób było przecież pozostawić naukowców samopas, zagubionych w przestrzeni. Zbyt byli złaknieni owego Kontaktu i na skutek tego, jak zwykle, nieodpowiedzialni. O istnieniu naszej agencji na satelicie nie wiedzieli lub udawali, że nie wiedzą. To jednak było nam obojętne.

Pierwsze sygnały o niewyjaśnionych zjawiskach, zaobserwowanych przez uczonych, badających Petty, dotarły do naszej Centrali mniej więcej miesiąc temu. Ktoś zauważył pojawiające się nad horyzontem świetlne spirale, kilku archeologów widziało na własne oczy niewielkie obiekty latające, a pilot bazy zameldował, że w czasie jednego z lotów patrolowych spostrzegł zainstalowane na ziemi silne reflektory, w miejscu oddalonym od stanowisk badawczych, a więc i ludzi, o kilka tysięcy kilometrów. Wtedy stacja SAO na satelicie Petty

urośli nagle do rangi kluczowej placówki Agencji. Natychmiast wyruszyła tam silna ekipa, która miała wzmocnić dwuosobową dotąd załogę. Na czele ekspedycji stanął sam Bess. A ja wtedy właśnie otrzymałem pierwsze zadanie, po odejściu z za biurka. Używając sobie tylko wiadomych sposobów, kierownictwo „Trójki” umieściło mnie w załodze statku, który wiozł na Petty kolejną zmianę naukowców. Leciłem jako fotonik, specjalista w zakresie pomiarów metodą cięciwy ujemnej. No cóż, na tym istotnie znałem się coś niecoś. A ponieważ pomiarowiec był na Petty potrzebny właśnie z racji owych niewyjaśnionych zjawisk, więc w uzasadnieniu mojej obecności na pokładzie kryła się nawet cząstka prawdy. Cząstka, oczywiście. Całej prawdy nie musieli znać.

Podniosłem się i wyprostowałem. W oczach mi zawirowało, musiałem szybko oprzeć się dłonią o ścianę kabiny. Tak, latamy w ten sposób od stu lat, ale nikt nie zdołał jeszcze wymyślić skutecznej ekranizacji, zabezpieczającej ludzi przed skutkami przechodzenia przez supersilne pola grawitacyjne, chociażby wytwarzane w siłowniach ich własnych statków. Były obojętne dla zdrowia, ale odbierały zdolność ruchu i paraliżowały procesy myślowe. Wszystkim pilotom i załogom, poza nami. My nie mogliśmy sobie pozwolić na ryzyko sekundowego choćby braku kontaktu myślowego z otoczeniem. Dlatego Akademia Techniczna SAO wykombinowała nam specjalnie uzupełnioną osobistą aparaturę korekcyjną. Reszta była sprawą odpowiedniego przeszkolenia i treningu.

Przebiegłem palcami po klawiszach, wbudowanych w czerwoną płytkę wszytą w ramię mojego skafandra i poczułem się lepiej. Ostrzegawczy sygnał dźwięczał w dalszym ciągu. Jeśli mam być zwykłym członkiem załogi, nie mogę zdradzić, że wychodzenie z czarnego korytarza jest dla mnie mniej kłopotliwe niż dla reszty. Ale spałem dostatecznie długo. Spałem i miałem sny. Potrzebowałem ruchu. Potrzebowałem widoku ludzi. Nie chciało mi się czekać. Poza tym pozostawała sprawa owego przedwczesnego powrotu do lotu czasowego. Z tym, niezależnie od moich psychicznych stanów, nie powinienem zwlekać.

Wyszedłem na korytarz. Światła były wygaszone, tylko ściany promieniowały nikłą, matową poświatą. Przystąpiłem wysoki próg owalnych drzwi, przypominających właz do starych rakiet i znalazłem się w dyspozytorni. Tak nazywaliśmy największą kabinę, gdzie spotykaliśmy się w czasie wolnym od zajęć, aby posłuchać muzyki, zjeść coś lub chociażby pogawędzić. Do tego ostatniego mnie przynajmniej nie było spieszno, musiałem jednak chcąc nie chcąc zachowywać się jak pozostali. A ci byli aż nadto towarzyscy. Z sześciu osób załogi, włączając w to pilotów, pięcioro leciało na Petty po raz pierwszy. Rozpierała ich duma i ciekawość. Palili się do swoich koparek i analizatorów, ale bardziej jeszcze do piastowanej w myślach wizji spotkania z obcą cywilizacją, do czego, rzecz jasna, nie przyznawali się sami przed sobą, rozmawiając wyłącznie o fachowej stronie wykopalisk. Nie potrafili się jednak maskować, w każdym razie nie przede mną. Z nagłych zamyśleń, półsłów, odruchowych gestów, kiedy rozmowy dotyczyły przypadkiem owych zaobserwowanych ostatnio niewyjaśnionych zjawisk, można było bez trudu wyczytać, że każdy z nich składa w marzeniach kolejne ofiary bóstwu Kontaktu. No cóż, uczeni...

W momencie, w którym przekroczyłem próg dyspozytorni, ostrzegawczy świergot umilkł, jak ucięty nożem. Dzięki temu moje pojawienie się wypadło bardziej naturalnie, niż przewidywałem. Nie musiałem uciekać się do opowieści o rzekomym złym samopoczuciu, którą sobie przygotowałem, idąc korytarzem.

– Cześć – mruknąłem, kierując się w stronę wolnego fotela pod prostokątnym ekranem, imitującym okno. Za nim rozpościerała się, przesyta nierównymi złotymi ściegami, wieczna czerń próżni. Ekran rozcieńczał tę czerń granatem, upodabniając nieboskłon do ziemskiego.

Może było im to potrzebne.

Warda zwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się. Natychmiast jednak spoważniał i, unosząc porozumiewawczo brwi, położył palec na ustach. Przyjrzałem mu się, po czym przeniosłem pytający wzrok na siedzącego przed pulpitem łączności Barcewa. Ten obdarzył mnie tylko przelotnym spojrzeniem, wskazując brodą płonące przed nim sygnalizacyjne światełka.

Podszedłem bliżej i stanąłem za jego plecami. – Co się stało? – spytałem, udając, że nie dostrzegam, jak bardzo jest zajęty.

Dłuższą chwilę kazał mi czekać na odpowiedź. W końcu potrząsnął głową i spojrzał na mnie ponownie. W jego wzroku malowało się napięcie.

– Za chwilę nam powiedzą – mruknął. Postukał wskazującym palcem w krawędź pulpitu i dodał: – Zamfi i Leski są przy sterach. Prosimy, żeby im nie przeszkadzać. Robią obliczenia. Jak tylko coś będą wiedzieli... – zawiesił głos.

Obejrzałem się na Wardę. Ten pochwycił mój wzrok i milcząc wskazał mi fotel, do którego przed chwilą zmierzałem. Tym razem skorzystałem z zaproszenia.

– O co chodzi? – spytałem ponownie, przyciszonym głosem, żeby okazać moją dobrą wolę. – Dlaczego zbudzono nas tak wcześnie?

Warda uśmiechnął się i przechylił w fotelu, zbliżając głowę do mojego ramienia.

– Powiedzieli tylko, że nic groźnego – odrzekł szeptem. – Wygląda na to, że otrzymali jakąś wiadomość albo że tachdar wykrył przed nami jakiś... jakieś promieniowanie – dopowiedział po chwili bez przekonania. Przysięgłbym, że miał na końcu języka słówko „obiekt”. Tachdar wykrył obiekt. Tak, żaden z nich nie przestaje o tym marzyć. I żadnemu nie przyjdzie na myśl, że dla Ziemi takie spotkanie wcale nie musi oznaczać błogosławieństwa. Że mogłoby być wręcz przeciwnie.

– Nic więcej nie wiadomo? – rzuciłem obojętnym tonem, myśląc, że powinienem się zorientować, o co właściwie chodzi, i to szybko. Zanim palną jakieś głupstwo... gdyby rzeczywiście coś tam przed nami było. Chociażby tylko promieniowanie czy wiązka fal, a więc coś, co tak czy owak niesie interesujące, być może, informacje.

Westchnął. Przyglądał bujną jasną czupryną i wrócił do poprzedniej pozycji.

– Obiecali dać znak, kiedy tylko sprawdzą obliczenia – powiedział z żalem. Nawet i on. Nestor egzobiologów... jeszcze mój ojciec chodził na jego wykłady. Ojciec...

– Marny kontakt z Petty? – spytałem szybko.

Potrząsnął głową.

– Nie – odrzekł. – To znaczy nie mieliśmy go jeszcze minutę temu – poprawił się. – Powinniśmy być teraz w korytarzu – dodał tonem wyjaśnienia.

Wstałem. Przeciągnąłem się niedbale i wolnym krokiem skierowałem się ku drzwiom. Warda odprowadził mnie zdziwionym spojrzeniem. Nie zauważyłem tego. Na progu omal nie zderzyłem się z Laną i musiałem stanąć, żeby ją przepuścić. Była w cieniusieńkim, piankowym kombinezonie i sprawiała wrażenie osoby tylko co wyrwanej ze snu. Zapewne tak właśnie było. Nie zdążyła spojrzeć do lustra. Nie pomyślała, jak wygląda. Kasztanowe włosy, zwykle ułożone w miękkie fale, piętrzyły się na jej głowie jak wiecha. Nie znaczy to, że były brzydkie. Ani, że raził mnie ten jej kombinezon, nie zakrywający niczego. Pomyślałem tylko, że naukowiec znajdujący się tysiące lat świetlnych od swojej sypialni na Ziemi, nie powinien tak wyglądać. Pomyślałem także, że nie dziwią się Barcewowi, który w jej obecności przeobrażał się niezmiennie w zafrasowanego wyrostka o nieskoordynowanych ruchach i zmętniałym nagle

wzroku, pomimo że był już powszechnie uznawanym autorytetem w dziedzinie wczesnych kultur amerykańskich i jednym z filarów Instytutu Archeologii Przedatlantyckiej. Ile mógł mieć lat? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? W każdym razie wyglądał na młodego sportowca u szczytu formy i był kawalerem.

– Jesteście tu? – spytała zdyszczanym głosem. – Czy coś się stało? – omiotła nas rozgorączkowanym spojrzeniem. Przeliczyłam sobie dane i chyba za wcześnie wyszliśmy z korytarza?...

– Spokojnie – mruknąłem, uśmiechając się. – Czekamy na wiadomość ze sterowni. Oni także sprawdzają dane... a zdaje się, że mają co sprawdzać... dość nieoczekiwanie. W każdym razie nic poważnego – dodałem uspokajająco, usiłując ją ominąć. Zatrzymała mnie, dotykając dłonią mojego ramienia.

– Dokąd idziesz? – spytała zdumiona. – Jak to nieoczekiwanie? – powtórzyła bezradnie. – Jakaś wiadomość?

Barcew wstał i posunął się kilka kroków w naszą stronę. Następnie stanął i demonstracyjnie odwracając wzrok od kombinezonu Lany zwrócił spochmurniałą nagłe twarz w moją stronę.

– Zaraz będzie komunikat – burknął lodowatym głosem. – Na razie nic więcej nie wiemy...

Zdecydowanym ruchem oswobodziłem ramię i odsuwając delikatnie rękę kobiety wyszedłem na korytarz. Miąłem wnekę rezerwowej aparatury informatycznej, włączyłem do szybu prowadzącego ku maszynowni i zatrzymałem się przed stalowymi drzwiami, zabezpieczonymi gęstą siecią przewodów ekranizujących. Pomyślałem chwilę, po czym odryglowałem skomplikowany zamek i wszedłem do środka.

Na wprost drzwi, przed wielkim, panoramicznym ekranem tkwił nieruchomo Zamfi. Spod oparcia fotela mogłem widzieć tylko czubek czarnej głowy. Nie poruszyła się, kiedy wszedłem. Z pewnością nie dosłyszał nawet dźwięku magnetycznego zamka. Rozgwieżdżona czerń próżni przed jego oczami przemieszczała się w pionie, pomiędzy mnogością falujących nieregularnie świetlnych linii. Zrozumiałem, że komputer nanosi na ekran dane otrzymywane w wyniku obliczeń, nadzorowanych przez Leskiego. Ten ostatni siedział po przeciwnej stronie kabiny, mając przed sobą szeroki, łukowaty pulpit głównego komputera statku. Jego dłonie wisiały nieruchomo nad klawiszami. Także i on nie zdradził najmniejszym gestem, że zauważył moje wtargnięcie do sterowni, które bądź co bądź stanowiło jaskrawe naruszenie przyjętych zwyczajów. Nie wolno przeszkadzać nawigatorom, nie tylko w momentach, kiedy dzieje się coś szczególnego. Dyżur to rzecz święta. Co dopiero, kiedy statek na skutek jakichś niespodziewanych komplikacji przedwcześnie wychodzi z czarnego korytarza.

Przeszedłem na środek kabiny i zatrzymałem się. Przez chwilę patrzyłem w ekran, usiłując wywnioskować coś z przemarszu danych liniowych, po czym przypadkiem mój wzrok padł na prostokątny wskaźnik teleranu. Przez środek tarczy biegła wyraźna, zielona kreska. Petty prowadzi już statek do celu. A więc wszystko w porządku. Skąd w takim razie całe to poruszenie? I dlaczego nasza szybkość spadła niemal do zera, co zauważyłem ułamek sekundy po zlustrowaniu teleranu?

Ponownie wróciłem spojrzeniem do ekranu i nagle coś zaczęło mi świtać. Nie bawiąc się już w ceregiele podszedłem szybko do Leskiego i stanąłem tuż za jego plecami.

– Co się tu dzieje? – spytałem głośniejszym głosem, niż było trzeba. – Dlaczego stoimy?

To jeszcze mogłem zrobić. Udać ciekawskiego.

Leski drgnął. Szybko odwrócił głowę i ukazał mi swoją opaloną na ciemny brąz twarz. Malowało się na niej zdumienie, ale i nieukrywane podniecenie. Była w nim gorączka

oczekiwania. Poddał się jej do tego stopnia, że nie pomyślał nawet o mojej niewczesnej obecności w sterowni.

– Zaraz zobaczymy... – powiedział drżącym z emocji głosem. – Właśnie kończę obliczanie toru...

Tego nie musiał mi mówić. Sam zauważyłem, że naprowadzają statek na cel. Tylko że w promieniu milionów kilometrów nie powinno być żadnego celu, który mógłby nas zainteresować. W ogóle żadnego celu.

– Meteoryty? – spytałem, udając w dalszym ciągu – czy jakaś wiązka promieniowania?

– Zobaczysz... – powtórzył obiecującym tonem i wrócił do swojego pulpitu, zapominając o moim istnieniu.

Mogłem mieć jeszcze nadzieję, że chodzi o jeden z tych niezmiernie rzadko spotykanych w przestrzeni zabłąkanych okruchów globów, rozpylonych w kosmicznych katastrofach. Musiałby to jednak być odłamek metaliczny, co było wprawdzie też niewykluczone, ale bardzo mało prawdopodobne. Czujniki ferroindukcyjne nie pozostawiały wątpliwości co do struktury wędrującego na torze naszego lotu ciała. Jeżeli jednak będzie to coś, co żadną miarą nie powinno się tutaj znajdować, moja pierwsza misja agencyjna skończy się wcześniej, aniżeli ktokolwiek mógł przypuszczać. Na dobrą sprawę wcześniej, zanim się zaczęła.

Na razie pozostało mi tylko czekać. Odruchowo dotknąłem palcami ukrytej w moim rękawie specjalnej tabliczki łączności, która w każdej chwili mogła mi zapewnić kontakt z bazą SAO na satelicie Petty, po czym wróciłem do zamkniętych drzwi i oparłem się o nie plecami. W sterowni nie było trzeciego fotela.

Nie kazali mi czekać długo. Po upływie pięciu czy sześciu minut Zamfi wydał cichy, krótki okrzyk. Linie na głównym ekranie znieruchomiały. Leski mruknął coś niezrozumiale, po czym wstał szybko i zbliżył się do tablicy analizatora. Stał przed nią jakieś trzydzieści sekund, kiwając głową, jakby chciał powiedzieć, że aparatura spełniła wszystkie jego oczekiwania, a następnie podszedł do pulpitu łączności. W ostatniej chwili zdążyłem zastąpić mu drogę. – Co to jest? – spytałem tonem, który mnie samemu wydał się odrobinę zbyt agresywny. – I co masz zamiar zrobić?

Leski znieruchomiał. Bardzo powoli uniósł głowę i zmierzył mnie zdumionym spojrzeniem, jakby dopiero w tym momencie dotarło do niego, że tutaj jestem. Stopniowo zdziwienie w jego wzroku zaczęło ustępować wyrazowi niechęci, a jeszcze później wrogości. Podniecenie, wywołane dokonaniem tylko co odkryciem, zniknęło bez śladu. Pozostało rozczarowanie i niesmak. Nie mogłem mu odmówić jednego. Refleksu. Domyślił się od razu. No cóż, ostatecznie był obeznany z przestrzenią i obowiązującymi w niej regułami. A nikt inny nie mógł użyć takiego tonu, jakim posłużyłem się przed chwilą. I nikt inny nie wtargnąłby w krytycznym momencie do sterowni.

– Ty... – wykrztusił. Jego oczy uciekły z mojej twarzy i skierowały się w stronę Zamfiego. Ten siedział jak skamieniały, ciągle jeszcze trzymając palce na wygasłych już klawiszach, ciągnących się długim szeregiem pod dolną krawędzią ekranu.

Skinąłem głową.

– Tak – potwierdziłem spokojnie. – Przykro mi, Leski, ale muszę wiedzieć, o co chodzi i co zamierzacie zrobić. To jest sztuczne, prawda?

Ponownie posłał krótkie spojrzenie Zamfiemu, jakby wzywał jego pomocy, po czym odwrócił się i znieruchomiał.

– Jestem z „Trójki” – powiedziałem ciągle jeszcze spokojnie. – Czy muszę wam mówić? I czy naprawdę chcecie, żebym zabrał się do sprawy tak, jak to przewidują moje instrukcje? Ich

autorzy dobrze się nad nimi nagłowili... powinniście uszanować ich pracę. Ja w każdym razie będę to musiał zrobić. Chyba że dojdziemy do porozumienia...

Cisza. Oczekałem jeszcze minutę, zanim użyłem mojego nadajnika. Posłużyłem się, rzecz jasna, kodem, który był jednak dostatecznie zrozumiały dla laików, żeby przynajmniej w tej konkretnej sytuacji nie pozostawić im wątpliwości.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Równocześnie sygnał bazy na Petty zniknął z tarczy telerału jak zdmuchnięty. Kontrolę nad statkiem przejęła stacja SAO na satelicie. Mogli to zrobić z każdą jednostką w swoim rejonie. Inaczej mówiąc w tym momencie statek i jego załoga znaleźli się w sytuacji przymusowej. Musieli mnie słuchać, jeśli chcieli odzyskać kierunkowy sygnał docelowej bazy i zdolność nawigacji.

– W porządku – powiedziałem, stając znowu za plecami Leskiego. – A teraz przestańcie bawić się w ciuciubabkę. Nie chciałem wam sprawiać przykrości, ale mam swoją robotę. I muszę ją wykonać, podobnie jak wy wykonujecie swoją. A więc...

– Robotę! – przerwał mi pogardliwym parsknięciem Zamfi. – Słoneczna Agencja Obrony – dodał z naciskiem. – Też mi robota. Gdyby któryś z was pomyślał choć przez chwilę, przed czym właściwie chcecie bronić nasz mały świat! A raczej co mu chcecie odebrać!

– Uspokój się – przemówił wreszcie Leski – szkoda słów. Oni nie myślą. Oni wiedzą. To znaczy tak im się wydaje. Dobrze więc – odwrócił lekko głowę, ukazując mi profil twarzy, co miało oznaczać, że zwraca się te –

raz bezpośrednio do mnie. – Mamy przed sobą nie zidentyfikowany obiekt nie będący dziełem natury. Zrównaliśmy szybkości i podchodzimy do niego... do spotkania dojdzie za... – przerwał i omiół wzrokiem wskaźniki – mniej więcej dziesięć minut. Nie bój się – ciągnął z przekąsem – nie mieliśmy zamiaru do niego dobiegać. Chcieliśmy wysłać sondę...

– Z załogą? – przerwałem pytaniem. Żachnął się, ale natychmiast wrócił do równowagi.

– A wy posłalibyście automaty? – odpowiedział również pytaniem.

Wiedziałem już dość. Wiedziałem także, co powinienem zrobić, zanim jeszcze odezwał się mój aparacik, przekazując mi zakodowaną instrukcję.

– A więc tak właśnie zrobisz – odrzekłem Leskiemu. – Wyślesz sondę. Załodze powiesz, że spotkałeś meteoryt... pozagalaktyczny. I dodasz, że nawigatorzy na Petty nie dali wam zgody na przerwę w locie. Wybierzesz sondę uzbrojoną... jeśli wiesz, co mam na myśli. Jesteście przyjacielsko nastawieni do wszystkich możliwych światów, ale jednak macie takie sondy na pokładzie. Odżalujesz jedną, bo nie będziesz czekał na jej powrót. Nie muszę dodawać, że polecą w niej nie tylko automaty... i kto z nas mianowicie będzie się nimi opiekował. Jeżeli nie znajdę tam nic takiego, czym musielibyśmy się zainteresować, odeślemy wam ten wasz obiekt na Petty cały i z nienaruszoną zawartością. Jeżeli natomiast...

– Jeżeli – wpadł mi w słowo Zamfi – jest tam ktoś żywy, to przynajmniej od razu pozbędzie się złudzeń co do napotkanej cywilizacji... – jego głos był zdławiony gniewem. To co powiedział, mogło wyglądać na ironię, gdyby udało mu się zamaskować uczucie żalu. Mogłem go zrozumieć. Ale nie chciałem. A poza tym nie mogłem. Tak jak powiedziałem, każdy z nas miał swoją robotę...

– Odeślemy wam to coś tak czy owak – burknąłem, odwracając się w stronę drzwi. – Na razie siedźcie spokojnie, dopóki nie wystartuję. Potem powiecie im, co i jak... myślę o tym meteorycie. I nie próbujcie przebijać moich kart... Nie wcześniej odbierzecie namiar z Petty, aż ja zamelduję moim, że na nich czekam. Zresztą teraz, kiedy to mówię, oni już startują. I jeszcze jedno – dorzuciłem przez ramię – myślcie sobie o nas, co chcecie, ale bezpieczeństwo ludzi,

choćby każdego z was, tutaj, na pokładzie, jest dla mnie ważniejsze niż wszelkie możliwe „kontakty” z obcymi. Do widzenia.

Spokojnie zamknąłem za sobą drzwi i sprawdzając po drodze zapięcia skafandra ruszyłem prosto ku końcowi korytarza. W komorze śluzy odnalazłem mój kask i ekwipunek próżniowy. Pięć minut później wspinałem się w grodzi ładunkowej do miniaturowego wjazdu pojazdu o kształcie spłaszczonej kuli. W tym pomieszczeniu była już nieskończoność wszechświata. Atmosfera, temperatura, życie, wszystko to pozostało poza mną, za zewnętrzną klapą śluzy.

Ostatni raz sprawdziłem łącza skafandra i sondy, rzuciłem okiem na wskaźniki mocy agregatów napędowych oraz przetwornicy anihilatora, po czym połączyłem się ze sterownią statku.

– Przekażcie mi teraz dane, dotyczące położenia obiektu – rzuciłem przed siebie. – A także wszystko, co o nim wiecie. Im prędzej to zrobicie, tym wcześniej się mnie pozbędziecie i polecicie dalej. Uwaga, puszczam taśmę – zakończyłem, uderzając w klawisz przystawki pamięciowej mojego minikomputera.

Następne kilka minut obserwowałem w milczeniu kontrolne wzory danych, wpisywanych do zespołów sterowniczych stateczku. Kiedy na ekranie komputera ukazały się końcowe obliczenia, nie czekając już na ich sprawdzenie, które Leski powtarzał kilkakrotnie, zanim zdecydował się zawiadomić pozostałych, w czym przeszkodziłem mu w ostatniej chwili, przycisnąłem duży czerwony klawisz oznaczony napisem „start”. Nad moją głową ukazały się gwiazdy. Kłapa wjazdu ładunkowego statku rozsunęła się bezszelestnie. Chwilę później gwiazdy były wszędzie dookoła. Po nich poznałem, że jestem już w próżni.

Mimo woli pomyślałem z żalem o naukowcach. Każdy z nich oddałby pół życia za spotkanie z obcą cywilizacją. Jedna jedyna, odkryta jak dotąd w kosmosie, pochodziła sprzed tysięcy, jeśli nie milionów lat i mogła stanowić łakomy kąsek li tylko dla archeologów. Tymczasem to, co miałem teraz przed sobą, było z całą pewnością tworem istot rozumnych. Nie sądziłem też, aby rzecz była aż tak stara, jak znaleziska na Petty. Co do tego jednak mogłem się oczywiście mylić.

Statek czy laboratorium kosmiczne lub czym to w końcu było, jeśli w ogóle mieliśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieć, miał kształt regularnego sześcianu. Tylko jedna krawędź bryły była jakby przedłużona, przechodziła w prostą, płaską tarczę, sterczącą na długość mniej więcej dziesięciu metrów. Baterie słoneczne? Anteny? Taras do opalania?

Szedłem kosmiczną tuż obok tajemniczej konstrukcji, manewrując bardzo ostrożnie, żeby jej nie potrącić. Cały czas szukałem pełengi, ale obiekt milczał. Nie wysyłał żadnego promieniowania ani tym bardziej fal, przynajmniej znanych naszej nauce. Był martwy. Był martwy albo miał sprawiać takie wrażenie. Nie inaczej należało zaprogramować konstrukcję, przeznaczoną do odgrywania roli szpiega.

Po przeciwległej stronie od tej, z której się zbliżyłem, w płycie sześcianu widniał kwadratowy kontur wjazdu. Nie przypominał żadnych znanych mi drzwi ani do naszych statków, ani do budowli. Zamiast zamka widniało pośrodku klapy sześć okrągłych otworków. Jeśli, naturalnie, miały służyć właśnie jako zamek, a nie, dajmy na to, karmnik dla ptaków.

Okrzyłem konstrukcję jeszcze kilka razy, pilnie badając każdy metr kwadratowy jej powierzchni, zanim, z palcami opartymi o klawisze napędu i wyzwalaczy antimaterii, zbliżyłem się do tego jedyne miejsce, wyróżniającego się wśród gładkich i pozbawionych jakichkolwiek urządzeń płaszczyzn. Gotowy w ułamku sekundy uderzyć pełną mocą z dyszy czołowej obserwowałem, jak spod kadłuba mojego stateczku wynurza się węzowaty przewód zakończony elektromagnesem. Kiedy końcówka liny dotknęła obcego obiektu, wstrzymałem na moment

oddech. Sekunda, dwie, trzy... nic. Cisza.

Odetchnąłem głęboko i zająłem się swoim nadajnikiem. Statek z naszej bazy na satelicie Petty był już w drodze. Zabrał się nim sam Bess. Co do mnie, poradzono mi tylko, żebym działał w zależności od sytuacji. Niczego tak mi teraz nie brakowało, jak dobrej rady. Muszę jednak przyznać, że nie liczyłem na nic więcej.

Przełączyłem moją centralkę komunikacyjną na automatyczną łączność i otworzyłem właz. Chwilę później stałem już na chropawym pancerzu sondy, gładząc próżniowymi rękawicami płytę obcego pojazdu. Jeśli to był pojazd.

Nadal nic się nie działo. Przykładałem do czerniejącej przede mną ściany główki coraz to innych czujników, pilnie śledząc ich miniaturowe wskaźniki. Nie poruszył się żaden. Wewnątrz statku panowała idealna cisza. Cisza i bezruch. Nie działało żadne urządzenie, korzystające ze znanych na Ziemi źródeł energii.

W końcu zatrzymałem się przy owych sześciu otworkach i pozostałem przy nich. Zwykłe, regularne wgłębienia, dobre na zaczepienie palców przy wspinaczce. Nie były głębokie. Żadnych śrub, klamek czy czegoś w tym rodzaju. Najpierw przejechałem po nich otwartą dłońią, a potem zacząłem kolejno wtykać w nie palce. Wreszcie zaświtał mi pewien pomysł. W pięć otworów włożyłem wszystkie palce lewej dłoni, a w pozostały, szósty, wskazujący palec prawej. I nagle cała obrysowana kwadratowym konturem płyta drgnęła. Drgnąłem i ja, ale nie cofnąłem dłoni. Upłynęła jeszcze co najmniej sekunda, zanim płyta zaczęła się przesuwać, ukazując w ścianie konstrukcji poszerzający się stale otwór. Nie działo się to szybko. Odniosłem wrażenie, że mechanizm włazu po prostu nie jest zbyt sprawny. Postanowiłem to sprawdzić. Nie zaglądając na razie do wnętrza, które zresztą było pogrążone w zupełnym mroku, odczekałem, aż płyta zakończy swoją mozolną wędrówkę, po czym ponownie wpakowałem sześć palców w walcowate otworki. Drzwi ani drgnęły. Widać zacięły się lub też, ażeby zasunąć je z powrotem, należało zastosować jakiś inny sposób. Nie szukałem go jednak. W końcu zagadka mechanizmu włazu nie interesowała mnie teraz najbardziej. Wszystko, co tutaj robiłem, i tak było przecież tylko czekaniem. Jedyne, czego rzeczywiście sam powinienem dokonać, zanim zjawi się wysłany ze stacji statek, to upewnić się, czy ze strony obcej konstrukcji nie grożą jakieś niespodzianki. Tę pewność, jeśli w odległości tysięcy lat świetlnych od Ziemi w ogóle może być mowa o jakiegokolwiek pewności, już posiadałem. Moje czujniki były dostatecznie uniwersalne. Nie. Wewnątrz pojazdu nie pracowało żadne urządzenie, pochłaniające energię. A takimi urządzeniami są przecież również organizmy żywe. Na dobrą sprawę mogłem wrócić do mojej sondy, wyciągnąć się wygodnie w fotelu i uciąć sobie drzemkę. Nikt nie miałby o to do mnie pretensji. Ale nikt nie zabronił mi także przeprowadzenia pierwszego zwiadu. I nie widziałem powodów, dla których miałbym sobie tego odmówić.

Ugiąłem lekko nogi w kolanach i odepchnąłem się od pancerza sondy. Głową naprzód, ściskając w garści kolbę ręcznego wyzwalacza, wpłynąłem do wnętrza obcej konstrukcji. Niezbyt głęboko. Umyślnie zaczępiłem czubkami butów o krawędź włazu i zostałem w takiej pozycji, macając dookoła siebie światłem czołowego reflektora.

Znalazłem się u wejścia do beczkowatego pomieszczenia, zamkniętego po przeciwległej stronie gładką ścianą, połyskującą, gdy padło na nią światło. W odległości kilkunastu centymetrów od siebie biegly po niej poziome srebrne wypustki o przekroju wydłużonych trójkątów. Poza tym pomieszczenie wydawało się zupełnie puste. Tylko w lewej bocznej grodzi spostrzegłem niewielką wnękę, w której czerniał kwadratowy otwór. Był akurat tak duży, żebym mógł przepłynąć przez niego w moim próżniowym ekwipunku.

Kiedy to zrobiłem, wydało mi się, że ponownie jestem w próżni. Tylko przez pierwsze ułamki sekund światło mojego reflektora grzęzło w zupełnej czerni. Zaraz potem ujrzałem przed sobą dziwnie przyćmione i jakby zamazane gwiazdy. Musnąłem spust pistoletu gazowego i oddaliłem się od wejścia. Wtedy zrozumiałem. Cała konstrukcja kosmiczna obcych od wewnątrz była przezroczysta. To znaczy tak było niegdyś. Teraz, jakby pod działaniem czasu, zmatowiała, zmętniała jak antyczne lustro. No cóż, umiejętność budowania takich struktur nie była i nam obca. Ale wystawiała konstruktorom tego pudła mimo wszystko niezłe świadectwo. Zwłaszcza, że nie byli to zapewne konstruktorzy współcześni.

Zatrzymałem się i ponownie, metr po metrze, systematycznie zbadałem ściany światłem mojego reflektora.

Sufit był prosty i gładki, tylko w jego środkowej części widniała niewielka konstrukcja, złożona ze splątanych przewodów, przegrodzonych czarnymi skrzynkami, przy których umieszczono jakieś zaciski. Górna część ścian także była ogołocona z jakichkolwiek urządzeń, chociaż tu i ówdzie dały się zauważyć wystające prostopadle pręty przypominające szyny, które kiedyś mogły podtrzymywać ekrany lub inne aparaty. Teraz nie pozostało po nich śladu.

Skończyłem lustrację górnych partii kabiny, po czym przeniósłem światło na podłogę. Początkowo biegłem nim nadal dookoła, trzymając się ścian, pod którymi stały jakieś podłużne, metalowe skrzynie z niezliczoną ilością identycznie wyglądających palczastych wypustek. Pomieszczenie było bardzo obszerne. Było zbyt obszerne, jak na kształt całej konstrukcji, kiedy patrzyłem na nią z pokładu mojej sondy. Dopiero jednak, kiedy trafiłem światłem na łukowaty wykusz w najbliższej ścianie, zdałem sobie sprawę, że cały pojazd obcych składa się z tego jednego jedyne pomieszczenia, a przedsiónek, do którego wpłynąłem, był tylko jego ogrodzoną częścią.

Wtedy skierowałem reflektor na środek kabiny. W mroku błysnął lustrzany refleks i zobaczyłem coś, co w pierwszym odruchu zmusiło mnie do natychmiastowego wyłączenia światła. Zmieniłem pozycję, zdjąłem reflektor i, na wszelki wypadek trzymając go w wyciągniętej ręce jak najdalej od głowy, zapaliłem ponownie.

Dokładnie pośrodku kabiny stał kolisty pulpit, przypominający kontuar letniego baru. Do jego wnętrza wiodła jedna wąska przerwa, nie tak wąska jednak, żeby nie mógł przez nią przejść człowiek. Ale to nie człowiek tamtędy przechodził.

W centrum wolnej przestrzeni, otoczonej kontuarem, który był zapewne sterowniczym pulpitem, wyrastał z podłogi jakiś przedmiot, rozarty na kształt kielicha kwiatu. Wyglądał jak wyrzeźbiony z gigantycznego kryształu, był jednak miękki i elastyczny. Był miękki, ponieważ widziałem wyraźnie, jak jego krawędzie uginają się pod ciężarem czegoś, co spoczywało wewnątrz owego kielicha jak w fotelu. Nieruchoma postać... nie, nie automat. Chyba że sporządzony dla żartu na podobieństwo jakiejs grotoskowej małpy.

To coś kiedyś musiało być żywe. Łagodne zarysy tułowia i kończyn, otwarte, nieruchome oczy, charakterystyczny bezwład całej postaci nie pozostawiały jakichkolwiek wątpliwości. Zwierzę doświadczone? Za pulpitem sterowniczym? Ostatecznie i na Ziemi spotyka się tresowane zwierzęta. Gdzieś w kosmosie mogą istnieć przedstawiciele fauny zdolni do przyswojenia sobie czegoś więcej niż aportowanie i żonglowanie piłkami. Tylko że...

Odczekałem chwilę i zbliżyłem się ostrożnie. Tak, życie uciekło z tego stworzenia dawno i na zawsze. Jak dawno, tego naturalnie nie mogłem nawet próbować dociec. W próżni śmierć także wymyka się rygorom czasu...

Zwierzę było porośnięte krótką, dość gęstą sierścią, rudawą w świetle i jakby zmatowiałą. Z całą

pewnością należało do kręgowców. Głowa, podobna do głowy szympansa, tylko o jakby uszlachetnionych rysach spoczywała odchylona nienaturalnie do tyłu, opierając się o wybrzuszenie kielichowatego fotela. Szyja, tej samej szerokości co głowa, przechodziła niżej w korpus o czterech ramionach. To znaczy kości barków, jakie znane nam istoty człekokształtne miewają po lewej i prawej stronie, temu stworzeniu wyrastały także z przodu i z tyłu, tworząc wypukłości przywodzące na myśl garby. Ręce jednak zwierzę miało tylko dwie, krótkie i nieproporcjonalnie cienkie, zakończone okrągłymi dłońmi wyposażonymi w niezwykle długie z kolei palce. Z przodu, na szczycie piersiowego ślepego ramienia, jak w myśli określiłem ten szczegół znalezionej ciała, widniało coś, co mogło od biedy uchodzić za niedorozwiniętą trzecią rękę. Była pozbawiona przedramienia, a nawet dłoni, otwierała się tam jedynie owalna wklęsłość, z której wystawały dwa wyrostki, może palce, a może jakieś narządy zmysłów, odbierające sygnały z zewnątrz lub właśnie na odwrót. Przyszło mi na myśl, że warto by sprawdzić, czy z tyłu tułowia, poniżej czwartego „ramienia” znajduje się coś podobnego, na to jednak musiałbym stworzenie odwrócić, czego wolałem nie robić przed przybyciem statku ze stacji. Skłamałbym zresztą, utrzymując, że poskromienie tej ciekawości wiele mnie kosztowało. Podpłynąłem jeszcze metr bliżej: dokładniej zlustrowałem bezwładne ciało pasażera obcego pojazdu. Wtedy dopiero zauważyłem, że jego koliste dłonie mają po sześć palców. Sześć. W pierwszej chwili przyszły mi na myśl archaiczne bajdy o Marsjanach, jakie pisywano w średniowieczu dla grzecznych dzieci. Tam stwory z kosmosu z reguły miewały właśnie po sześć palców, niezależnie od wielkiej liczby przeróżnych macek. Ale po pierwsze to tutaj stworzenie naprawdę miało sześć palców, a po drugie zaraz po nedorzecznej myśli o starych powiastkach przyszła inna: myśl o sześciu otworach w płycie włazu. Płyta rozsunała się, kiedy wetknąłem moje palce w owe otwory. Czyżby więc to stworzenie nie było zwierzęciem, lecz świadomym gospodarzem obiektu? A zamek włazu czy nie reagował na przykład na promieniowanie żywego organizmu i czy nie był skonstruowany właśnie z myślą o sześciu palcach istot, które zbudowały pojazd?

W następnej chwili dostrzegłem coś jeszcze. U stóp fotela leżał jakiś porządnie złożony pakunek. Przyjrzałem się lepiej i rozpoznałem odzież. Tak, to było coś w rodzaju skafandra. Skafandra, złożonego w kostkę, na wierzchu której umieszczono duży, próżniowy kask, zaopatrzony w szybę, podobną do tych, jakie dla osłony przed promieniowaniem słonecznym stosują producenci naszych ubiorów.

Opuściłem się niżej i, starając się nie dotknąć fotela ani tym bardziej spoczywającego w nim kształtu, podniosłem ów kask. Na oko pasował jak ulał, jeśli uwzględnić nie tylko rysunek głowy kosmatego stworzenia, ale i grubość jego szyi. Odłożyłem kask i sięgnąłem po skafander. Położyłem pistolet na pulpicie, reflektor umieściłem na powrót w jego gnieździe nad czołem i uniósłszy się wyżej, rozwinąłem ów skafander, czy co to było. Nie pomyliłem się. Z przodu i z tyłu, tam gdzie nasza odzież opina klatkę piersiową i plecy, tutaj bluza wybrzuszała się, jakby pozostawiając miejsce nie na dwa, ale na cztery właśnie ramiona. Czegóż więcej było mi trzeba?

Odłożyłem ubranie umarłego pilota, który przestał już być dla mnie zwierzęciem, i nawiązałem łączność ze stacją. Dyżurny przerzucił mnie natychmiast na statek. Bess, śledząc dane na ekranie swojego komputera, sprzężonego z moją centralną komunikacyjną, wiedział oczywiście, co robię, nie mógł jednak wywnioskować, co myślę. Sytuacja nie wymagała stykowego kontaktu za pośrednictwem pól otaczających ośrodki mózgowy, co w znacznej mierze ograniczyłoby moją zdolność poruszania się. Tego rodzaju łączność wymaga przecież uzbrojenia hełmu w ciężką i

skomplikowaną aparaturę, w dodatku ciągle jeszcze dość podatną na uszkodzenia. Powiedziałem mu. Odrzekł, że jego zdaniem nie ma powodów do pośpiechu i że teraz mogę wrócić do swojej sondy, by tam na nich poczekać. Dodał, że będą za trzy kwadranse i wyłączył się.

Postąpiłem, jak mi kazano. Kiedy ulokowałem się już wygodnie w moim przystosowanym do ludzkich kształtów fotelu, uderzyła mnie pewna myśl. W obiekcie obcych nie było powietrza. To znaczy atmosfery, którą ktoś mógłby oddychać. Zewnętrzny właz statku był zamknięty, ale drzwi z przedsionka, pełniącego z pewnością rolę śluzy, bo nie było tam żadnej innej komory pośredniej, stały otworem. Dlaczego? Przecież w ten sposób nikt wewnątrz nie mógłby żyć. Statek nie nosił śladów jakichkolwiek uszkodzeń. Był szczelny i cały. A jednak nie było w nim gazu, nadającego się do oddychania. Czy istotę w owym kielichowatym fotelu skazano na śmierć, pozbawiając ją powietrza? Nonsens. Egzekucja stanowczo zbyt kosztowna. A może... to był tylko grób? Marynarze mieli kiedyś zwyczaj starannie owijać zwłoki swoich towarzyszy, których spotkała śmierć na pokładzie, i topić je w morzu. Uchodziło to za piękny, szlachetny pogrzeb. Czy dla pilota próżni nie próżnia właśnie stanowiłaby taki piękny i wzniosły grobowiec? Koszty? No cóż, w takim, wypadku mogłyby nie odgrywać decydującej roli. Gdyby chodziło na przykład o kogoś znanego i zasłużonego. Grobowiec piękniejszy i pewniejszy niż piramidy. A także większy, bo nieskończony. Ten złożony w kostkę skafander i kask... Czyż dawnym pilotom nie umieszczano na grobach ich hełmofonów i strzaskanych śmigieł?...

Odpędziłem tę myśl. Nie pora myśleć o śmierci, pogrzebach i grobowcach. Niechby nawet kosmatych pasażerów statków kosmicznych, zbudowanych przez obcą cywilizację. Żywą czy już martwą. Ostatecznie nie sposób, na razie przynajmniej, wykluczyć, że spoczywający tuż przy mnie obiekt jest dziełem istot, które kiedyś zamieszkiwały Petty i że po wstępnych oględzinach prześlemy go archeologom, jak wszystko, co znajduje się na tej wciąż żywej planecie, która równocześnie jest tylko jednym wielkim cmentarzyskiem.

Czterdzieści pięć minut przeczekałem, drzemiąc z otwartymi oczami. Drgnąłem, kiedy mój odbiornik odezwał się głosem Bessa. Szef polecił mi otworzyć właz i wyjść na pokład sondy.

Kiedy otwarłem klapę, nie było już nade mną gwiazd. Przesłaniał je kadłub potężnego statku-stacji, wyposażonego we wszystko, co do badania, obrony i niszczenia zdołał wymyślić człowiek w ciągu tysiącleci swego istnienia. Błysnął silny reflektor. Chwilę przeczesywał okolicę, po czym objął oślepiającym blaskiem obcy obiekt i mnie, stojącego na pancerzu stateczku, który wobec otaczającego go bezmiaru był mniejszy od najmniejszej drobinki, jaką może sobie wyobrazić ludzki umysł.



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BGColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do strony tytułowej

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BGColor, '#00FFFF', TEXTColor,

'#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **2**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')"
onMouseOut="nd();">

Takich jak my nazywano kiedyś „gorylami”. Z tą różnicą, że „goryle” stanowili ochronę pojedynczych osobistości, a my wszystkich. Ziemi. Naukowcy w swoim pędzie ku kosmicznemu Kontaktowi zapominając o podstawowych warunkach bezpieczeństwa. Kiedy z naszego własnego, pocziwego Księżyca wracali pierwsi piloci, przechodzili na Ziemi długą kwarantannę, pomimo że już wtedy świat miał dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że na najbliższym satelicie nie ma najbardziej nawet prymitywnych form życia. Dzisiaj naukowcy chcieliby latać do wszystkich planet w naszej i sąsiednich galaktykach, buszować po nich do woli, wracać na Ziemię, stykać się z ludźmi i lecieć ponownie jak na spacer po wiosennej burzy. Pomimo że na wielu planetach istnieje życie, nawet wysoko zorganizowane jego formy, a teoria prawdopodobieństwa nadal daje nam gwarancję, że prędzej czy później na którymś z tych globów, w którymś z układów spotkamy cywilizację. I czyż powinniśmy do obcych istot podchodzić z mniejszą ostrożnością aniżeli do wracających kiedyś z martwego Księżyca naszych przodków? Wtedy istniało niesłychanie nikle prawdopodobieństwo przeniesienia na macierzystą planetę nieznanego wirusa czy innych mikroorganizmów. Teraz stoimy wobec ewentualności świadomego, wrogiego działania. Tymczasem uczeni zachowują się tak, jakby posiadli już wiedzę o reakcjach, mentalności i zwyczajach wszystkich możliwych istot zasiedlających wszechświat, a o swoim upragnionym Kontaktzie nie myślą inaczej, jak o radosnym spotkaniu dwóch spragnionych nawzajem swego widoku przyjaciół. Naukowcy... Naukowcy i „goryle”. Niech będzie. Ktoś w końcu musi to robić.

To słowo „goryl” dźwięczało mi w uszach jak niepożądana, natrętna piosenka. Nie wiem, kiedy sobie o nim przypomniałem i dlaczego wciąż powracało dzisiaj, kiedy, podobnie jak w ciągu ostatnich dwóch tygodni, pełniłem nudną i jałową służbę w kabinie nasłuchu. Jałową, bo nasze radiolatarnie, tachdary i inne „uszy”, których ogromne, sferyczne zwierciadła były rozsiane po całym satelicie, przynosiły niezmiennie te same trzaski i gwizdy, to samo pulsowanie dalekich i najdalszych słońc, galaktyk, kwazarów. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Skończyła się era niezrozumiałej mowy gwiazd, którą tak chętnie brano niegdyś za próby „porozumienia” z ludzką cywilizacją. Dobre kilkaset lat minęło, od kiedy z potężnego jak na owe czasy radioteleskopu w Arecibo popłynęły w kosmos wezwania człowieka, rzucone pod wpływem owych radosnych domysłów. Początkowo były to trzyminutowe emisje, zakodowane w języku matematyki i nadawane na dwóch częstotliwościach. Potem, oczywiście, miejsce radioteleskopów zajęły lidary i tachlidary. A odpowiedzi jak nie było, tak nie ma. Nie ma sygnałów od istot, które podobnie jak nasi uczeni marzyłyby o Kontaktzie.

Zabawne, że to pierwsze w dziejach wezwanie z Ziemi skierowano właśnie w stronę skupiska gwiazd, noszącego nazwę "Messier 13". Zabawne, bo akurat na tym kierunku, najzupełniej zresztą przypadkowo, odkryliśmy układ Millsa, a w nim Petty. Można by więc powiedzieć, że historia tej planety, a raczej naszej eksploracji w jej rejonie, sięga zamierzchłej przeszłości. Tak jednak nie jest. Petty i pozostałe na niej pomniki zaginionej cywilizacji nie mają nic wspólnego z kierunkiem emisji, wybranym kiedyś przez astronomów i konstruktorów owego radioteleskopu w Puerto Rico. Nawiasem mówiąc ktoś szczególnie rozmiłowany w tradycji mógłby i nam, z SAO, przypisać długą genealogię. Pomijam już rodowód biorący początek w armiach czy choćby od wspomnianych „goryli”. Ale przecież jeszcze bodaj w dwudziestym wieku Kardaszew wyodrębnił trzy fazy rozwoju, przez które przechodzą wszystkie możliwe cywilizacje, i związał je z potrzebami energetycznymi, co zresztą akurat teraz już nie ma decydującego znaczenia. Pierwszy okres to czerpanie zasobów z macierzystej planety. W drugim cywilizacja

podporządkowuje sobie własny układ słoneczny, a w trzecim okresie rozwoju sięga po rezerwy energetyczne całej galaktyki, co z kolei otwiera przed nią wszechświat. Otóż kiedy mówimy między sobą o „Trójce” czy „Trzecim Wydziale”, jak nas zresztą nazywają ludzie, wymawiając słowa „ci z «Trójki»” zawsze z pewnym charakterystycznym podtekstem, zapominamy, że w gruncie rzeczy zostaliśmy powołani jako Służba Trzeciego Okresu i w takim właśnie brzmieniu wcieleni do Słonecznej Agencji Obrony. Ci z „Trójki”. Dla jednych to znaczy ci, którzy bronią ludzi przed nieodpowiedzialną niefrasobliwością uczonych, dążących z pełnym i bezzasadnym zaufaniem do szczerych kontaktów z każdą możliwą cywilizacją, jaka tylko się nawinie na drogach naszych gwiazdnych pojazdów. Dla drugich natomiast, dla uczonych, „ci z «Trójki»” to faceci, którzy przeszkadzają. Kontrolują, ograniczają, zabraniają, wtykają nos we wszystkie sprawy dziejące się poza Ziemią i gotowi są otworzyć ogień do każdej, niechby nie wiem jak rozumnej istoty, przybywającej z głębi wszechświata, jeśli przedtem nie nabiorą absolutnej pewności, że ta istota nie jest w stanie zagrozić ludziom. Nie, że nie chce. Że nie jest w stanie. To dość istotna różnica. No cóż, uczonym wolno zbliżać się do wszystkiego i wszystkich z ufną naiwnością dziecka. Nam nie.

„Goryl”. Co, u licha. Z nudów pojawiają się natręctwa myślowe. Głupia historia.

Poprawiłem się w fotelu i wzmocniłem fonię. Kabinę wypełnił zbeltany jazgot wychwytywanych przez urządzenia nasłuchowe sygnałów. Chwilę siedziałem bez ruchu, łowiąc te wymykające się zwykłym określeniom dźwięki, jakbym chciał zagłuszyć własne myśli, po czym zlustrowałem uważnie wskaźniki komputera i niespodziewanie dla samego siebie przesunąłem tłumik fonii do oporu. Nastąpiła nagła cisza.

Odetchnąłem głęboko. Tak, to już dwa tygodnie. Początkowo trzy czy cztery razy byłem wzywany do Bessa, kiedy ten dokumentował znaleziony przez nas obiekt z trupem na pokładzie. Potem przestałem im być potrzebny. Trzy dni po moim przybyciu na stację wylądowały tutaj dwa wielkie statki przybyłe prosto z Ziemi. Obydwa należały rzecz jasna do SAO, jeden przywiózł kwiat naszych specjalistów z Akademii Medycznej, a drugi najtęższe głowy Akademii Technicznej. Oddano im do dyspozycji całą stację, przenosząc stałe służby, jak na przykład nasłuch, do zaimprovizowanych pomieszczeń, byle jak zabezpieczonych przed promieniowaniem skleconymi naprędce ekranami. Nie mogłem mieć żalu, że przestali się mną interesować. Na dobrą sprawę powinienem wracać na Ziemię. Moja pierwsza misja zakończyła się fiaskiem. Bez mojej winy wprawdzie, ale w naszej służbie nikt nigdy nie pyta o winę. Albo się coś udaje, albo nie. W tym drugim wypadku lepiej nie powoływać się na przeszkody obiektywne. Co do mnie, nie miałem już przecież czego szukać na Petty po tym, jak musiałem się zdekonspirować. Jako agent SAO mógłbym tam co najwyżej urządzić sobie chatkę pustelnika.

Dyżur włókł mi się tego dnia niemiłosiernie. Licho wie, po co stale ktoś musi siedzieć w tej kabinie, przypominającej wierzchołek starej latarni morskiej, skoro i tak wszystkie możliwe sygnały przybywające z najdalszych światów rejestrują i selekcionują automatyczne przystawki komputerów. Taki regulamin. No cóż, musieli wziąć pod uwagę jakieś okoliczności, w których komputery mogły zawieść. Lub też na odmianę nie wzięli pod uwagę, że czasy się zmieniły i że SAO dysponuje wyłącznie aparaturą, zbudowaną na podstawie matematycznych modeli niezawodności. A matematyka, od czasów Viviena, także nie stała w miejscu.

Ponownie włączyłem fonię. Ekran, tłumaczący mowę gwiazd na dane liniowe, zamigotał. Ale to nie natężenie głosu spowodowało jego ożywienie. Przez moją prowizoryczną wieżyczkę, osadzoną na pękatym głazie, jednym z wielu zaścielających okolicę stacji, przebiegała właśnie linia terminatora. Czerń nieba zmieniła się w granat, który teraz nagle zapłonął jaskrawym

złotem, lekko tylko zaprawionym błękitem. Na szyby opuściły się automatycznie osłony przeciwsłoneczne. Stacja wchodziła w krótki na tym małym, niegościnnym globie dzień.

Strzałki wskaźników przesunęły się nagłym skokiem. Odruchowo wyciszyłem głośniki i sprawdziłem kierunek. Około sześciuset parseków za najbliższą galaktyką, leżącą w tej chwili na przedłużeniu promieniowania, przecinającego gwiazdozbiór Łabędzia, nastąpiła erupcja.

Katastrofa, zapewne zderzenie galaktyki zbudowanej z antycząstek z „normalną”, trwała nadal. Gdzieś w przestrzeni wyzwały się w procesie nieustannej anihilacji niewyobrażalne ilości energii. Nic nowego. Zналиśmy historię tego zderzenia od kilku lat. Takie katastrofy nie trwają krótko, jeśli liczyć miarą ziemskiego czasu. W przyszłości, gdy uda się skonstruować statki odporne na piekło anihilacji, obejrzymy to sobie z bliska. Kto wie, czy i naszej galaktyce nie stanie kiedyś na drodze analogiczne skupisko, należące do antyświata. „Łagodne” przejścia tych dwóch światów, znane od stuleci, nie stanowiły dostatecznie pewnego wentyla bezpieczeństwa. Nauczylismy się wykorzystywać antimaterię do napędu rakiet, umieszczając fotonowe silniki w ogniskach potężnych zwierciadeł. Ale już Einstein przeczuł, że to samo „długo” nie znaczy tyle, co to samo „krótko”. Więc i te metagalaktyczne katastrofy będziemy się musieli nauczyć ujarzmić i przeżywać.

Sprawdziłem automatyczny zapis, wniesiony przez komputer, i przestałem myśleć o kosmicznym piekle, płonącym za spokojnymi, nieruchomymi i pozbawionymi owego ziemskiego mrugania gwiazdami, widocznymi doskonale na nieboskłonie, pomimo jarzącego się blasku dnia. Następnie przerzuciłem nasłuch na bazę na Petty.

Ci zawsze mieli sobie mnóstwo do powiedzenia. Grupy eksploracyjne, pracujące na stacjonarnych stanowiskach, lotne patrole, szefowie poszczególnych specjalności wymieniali uwagi, żarty, informowali się nawzajem o postępie prac i ciekawszych znaleziskach. Ostatnio coraz częściej pojawiały się w tej wymianie zdań napomknienia, niby to dowcipne, o obcych przybyszach, którzy zainteresowali się Ziemią na Petty. Ktoś powiedział, że to zapewne dawni mieszkańcy planety, którzy niegdyś wyemigrowali na jakiś lepszy, odkryty przez siebie glob, przyglądają się z rosnącym niezadowoleniem natrętom, rozgrzebującym pomniki ich historii. Ktoś inny odrzekł, że przeciwnie, sygnały radiowe naszej ekspedycji ściągnęły z przestrzeni jakąś rasę, dla której te okolice były dotąd nieznanne i że ta rasa przygotowuje się właśnie do osiedlenia na Petty. Oczywiście najpierw przystąpi do usunięcia niepotrzebnych dwunożnych stworzeń, ryjących ziemię i nie przynoszących żadnego pożytku, lecz przeciwnie, wyrządzających szkody. Trzeci głos odpowiedział z przekonaniem, że obcy obserwują tylko ludzi, oczekując dogodnej chwili do nawiązania przyjacielskiego kontaktu. Poznałem natychmiast ten głos. To mówił Zamfi. Ten sam Zamfi, który pożegnał mnie z taką ironią, kiedy zdekonspirowałem się jako agent „Trójki”. Także misjonarz Kontaktu. Za wszelką cenę. Cenę, jakiej ani 011, ani jemu podobni nie potrafili sobie bodaj wyobrazić. A gdyby nawet założyć, że wkalkulowali w swoje marzenia własną zdolność do poświęceń, to nie byli upoważnieni do obdarzania nią wszystkich żyjących ludzi. I nikt z kolei nie miał prawa pozwolić im na ryzyko podobnej ofiary.

Wróciłem do mowy gwiazd. Ta przynajmniej była konkretna i prawdziwa. Każdy najkrótszy dźwięk, sygnał, trzask oznacza informację. Nie to co u ludzi.

Mój dyżur dobiegał końca. Za pięć minut powinien się zjawić zmiennik i z pewnością nie będzie nim nikt inny jak Weyth. Tylko nas dwóch zostało do prowadzenia normalnych prac na stacji.

Pomyliłem się jednak. Zmiennik przyszedł dwie minuty przed czasem i był nim zupełnie mi

obcy mężczyzna, z emblematem SAO, ale świadczącym, że pracuje w sztabie. Taki sam znaczek nosiłem jeszcze dwa miesiące temu. Nie powiedziałem mu tego. Nie wyraziłem zdziwienia. Nie należało do naszych zwyczajów dziwić się czemukolwiek.

Zdałem mu komputer i poinformowałem o przebiegu dyżuru. Skinął głową i bez słowa usiadł w zwolnionym przeze mnie fotelu. Nie uznał za stosowne przedstawić się. Przyszło mi na myśl, że to i owo w naszych zwyczajach można by już właściwie zmienić. Ale zachowałem tę myśl dla siebie. Tym bardziej że w gruncie rzeczy było mi najzupełniej obojętne, dlaczego właśnie on, a nie Weyth przyszedł mnie zmienić.

Zanim jeszcze zdążyłem dojść do mikroskopijnej kabinki, służącej mi za mieszkanie, wezwano mnie do Bessa. Zawróciłem i jadąc już windą na górny poziom pomyślałem sobie, że znowu się nie wyśpię.

W okrągłej, oszklonej salce, z której roztaczała się ponura panorama pylistego globu, pełno było ludzi. Na wprost wejścia, za pulpitem, przypominającym sztabowe biurko, tkwił Bess. Kiedy wszedłem, zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. Następnie zwrócił się w stronę niskiego, grubego mężczyzny, łysego jak kolano, który siedział w fotelu, przysuniętym do bocznej krawędzi pulpitu, i skinął mu nieznacznie głową. Tamten odpowiedział porozumiewawczo oczyma i także omiótł mnie wzrokiem od stóp do głowy. Poza tymi dwoma w sali znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn, w których na pierwszy rzut oka dało się rozpoznać specjalistów Agencji. Za pulpitem, pod panoramiczną szybą, stał Weyth. Odszedłem kilka kroków od drzwi i zatrzymałem się pośrodku pomieszczenia. Jeśli oczekiwali, że zamelduję się regulaminowo, to sprawiłem im zawód. Byliśmy dostatecznie daleko od ziemskich poligonów, a ja zostałem tutaj wezwany bezpośrednio po dyżurze. Miałem święte prawo leżeć teraz w swoim łóżku i rozmyślać o niebieskich migdałach.

– Wejdz, Ago – odezwał się wreszcie Bess, jakbym ciągle jeszcze czekał przed drzwiami. – Poprosiłem cię, bo wynikła pewna kwestia... i tak się składa, że nie rozstrzygniemy jej bez twojej zgody. Zastrzegam – dodał, spuszcżając powieki – że nie musisz się zgodzić... chodzi o coś bez precedensu...

Nastąpiła cisza. Zapewne sądzili, że skwapliwie oddam się na ich usługi bez względu na to, czego ode mnie oczekują. Ani mi się śniło. Nie byłem nowicjuszem. Niech mówią. Tym bardziej że najwidoczniej chodzi o coś, co niezbyt łatwo przejdzie im przez gardło. Skoro wszystko zależy od mojej zgody... w dodatku nie muszę się przecież zgodzić. To naprawdę było coś nowego...

– No więc jak, Ago? – odezwał się wreszcie z pewnym przymusem Bess.

Milczałem nadal. Minęło jeszcze kilkanaście sekund, po czym łysy grubas poruszył się niecierpliwie w fotelu.

– On pewnie chciałby wiedzieć, o co chodzi... – wyraził osobliwie słuszne przypuszczenie. Obdarzył mnie przy tym spojrzeniem, w którym przy dobrej woli mógłbym wyczytać maskowaną ojcowską życzliwość.

Bess skrzywił się. Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na Weytha, jakby oczekując od niego interwencji, po czym wrócił do poprzedniej pozycji i postukał palcami o powierzchnię pulpitu.

– Widzisz – zaczął, nie patrząc na mnie – to stworzenie, które znalazłeś w opuszczonym laboratorium, było naprawdę pilotem. Zbadaliśmy obiekt, ale nie znaleźliśmy śladu jakichś zapisów pamięciowych ani niczego w tym rodzaju. W ogóle wygląda na to, że usunięto stamtąd aparaturę, zanim jeszcze ta istota zginęła... albo zaraz potem. Niemniej obecność obcego

laboratorium w tym rejonie nie musi być przypadkowa. Może, ale nie musi. Rozumiesz?

– To rozumiem – zgodziłem się. – Może, ale nie musi. Brzmi to w gruncie rzeczy dość jasno...

Znowu przez chwilę panowało milczenie. Łysy specjalista przyjrzał mi się uważniej, tym razem już bez śladu owej ojcowskiej tkliwości, i ostentacyjnie zajął się swoimi okularami.

– Jedyne, co udało nam się ustalić – podjął po jakimś czasie Bess – to kierunek, z którego przybył ów obiekt. Wzięliśmy pod uwagę szybkość, drogę, jaką przebył w obserwowanym przez nas okresie, i tak dalej. Po naniesieniu poprawek uwzględniających pola grawitacyjne, o które otarł się w swojej podróży, doszliśmy do wniosku, że przywędrował od strony Chmury Strzelca. Nie stamtąd oczywiście, chodzi, jak powiedziałem, o kierunek. Kierunek, w którym możemy spróbować wysłać patrol...

Musiałem się uśmiechnąć. Patrol? I na to potrzebowali mojej zgody?

– Kiedy mam lecieć? – spytałem, starając się, żeby to wypadło możliwie najbardziej naiwnie.

Gruby specjalista przybrał stroskany wyraz twarzy. Bess zachnął się. Sylwetka Weytha na tle okna zafalowała.

– Nie w tym rzecz... – zaczął jeden z siedzących dotąd w milczeniu mężczyzna. Spojrzałem w jego stronę i umilkł.

– Polecą Weyth – burknął Bess. – Ale tym razem zabawimy się. w prawdziwych agentów. Nasi specjaliści – wymówił te słowa ze szczególnym naciskiem, jakby chciał podkreślić, że chodzi o najwyższy stopień wtajemniczenia – dadzą mu postać tego stworzenia, które znalazłeś w obcym obiekcie. Jeżeli spotka „swoich”... – zawiesił głos i uśmiechnął się. Nie był to miły uśmiech.

– Jeżeli spotka swoich pobratymców – mruknąłem – to pewnie będą już wyglądać inaczej niż ten cudaczny pilot, wysłany w przestrzeń licha wie, ile wieków temu. Aparatura, ubrania, konstrukcje i tak dalej. Nie sądzę, aby uwierzyli, że to jeden z nich. Ale mój sąd was chyba nie interesuje?...

Nie pomyliłem się. Zresztą trudno przypuścić, żeby nie brali pod uwagę wątpliwości, którymi pozwoliłem sobie podzielić się z nimi. Po prostu dostrzegli pewną szansę. Niewielką, ale zawsze. W każdym razie pominęli moje słowa milczeniem.

– I na to właśnie powinienem się zgodzić? – spytałem już normalnym tonem, przestając udawać zdziwionego.

Bess podniósł się. Przechylił się do przodu, oparł dłońmi o powierzchnię pulpitu i utkwiał we mnie spojrzeniem swoich szarych oczu.

– Weyth zgodził się na operację – powiedział z naciskiem. – Nie możemy was zmusić, żebyście zmieniali ludzkie ciało na inne. To bądź co bądź zabieg chirurgiczny, chociaż nasi specjaliści – znowu podkreślił te słowa – zapewniają, że rzecz jest najzupełniej obojętna dla zdrowia... zarówno przekształcenie plastyczne, jak i powrót do dawnej postaci. Oczywiście przed operacją zdejmy wam dokładny zapis... ale tego nie muszę mówić... – urwał i nadal wpatrywał się we mnie obojętnym wzrokiem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że powiedział i tak więcej, niż było trzeba.

Proszę. Po pierwsze, już nie „zabieg”, tylko operacja, a po drugie nie Weythowi, tylko „wam”. Dlatego potrzebna im moja zgoda.

– Mamy lecieć we dwójkę?

– Na razie nie wiemy jeszcze, czy ty polecisz – odezwał się po dłuższej chwili milczenia gruby specjalista. – Bess pytał, czy się zgadzasz?...

– W końcu – bąknął od niechcienia Bess, prostując się – i tak nie masz tu właściwie nic do roboty. Na Petty jesteś spalony...

– Więc dokąd właściwie chcecie mnie wysłać? – spytałem. – Bo przecież ten kosmaty pilot siedział w swoim pudle sam. I lepiej będzie, jeśli Weyth także ruszy bez towarzystwa... jeśli już ma kogoś udawać. Chcecie posłać dwa statki? Mogą policzyć...

– Ty poleciałbyś na Petty – odkrył wreszcie karty Bess. – Oczywiście nie do naszej bazy. Urządziłbyś sobie pracownię gdzieś na uboczu... najlepiej na sąsiednim kontynencie, tam gdzie zaobserwowano kilka razy te jakieś tajemnicze zjawiska. Jeśli to rzeczywiście goście z kosmosu interesują się naszymi archeologami, to możemy się spodziewać, że wyglądają dokładnie tak samo, jak ów, jak go nazwałeś, kosmaty pilot. Inaczej mówiąc, że należą do tej samej cywilizacji. Dotąd nie spotkaliśmy żadnej i trudno przypuścić, żeby naraz spadły nam z nieba aż dwie i to najzupełniej różne. Chyba jasne. Więc posiedzisz sobie na Petty i będziesz miał na oku zarówno naukowców, jak i tych hipotetycznych przybyszów. Gdyby przypadkiem naprawdę się pojawili, zobaczysz, czy nie uda ci się zbliżyć do nich... rzecz prosta, jeśli będziesz wyglądał tak jak oni.

Nic dodać, nic ująć. „Posiedzę sobie”. W kudłatej skórze mieszkańca jakiejś zagubionej galaktyki, z sześciorami palcami u dłoni podobnych do spodeczków, z garbami z przodu i z tyłu, z jakimiś rączkami na piersi i z małpią urodą. „Zabawimy się w prawdziwych agentów” zabrzmiały mi w uszach niedawne słowa Bessa. Rzeczywiście. Takiego szpiega nie było jeszcze jak świat światem. Dobra. Mogę sobie „posiedzieć”...

– No, to zabierajcie się do mnie – powiedziałem wesoło. – Marzę o chwili, kiedy po wyjściu z sali operacyjnej będę mógł spojrzeć do lustra...

Ta chwila nadeszła wcześniej, aniżeli się spodziewałem, ale jakoś trudno było mi się zdobyć na lekki ton, z jakim wyrażałem zgodę na moje przeobrażenie. Z wąskiego lustra w przedścionku sali konferencyjnej stacji patrzyły we mnie okrągłe, pozornie pozbawione powiek oczy wypchanego misia. Na stacji nie było kobiet, więc przyszedłem tu nago. Mogłem się nie obawiać chłodu. Tylko stopy i wnętrza dłoni miałem nie owłosione. Pozostałe części ciała, nie wyłączając twarzy, porastała brązowozłota sierść, którą na grzbiecie jakiegoś zwierzęcia uznałbym za powabną i miłą. Nie wchodziłem w to, czy pewne drobiazgi anatomiczne obcy pilot miał takie same, jak my. Wystarczyło mi, że pod tym względem pozostałem nie zmieniony. Rozchodzące się krzyżowato cztery ramiona czyniły mnie podobnym do bezkształtnej bryły. Może była w tym nawet jakaś proporcja, ale zdążyłem się już przyzwyczaić do innych. Najbardziej zaskakujące, chociaż zostałem przecież uprzedzony, było to, że owe palczaste wyrostki w zagłębieniu piersiowego garbu, podobnie jak i inne części ciała, które mi przybyły, wykazywały czucie i wrażliwość moich naturalnych kończyn. Były unerwione i wołałem nie dociekać, czy ową zmysłową sprawność zawdzięczam doprowadzeniu do wszystkich zakamarków mojej nowej postaci własnych neuronów, czy też w grę wchodzi jedynie działanie pól elektromagnetycznych, jak w wypadku protez. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że „dodatki” zostały włączone do mego krwioobiegu. Tak zresztą musiało być, jeśli naprawdę chciałem mieć szansę oszukania chociażby najstarszego, steranego sklerożą i ślepego w dodatku przedstawiciela obcych. Mimo to owa wrażliwość w miejscach, gdzie jeszcze przecież mnie nie było ostanowiła najbardziej niesmaczne i ponure zaskoczenie.

Nóg mi nie skracano. Pewnie powinienem być za to wdzięczny owym „naszym specjalistom”, bo jednak co kości, to kości. Pogodzono się jakoś z faktem, że jestem o dwie głowy wyższy od znalezionego w kosmicznym wraku martwego pilota. Ale i wśród swoich uchodziłem za drągała. Ostatecznie przy spotkaniu z obcymi mogłem stąpać na ugiętych kolanach. Przy spotkaniu, do którego i tak nie dojdzie, o czym – za to mogłem dać głowę – nie ja jeden byłem przekonany. To

prawda, szansa była. Taka jak zetknięcie się w przestrzeni dwóch gwoździ, wystrzelonych z dwóch różnych galaktyk. Ale była.

Oderwałem się wreszcie od lustra i, mimo woli kołysząc się w biodrach i ramionach jak prawdziwa małpa, poszedłem do mojej kabiny, gdzie wbiłem się w przygotowany dla mnie kombinezon. Był zrobiony na miarę, jeśli to odpowiednie określenie. Nawet wymyślili specjalną kieszeń na owe paluszki, sterczące z wybrzuszonej klatki piersiowej, z którymi zresztą i tak nie wiedziałem, co robić. Nie umiałem się nimi posługiwać i nie przychodziła mi do głowy żadna sytuacja, w której ten stan mógłby ulec zmianie. Diabli wiedzą, co oni robili tymi kielbaskowatymi, pozbawionymi paznokci i otoczonymi szczególnie delikatną skórą wyrostkami. Byłem rad, że z trudem bo z trudem, ale mogłem jednak umieścić je w owej nadzwyczajnej kieszeni i starać się zapomnieć o ich istnieniu.

Skafander był już gorszy. Stanowił wierną kopię kosmicznego ekwipunku obcego i dlatego wydał mi się bardziej krępujący. Zbadali materiał, z którego go sporządzono i postarali się o podobny. Nie przypominał w niczym przewiewnej, ziemskiej tkaniny, używanej do szycia kombinezonów, a także naszych skafandrów, z wbudowaną w nie aparaturą, tak dobrze znaną każdemu z nas. Tam na przykład, gdzie mój zwykły strój miał pięć klawiszy łączności, tutaj znajdowały się jakieś trójkątne wypustki o niewiadomym przeznaczeniu. Podręczny anihilator, który wbudowano w jakiś aparat, znaleziony przy obcym, miał kolbę stanowczo za długą jak na pięć palców, natomiast spust był tak skonstruowany, że nie mogłem nauczyć się trafiać w niego żadnym z moich obecnych sześciu. Osobny problem stanowiły butle tlenowe. Po obu stronach garbu na plecach obcego jego skafander miał wprawdzie coś w rodzaju stelaży, ale żadnych pojemników w tamtym pojeździe nie znaleziono. Mnie osobiście najmniej to martwiło, ponieważ na Petty jest znakomita atmosfera, znacznie przyjemniejsza od ziemskiej, ze względu na wyższy procent tlenu, ale zastanawiałem się, jak wybrnięto z tego dylematu w wypadku Weytha. Zwłaszcza że „naszym specjalistom”, jak wywnioskowałem z braku odpowiedzi na moje kilkakrotnie powtórzone pytanie, nie udało się wyjaśnić, jaką mieszanką oddychał obcy pilot. Miał płuca podobne nieco do ludzkich, ale takie płuca mogą przecież pracować w każdej atmosferze, byle ciśnienie odpowiadało budowie pęcherzyków. To pewne, że nie chciałbym być w skórze Weytha. Chociaż powiedzenie, że nie chciałbym być w czyjejs skórze, musiało teraz brzmieć w moich ustach co najmniej dziwnie.

Kiedy następnego dnia rano po operacji udałem się znowu do oszklonej salki, Bess już na mnie czekał. „Specjalistów” reprezentował jedynie ów łysy grubas, który w czasie pierwszej rozmowy poświęcał mi najwięcej uwagi. Weytha ani pozostałych akademików SAO nie było. Co do tego pierwszego wolałem nie pytać, czy będą z nim rozmawiać osobno. Jak najmniej pytań, to mądra dewiza. Zwłaszcza pytań nie dotyczących spraw bezpośrednio zainteresowanego i takich, na które nie ma zadowalających odpowiedzi.

Na mój widok Bess skrzywił się i odwrócił głowę. Przynajmniej szczerze. Wolałem to od pełnego zachwyty uśmiechu „specjalisty”. Nie pozwoliłem mu czekać. Spojrzałem na niego i wyszczerzyłem zęby. Spowaźniał od razu.

Bess milczał jeszcze chwilę, po czym przystąpił do rzeczy. Na jego pulpicie pojawiły się szczegółowe mapy Petty. Uruchomiłem mój nadajnik i połączyłem się z komputerem statku, który czekał już na lądowisku i który na Petty miał mi służyć jako baza wypadowa, mieszkanie i laboratorium. Oczywiście zaopatrzone go w specjalne urządzenia maskujące.

Słuchałem opowieści o tajemniczych zjawiskach, zaobserwowanych na planecie, zapoznawałem się z terenem, zapamiętywałem granice rejonów eksploracyjnych archeologów. A

jeśli czegoś nawet nie zapamiętałem, zastępowała mnie w tym automatyczna przystawka komputera, do której w razie potrzeby będę mógł w każdej chwili sięgnąć. Co natomiast sam musiałem wiedzieć, nawet wyrwany ze snu pośrodku nocy, to współrzędne mojego stanowiska i symbole kodu, którym miałem się porozumiewać z satelitą. Rzecz jasna ten kod pobiegnie wiązkami nieuchwytnymi dla stacji nasłuchowych naukowców, ale tak było przecież zawsze. Sądząc z mapy, miejsce pobytu na Petty nie powinno budzić moich wątpliwości. Był to porośnięty ponoć niska, jakby stepową zielenią obszar nad brzegiem centralnego oceanu, w cieplej strefie klimatycznej i w odległości zaledwie godziny lotu od jednego ze skupisk starych miast, w którym rezydowali nasi humaniści. Prawdopodobieństwo wykrycia mnie przez ich patrolujące powietrzne obszary globu maszyny było żadne, wspomniałem już o maskowaniu i mogłem, mieć pewność, że będzie aż nadto dobre. Pod tym względem Agencja dysponowała naprawdę najlepszymi specjalistami.

Była późna noc, kiedy opuszczałem oszkloną kabinę. Noc według ludzkiego zegara biologicznego, jeśli wolno mi było jeszcze takim się posługiwać. Ale inna miara czasu w przestrzeni nie istnieje, a ja, choć owemu grubemu facetowi z Akademii SAG wydałoby się to może niestosowne, nadal czułem się człowiekiem.

Łądowałem trzy dni później, w słoneczne popołudnie, dokładnie w miejscu przewidzianym programem lotu. Wybrałem niewielki, półkolisty placyk w podłużnym zagłębieniu, przypominającym wąwóz o bardzo łagodnych stokach. Szczyt statku wystawał ponad okoliczne wzniesienia, zapewniając mi doskonałą widoczność, nawet bez uciekania się do pośrednictwa ekranów.

Kiedy tylko promieniowanie pozostałe po wybuchach chemicznych silników kierunkowych spadło do dopuszczalnej wartości, zamaskowałem raketę i przeprowadziłem operację osłony. To znaczy wysłałem automaty strażnicze, zaprogramowane tak, by pokryły siecią pól siłowych całe koło, pośrodku którego stanął statek. Promień tego koła nie był mały, wynosił mniej więcej sześćset metrów. Tak wypadło, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu

Natychmiast po ukończeniu wstępnych czynności przekazałem raport Bessowi, po czym wzięłem lekką, pomalowaną na jasnoblękitny kolor sondę i poleciałem rozejrzeć się po okolicy. Nie zabawiłem długo i nie odkryłem niczego podejrzanego. Wracając, stwierdziłem z zadowoleniem, że dla kogoś obcego mój statek jest nie do wykrycia, nawet z odległości dosłownie kilku metrów. Jak zwykle maskowanie było idealne. Przemknęła mi myśl, że aparaty radiolokacyjne naukowców zapewne wykryły moje zbliżanie się do planety. Jeśli tak, znowu będą mieli o czym mówić. Kto wie, może już w tej chwili płynie w kierunku Ziemi meldunek o jeszcze jednym tajemniczym zjawisku, przemawiającym za obecnością na Petty istot całkowicie odmiennych od ludzi. Co najzabawniejsze, nie byłoby to znowu tak dalekie od prawdy...

Miałem trochę kłopotów w łazience, zanim udało mi się jako tako umyć skórę twarzy pod mięką, ale gęstą sierścią. Ciągle – jeszcze przebierałem moimi dwunastoma palcami jak niemowlę, które odkrywa własne ciało i bawi się jego budową, całkowicie dla niego niedorzeczną i niezrozumiałą. Z ułożeniem się do snu także nie było najlepiej. Dwa garby, z przodu i z tyłu, to za wiele, nawet dla najmniej wymagających agentów. O łóżku, przystosowanym do moich nowych kształtów, oczywiście nie pomyśleli. Nie było przecież potrzebne do wykonania zadania. Co innego fotel sterowniczy. Ten potrafili pięknie wymodelować, ba, zadbali nawet o to, bym do podajnika żywnościowego mógł sięgnąć owymi piersiowymi paluszkami, czego nawiasem mówiąc nie próbowałem nawet dokonać. Obiad zjadłem dopiero po kąpieli, bezpośrednio przed zaśnięciem.

Spałem chyba długo. Zbudziłem się niezbyt wypoczęty, ale wyspany. Tym razem nie trapiły mnie sny. Nie wiedziałem tylko, czy to zasługa mojej równowagi psychicznej, czy też czulej opieki aparatury korekcyjnej czynnej – jak zawsze podczas akcji – bez chwili przerwy.

W każdym razie zbudziłem się wyspany i stwierdziwszy, że na dworze zapadł już zmierzch, postanowiłem nie zwlekając przystąpić do pierwszego punktu planu.

Wezwałem rezerwowego automat strażniczy, uzbrojony w anihilator, automat ciężarowy, wziąłem łazika i pojechałem na wybrzeże. Anteny moich „oczu” i „uszu” doniosłyby mi niewątpliwie, gdyby w pobliżu znalazł się ktoś żywy, niemniej wolałem trzymać się dna owego rowu, w którym osadziłem statek. Doprowadził mnie nad brzeg oceanu, to znaczy niemal nad brzeg, bo do stóp poprzedzających piaszczystą plażę wydm. Pozostawiłem aparaty ukryte pod zboczem, a sam wspiąłem się na wierzchołek najwyższego wzniesienia, z trudem stąpając w miążskim, lotnym piasku. Okolice nie była brzydka. Nad horyzontem wschodził właśnie księżyc i wyglądał tak, jakby nigdy nie zbudowano na nim stacji SAO i jakby nie było tam ani Bessa, ani łysego grubasa i jemu podobnych, którzy na swoich ekranach śledzą każdy mój krok. Niech śledzą. I tak jest ładnie. Noc jaśniejsza niż w czasie pełni na Ziemi, ocean pobłyskujący miejscami jakby plamami rtęci, spokojny i kołyszący głębokim szumem. Powietrze...

Nie śpiesząc się zdjąłem kask i rzuciłem go na piasek. Przyszła mi chęć zbiec po zboczu wydmy do oceanu i popływać. Spojrzałem z żalem na okrywający mnie szczelnie skafander i ujrzałem sterczącą z rękawa włochatą, sześciopalczystą rączkę. Natychmiast oprzytomniałem. Kąpiel? Jeszcze od tego wylinię...

Wezwałem automaty. Wydałem im polecenia i przez chwilę patrzyłem, jak przystępują do ich wykonania. Kiedy anteny, peryskopy laserowe, kamery i czujniki analizatorów spoczęły już w wygrzebanych w piasku dołach, oderwałem wzrok od czarnych postaci wykonujących niespieszne, precyzyjne ruchy i rozejrzałem się. Przede mną rozciągał się ocean. To właśnie tutaj, w tym rejonie zaobserwowano nad nim jakieś świecenie, polatywanie i inne zjawiska optyczne łącznie z rzekomymi obiektami latającymi. Powierzchnia wody była spokojna, szerokie, jakby wygładzone fale wznosiły się i opadały w zwolnionym rytmie, ocean oddychał powoli i bezgłośnie jak ogromne, uśpione zwierzę. Za widnokregiem leżał południowy kontynent, niegdyś również zamieszkały, podobnie jak większość lądów na Petty, ale teraz nie tknięty jeszcze stopą archeologów. Tylko lotniczy zwiad przyniósł wstępne informacje o wielkich zrujnowanych miastach, wysokich stożkowatych budowlach, kanałach i drogach. Te ostatnie, jak wszędzie tutaj, bieging krótkimi stosunkowo, nie łączącymi się ze sobą odcinkami, co stanowiło jedną z wielu nie wyjaśnionych dotąd zagadek umarłej cywilizacji.

Brzeg oceanu wcinął się w tym miejscu w ląd wklęsłym, szerokim łukiem. Moja baza leżała nad otwartą zatoką. Na lewo, za pasmem wydm step zaczynał stopniowo przechodzić w zaokrąglone wzgórza, porośnięte niską, zmierzwioną roślinnością, niesłychanie miękką i delikatną w dotknięciu jak nitki jedwabiu. Pagórki zajmowały teren do odległości mniej więcej pięciu kilometrów od miejsca postoju statku. Poza nimi zaczynał się gęsty, tropikalny las. Powietrze było czyste jak kryształ, noc jasna i widziałem dokładnie czerniejącą na horyzoncie poziomą kreskę, oznaczającą granicę puszczy. Po przeciwnej stronie rozciągała się pustynia. Pamiętałem, że nie dalej niż jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów zamyka ją skaliste pasmo górskie, opadające wprost ku śródlądowemu morzu, połączonemu z oceanem wąskim przesmykiem. Za tym morzem, upstrzonym licznymi wyspami, znajdował się ląd okupowany przez Ziemian. Ich bazy, nie wyłączając centralnej, rozmieszczone były w niewielkiej stosunkowo odległości od brzegu, zdaje się, że na tym właśnie obszarze zlokalizowano jedno z głównych centrów dawnej

cywilizacji. W każdym razie było tam najwięcej skupisk zwartej zabudowy, urządzeń technicznych i ruin.

Jutro w nocy powtórzę tę operację z automatami, wybiorę się jednak nieco dalej. Takie same czujniki, obiektywy kamer, peryskopy i nasłuch zainstaluję na najwyższym szczycie gór, piętrzących się nad morzem, za którym byli ludzie. O pojawieniu się obcych, jeśli jakimś niebywałym trafem dojdzie do niego, poinformują mnie sygnalizatory, zagrzebane tutaj w piasku, nad oceanem. O tym, co robią ludzie, dowiem się od aparatów, którym zapewnię bezpośrednia obserwację. Morze śródłądowe, za górami, liczyło w linii powietrznej zaledwie dwieście kilometrów szerokości. Będę wiedział, kiedy któryś z nich kichnie, nie mówiąc już o startach maszyn i wymarszach patroli, z których jakiś mógł przecież ostatecznie wyruszyć w kierunku mojej rakiety. Tym bardziej że obszar, w którym pojawiły się dziwne zjawiska, interesował ich także. Była to niezbyt wygodna okoliczność, ale nie mogliśmy im zabronić poruszania się po planecie, którą badali. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Do wschodu słońca, które weszło nad oceanem i od razu znalazło się wysoko na firmamencie, czuwałem na wydmach, ale nie zaszło nic, co zwróciłoby moją uwagę. Wróciłem do rakiety, zjadłem coś, po czym spędziłem kilka godzin nad mapami, przy wtórze powtarzających dane głośników komputera. Na nasłuch było za wcześnie. Jutro czeka mnie bardziej pracowity dzień. Jutro będą już wiedział, o czym mówią naukowcy, pracujący tak daleko, a równocześnie tak blisko, jeśli pomyśleć o drodze, którą przebyliśmy, aby tu dotrzeć.

Powtórzyłem sobie rejestr zagadkowych zjawisk, występujących na planecie, sprawdziłem programy zagrzebanych w piasku aparatów i poszedłem spać.

Zbudziłem się godzinę przed zachodem słońca. Jeden rzut oka na wskaźniki wystarczył mi, aby się przekonać, że nic szczególnego się nie wydarzyło. Zresztą gdyby do statku dotarły jakieś niezwykle sygnały, komputer obudziłby mnie od razu. Połączyłem się z Bessem, jak w myślach zacząłem już nazywać całego satelitę, na którym SAO założyła naszą stację, i poinformowałem go o moich planach. Wysłuchał w milczeniu i mruknął przyzwalająco. Nie miał nic do powiedzenia. A ja wolałem nie pytać, czy Weyth jest jeszcze u nich, czy już w przestrzeni. I czy w tym drugim przypadku mają z nim łączność.

Dwadzieścia minut później byłem w drodze. Tym razem zabrałem specjalność Agencji, janusa. Pojazd o tym klasycznym imieniu był wprawdzie stosunkowo powolny, za to znakomicie uzbrojony i wyposażony. Mógł poruszać się po lądzie, unosić na poduszce atmosferycznej, pływać, także pod wodą, a w razie potrzeby wryć się pod powierzchnię gruntu. To ostatnie było szczególnie ważne w okolicznościach, które zmusiłyby kierowcę do użycia anihilatora. Nie słyszałem wprawdzie o podobnym wydarzeniu, oczywiście poza ćwiczeniami na poligonach, ale to o niczym nie świadczyło. Jeśli istniała SAO, musiała także istnieć doskonała, to znaczy doskonale niszcząca broń.

Kiedy zakończyłem pracę na skalistym siodle kilka metrów poniżej najwyższego szczytu góry dochodziła północ czasu miejscowego. Włączyłem nasłuch i wysłuchałem rozmowy dwóch naukowców, prowadzonej przyciszonymi głosami, zapewne w bezpośrednim sąsiedztwie śpiących kolegów. Jednym z nich był Warda. Głosu drugiego nie rozpoznałem. Pewnie należał do uczonego, przebywającego na Petty dłużej niż towarzysze pierwszego etapu mojej podróży. Mówili o kołach świetlnych, zauważonych poprzedniego wieczoru przez jakiegoś Sema, na południowym zachodzie. Porównywali je do kółek dymu, wypuszczanych dla zabawy z papierosa. Tyle że ten dym płonął jaskrawym, pomarańczowym światłem, które potem zmieniło barwę na błękitną. Słowo Kontakt nie padło ani razu, ale z podtekstu rozmowy wynikało, że nie

myśla o niczym innym.

Wzruszyłem ramionami i powróciłem do kabinki mojego janusa. Miałem trochę kłopotów zanim udało mi się wrócić na równinę. Góry były dzikie, postrzępione i pojazd z trudem utrzymywał wysokość nad skalnymi igłami, niektóre z nich wymijając dosłownie w ostatnim ułamku sekundy.

Jechałem już łagodnie opadającym ku pustyni stokiem, kiedy na widnokręgu, na przedłużeniu linii biegnącej od miejsca, w którym się znajdowałem do spoczywającego nad oceanem statku, ujrzałem na niebie coś, co w pierwszej chwili wydało mi się zorzą polarną. Ale nikt nie widział jeszcze zorzy, która występowałaby w postaci ogromnych cieni, rzucanych przez jakiś monstrualny projektor na jednolicie świecące nocne niebo. W następnej chwili firmament rozjarzył się złotym błękitem, zjawisko przybrało kształt pionowego koła, do połowy swojej tarczy wynurzającego się z oceanu. Na powierzchni tego półkola przemieszczały się jakieś ciemniejsze kształty. W pewnej chwili dostrzegłem jakby smukły, choć nienaturalnie powiększony obrys rakiety, dokładnie takiej, jaką tutaj przybyłem.

W tej samej chwili usłyszałem ostrzegawczy terkot przystawki łączności. Włączyłem nasłuch i sprawdziłem sprzężenie z aparaturą, którą pozostawiłem w miejscu lądowania. Ta jednak milczała, jakby się nic nie działo. Było to co najmniej dziwne, ponieważ rozmiary zjawiska, sięgającego niemal zenitu, wykluczały możliwość przeoczenia go przez czujniki zainstalowane na plaży.

Przyśpieszyłem. Spod kadłuba dobiegło wysokie granie pracujących pełną mocą silników. Mimo to robiłem nie więcej niż sto na godzinę. Dla janusa był to szczyt jego możliwości. Centralka łączności nie przestawała terkotać, teraz jednak wiedziałem już, że to tylko Bess pragnie zapytać, co słyszać. Połączyłem się z nim i przekazałem mu krótki meldunek. Wysłuchał nie przerywając mi ani jednym słowem, po czym spytał, co robią archeolodzy. Kiedy powiedziałem, że śpią i tylko dwóm z nich zebrało się na nocną pogawędkę, mruknął, że tak właśnie powinno być i przerwał łączność.

Świetliste półkole zaczęło się obniżać, cały ogromny krąg powoli tonął w oceanie. Rysujące się na nim cienie nieruchomiały stopniowo, równocześnie malejąc. Nadal wydawało mi się, że rozpoznaję kontury statku, ale wokół niego pojawiły się jakby refleksy bardzo wolno pracującego, gigantycznego śmigła. Śmigła zbudowanego z luster, bo niebo nad brzegiem zaroilo się nagle od blednących w miarę upływu czasu refleksów. Byłem w połowie drogi od gór do statku, kiedy całe to widowisko w ułamku sekundy zgasło jak wyłączona lampa. Pozostała rozświetlona księżycem noc i gwiazdy. Mimo to nie zwalniałem tempa jazdy, a raczej polatywania mojej maszyny. Zabezpieczyłem tylko na powrót miotacze i rozsiadłem się wygodniej w fotelu. Wpisałem w komputer kierunek, w którym wystąpiło pierwsze „zagadkowe zjawisko”, z jakim zetknąłem się na Petty, i własne wnioski. Nie było ich wiele. Słyszałem terkot podajnika, przesuwającego taśmę długo potem, kiedy już skończyłem. Znaczyło to, że komputer osadzonego nad brzegiem statku zażądał od mojej aparatury informatycznej dodatkowych wyjaśnień. Czyli że wiadomości, przekazane mu z kabiny janusa, były dla niego nowością. A więc to nie łączność zawiodła. Po prostu czujniki, pozostawione na miejscu lądowania, rzeczywiście niczego nie wychwyciły. Dziwne. Co najmniej dziwne. Przecież zjawiska optyczne są taką samą informacją jak dźwięki, słowa czy każdy w ogóle ruch. Najwidoczniej zjawisko, jakiego byłem świadkiem, pozwalało się obserwować z pustyni pomiędzy górami a oceanem, natomiast dla kogoś stojącego na wybrzeżu pozostawało niedostrzegalne. Czy tak właśnie miało być, czy też chodziło tylko o przypadkową grę promieni

owego światła, płynącego z niewiadomego źródła? Od odpowiedzi na to pytanie zależało z pewnością niemało. Ale na razie na jakiegokolwiek odpowiedzi było za wcześnie.

Dalsza droga do samego statku przebiegła mi już bez żadnych emocji. Na miejscu sprawdziłem na wszelki wypadek bębny pamięciowe automatów strażniczych i, oczywiście, czuwających na wydmach aparatów wychwytyjących. Żaden z nich nie zanotował niczego szczególnego. Ponownie zająłem się komputerem statku i spędziłem przy jego pulpicie dwie godziny, pozostałe do wschodu słońca. Następnie machnąłem ręką na naukowców, myśląc sobie, że jeszcze jeden dzień wytrzymają bez mojej „opieki”, i zasnąłem.

Obudził mnie alarmowy sygnał komputera. Zerwałem się i dopadłem ekranów. Na dworze panowały ciemności. Wrzuciłem klawisz przystawki rejestrującej, cofając zapis, a równocześnie gorączkowo wbijałem się w roboczy skafander. Zapiąłem go, błyskawicznie sprawdziłem wskaźniki mocy i przygotowałem miotacze.

Teraz dopiero zaalarmowałem Bessa, równocześnie kontrolując automaty strażnicze i puszczając w ruch bęben pamięciowy, żeby zapoznać się z wydarzeniami. W tym samym ułamku sekundy okna statku i ekrany przeszył upiorny błysk. Natychmiast zawtórował mu grzmot, od którego w ściankach rakiety obudził się wysoki, śpiewny rezonans. Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, moją pierwszą myślą było, że w polu siłowym, chroniącym zaimprovizowaną bazę, musiała powstać jakaś luka. Sprawdziłem to natychmiast, ale wszystkie wskaźniki stały spokojnie na pozycjach roboczych. Brzęczek alarmu ucichł. Oślepił mnie nowy błysk, po którym statkiem wstrząsnął kolejny łoskot, jakby waliły się góry. I jeszcze jeden błysk. Odruchowo nasunąłem na ekrany osłony przeciwsłoneczne i wtedy dopiero zrozumiałem, że to po prostu burza.

Jak okiem sięgnąć, niebo stało w ogniu. Pioruny i błyskawice zlewały się z sobą, rozświetlając firmament ciągle nowymi wybuchami, których ogniska zdawały się być rozrzucone nad całą półkulą globu. Nie była to z pewnością pocziwa, lokalna burza, jaką człowiek na Ziemi przyjmował z westchnieniem ulgi.

Sygnał alarmu uderzył jeszcze raz z głośników, drżał w powietrzu kilkanaście sekund i umilkł. Co, u licha? Przecież automatów strażniczych nie mogła zaniepokoić burza, niechby nie wiem jak rozległa...

Usłyszałem szum, który przebił się nawet przez ściany statku, a następnie wysoki gwizd, podobny do odgłosu startującej małej rakiety. Zaraz potem gwizd opadł, przechodząc w ponure, basowe wycie. Równocześnie strzałki poboru mocy przesunęły się w okienkach wskaźników. Sytuacja zaczynała być poważna. Ktoś lub coś usiłowało przedrzeć się przez otaczające statek pole...

Pomyślałem o oceanie, wzburzoną szalejącą burzą, i sprawdziłem łączność z aparatami, ukrytymi w stoku wydmy. Były dostatecznie wysoko, by pozostawać poza zasięgiem fal... ale fal, których zwyczajnie mogłem przewidzieć. Nie spodziewałem się takiej burzy...

Aparaty były jednak w porządku. W ułamkach sekund pomiędzy wyładowaniami usiłowałem wypatrzyć coś przez obiektywy kamer, na ekranach; wreszcie gołym okiem. Na próżno. Reflektorów mimo wszystko wolałem nie zapalać. Jak długo się da, nie zaprzepaszczę trudu, który włożono, by zamaskować moją zaimprovizowaną rezydencję.

I nagle nastała cisza. Jeden jedyny krzaczasty rozbłysk rozmył na mgnienie aparaturę przed moimi oczami, po czym ciemność zaczęła powoli ustępować. Niebo i okolica z czarnych stały się granatowe, następnie szare, wreszcie ujrzałem zarysy wydmy, wzburzony ocean, moje własne automaty, brzegi płytkiego wąwozu, w którym stałem. Wtedy dopiero rzuciłem okiem na zegarek

i zrozumiałem że nie przespałem, jak poprzednio, całego dnia. Dochodziła zaledwie piąta po południu. To tylko burza sprowadziła na ten obcy świat przedwczesny wieczór.

Kiedy pojaśniało na dobre, postanowiłem wyjść. Agregaty stymulujące pole siłowe pobierały już zwykłą moc, wszystkie urządzenia działały normalnie, łączność zarówno z Bessem jak i moimi własnymi automatami przebiegała bez zakłóceń, słowem sielanka. Na wszelki wypadek zabrałem jednak z ładowni janusa i, pilotując go zdalnie falami radiowymi, utrzymywałem w odległości dziesięciu metrów za sobą.

Nie uszedłem daleko. Natychmiast po opuszczeniu chronionej strefy moje stopy ugrzęzły w jakiejś galaretowatej masie, jakby w czasie burzy morze wyrzuciło daleko w ląd miliardy wielkich meduz. Rozejrzałem się. Jak okiem sięgnąć, cała powierzchnia ziemi pokryta była metrową co najmniej warstwą tej idiotycznej żelatyny. Zrozumiałem, czemu automaty potrzebowały więcej mocy niż normalnie. Jej pobór musiał w pewnym momencie przekroczyć dopuszczalne granice, skoro komputer postanowił zaalarmować załogę.

Postałem kilka minut, przyglądając się miejscu, gdzie moje nogi ginęły z pola widzenia, grzęznąc w spadłej z nieba galarecie, po czym zawróciłem i nie bez uczucia ulgi wyszedłem na suchy grunt. Poleciałem automatom zbadać zaścielającą ląd substancję i ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości, że mam do czynienia z czymś naprawdę bardzo podobnym do najzwyczajniejszej żelatyny. Wtedy przypomniałem sobie, co już bardzo, bardzo dawno temu pisano o tak zwanych piorunach kulistych, jak wtedy je nazywano, i towarzyszących im zjawiskach „ładowania” na Ziemi ogromnych brył lodu, martwych zwierząt czy właśnie substancji zbliżonej do żelatyny. Jeżeli wyjaśnienie tego, co leżało przed moimi oczami, było tak proste jak tamtych fenomenów, to nie miałem czym

zawracać sobie głowy. Co nie zmieniało faktu, że owa pokrywająca ląd trzęsączka wydała mi się w najwyższym stopniu obrzydliwa. Na szczęście topniała dosłownie w oczach, jak śnieg rzucony na rozgrzany piasek, i tak samo szybko wsiąkała w ziemię. Nie upłynęło piętnaście minut, a krajobraz wrócił do swojego zwykłego wyglądu. Stłamszona galaretą roślinność odetchnęła i na powrót przybrała postać jedwabistego, długiego i zmierzwionego futra.

Wróciłem do statku, wpisałem wyniki analizy do przystawki pamięciowej i przesłałem to wszystko wraz ze stosownym opakowaniem Bessowi. Nie oczekiwałem odpowiedzi i miałem rację. Cóż, zwykła burza.

Nie kładłem się już. Zjadłem kostkę koncentratu, popiłem kawą i zasiadłem za pulpitem. Nałożyłem na głowę słuchawki, żeby nie tracić kontaktu z akustyczną sygnalizacją mojej „straży”, i włączyłem aparaty nasłuchowe zainstalowane w górach.

Uderzyła mnie cisza. Sprawdziłem sygnalizację łączności, ale linie były w porządku. Co się więc stało? Pospali się? Zatopiła ich burza? Z pewnością niejedną już przeżyli tutaj w swoich bazach. Wyjechali na spacer? Wszyscy?

Przeprogramowałem centralkę komunikacyjną i kazałem szukać na wszystkich częstotliwościach. Równocześnie zlikwidowałem blokadę kierunkową. W tym samym momencie ich usłyszałem. Nasze pelengi działają błyskawicznie. Zanim jeszcze dotarło do mnie znaczenie słów, a raczej okrzyków, które wymieniali, wiedziałem, że znajdują się po tej stronie śródlądowego morza i że przekroczyli już pasmo górskie. Inaczej mówiąc byli na mojej pustyni, czyli bardzo blisko. Nie kierowali się jednak w moją stronę, tylko nieco bardziej na wschód. Zmierzali prosto do centrum największego na tej planecie bezwodnego obszaru, jakim kiedyś u nas była Sahara.

Ale to jeszcze najmniejsze. Kiedy wsłuchałem się w to, co wykrzykują, w pierwszej chwili

przebiegły mi po plecach jakby drobniutki, lodowate mrówki. Niezbyt się pomyliłem. Opuścili bazę chyba wszyscy. W każdym razie centralną bazę, dysponującą największymi agregatami energetycznymi i wszystkim, co ludziom zamieszkałym chwilowo na tym globie było niezbędne do przetrwania. I to opuścili ją w okolicznościach, które nie pozwalały mi pozostać obojętnym.

– Gdzie jesteś?! – zabrzmiał w głośniku gorączkowy, wysoki głos mężczyzny. – Nie słyszę cię! Beccari! Beccari!

– Nie mam go na nasłuchu – odpowiedział drugi głos, któremu towarzyszyły trzaski jakby wyładowań. – Nie mam go od kilku minut! Widzisz coś, Monk?

– Kto mówi? – zabrzmiał trzeci głos, tak czysto i pozornie blisko, że aż się wzdrygnąłem. – Tu Beccari. Tu Beccari. Sem, Monk, dlaczego nie odpowiadacie? Gdzie jesteście...

Trzaski. Przez chwilę słyszałem tylko szумы i zakłócenia, jakbym tkwił w tamtej swojej kabince nasłuchu na satelicie i przysłuchiwał się mowie gwiazd.

– Miałeś namiar? – spytał mężczyzna, którego usłyszałem pierwszego. – Słuchaj, Monk, halo?!

– Jestem, Sem. O co chodzi?

– Miałeś namiar Beccariego? Tam, gdzie go ostatni raz usłyszałeś?

– Tu Beccari. Tu Beccari. Dlaczego nie odpowiadacie?...

– ...giego równoleżnika. Mniej więcej trzydzieści kilometrów – głos kogoś, kogo nazywano Monkiem. – Jadę tam pełną mocą silników. Podać ci kierunek?

– Nie trzeba. Ja...

– Tu Beccari – głos mówiącego wzniósł się w wyższe rejestry gamy. – Widzę obiekt! Słuchajcie! Widzę obiekt! Jest ogromny...

– Monk, Monk...

Nie mogłem zwlekać. Wiedziałem już dość. To jedno słowo „obekt” powiedziało mi więcej niż wszystkie rozmowy, które mógłbym jeszcze podsłuchać. Nie miałem chwili do stracenia. Można się było tego spodziewać. Zobaczyli coś. Zobaczyli i ruszyli wszyscy, ilu ich było, zostawiając bazę na łasce automatów... które wcale nie były zaprogramowane zgodnie z instrukcjami SAO...

Minutę później siedziałem już w janusie. Zdażę. Muszę zdażyć. Na ekranie mój komputer malował wyraźnie drogę, którą poruszały się ich pojazdy. Było ich cztery. Słyszałem trzy, przy czym jeden z nich, ten, w którym przy radiu siedział ów Beccari, nie miał łączności z pozostałymi. Byłem bliżej punktu, do którego zmiierzali, niż oni. Przetnę im drogę. Zatrzymam ich, jeśli zajdzie potrzeba, lub przynajmniej będę w pobliżu na wypadek, gdyby to, co „widział” Beccari, tym razem miało nie być złudzeniem.

– Monk, Monk! – wychrypiał głośnik. Aparatura statku przekazywała nasłuch bezpośrednio do kabiny mojego pojazdu. – Monk – zabrzmiało raz jeszcze. Cisza.

Spojrzałem na licznik. Nie mogłem szybciej. I tak dobrze, że cała ta heca rozgrywa się teraz, a nie w czasie burzy. Wątpię, czy udałoby mi się rozwinąć normalną szybkość nad tym galaretowatym bagnem.

– Mam go przed sobą – czysty głos Beccariego. – Zwalniam. Widzę dysk... raczej jakby kopułę... błagam, odezwiście się. Halo, Monk! Halo. Sem... oo...

Głos urwał się nagle. Ponownie odruchowo utkwilem wzrok w liczniku. Niech ich licho, tych z Akademii. Broń, choćby nie wiem jak niezawodna, w połączeniu z brakiem szybkości może stwarzać sytuacje doprawdy zabawne... gdy nie kończą się tragicznie. Setki lat SAO doskonaliła sprzęt, oczekując chwili kiedy trzeba go będzie użyć. Kiedy w ogóle można go będzie użyć. Gdyby teraz właśnie nadchodziła taka chwila, gdyby ten facet naprawdę miał ich przed sobą i

gdybym ja nie zdążył... ten pierwszy od setek lat raz, ten jeden jedyny raz...

– Nie mogę... – głos Beccariego był roztrzęsiony i zmieniony, pomimo że nadal brzmiał tak, jakby mówiący siedział obok mnie, w wolnym fotelu – silniki odmawiają posłuszeństwa. Słuchajcie, uważajcie... tu jest jakieś pole... widzę ich, och, widzę ich! ...

Milczenie.

– Tu Monk, słyszysz mnie, Sem?

– Wszystko w porządku, Monk, do miejsca, w którym ostatni raz miałeś kontakt z Beccarim, pozostało mi jakieś pięć kilometrów. Zaraz uruchomię pelengator. Musi tu przecież być. Jaka masz szybkość?

– Ponad dwieście. Monk, dogonię cię za kilka minut. Widzę już dyszę twojego silnika. Może warto zwolnić, żeby nie przeoczyć Beccariego? Jeśli ma jakiś defekt?

– Nic mu nie będzie, a tamci... to znaczy myślę, że najpierw trzeba sprawdzić...

Otóż właśnie. Człowiek? Najpierw trzeba sprawdzić, czy nie da się porozmawiać z obcymi. Jeśli to rzeczywiście obcy, pierwszy raz w historii naszego świata, obcy, którzy sparaliżowali pojazd Beccariego. Co mu się mogło, do diabła, przydarzyć z tą łącznością?

Zostało mi mniej niż pięć kilometrów. Byłem tak blisko, że na dobrą sprawę powinienem już stanąć, jeśli nie chciałem się zdekonspirować. Ale w końcu nie przyleciałem tutaj tylko po to, żeby kryć się przed ludźmi. A poza tym... gdyby udało mi się dotrzeć tam przed nimi i gdyby przypadkiem ci obcy byli tak samo włochaci jak ja, to może mnie, w mojej obecnej postaci, przepuściłyby ich automaty. Oczywiście będę musiał zostawić janusa... prawda. Przecież nie mogę pokazać się ludziom...

W tym momencie ujrzałem przed sobą, niezbyt nawet daleko, żółtawy ognik i wiedziałem, że zbliżam się do któregoś z pojazdów, w których naukowcy pędzili na uroczyste spotkanie z obcą cywilizacją. Spojrzałem w lewo i spostrzegłem identyczny ognik, niemal tuż za pierwszym. W rzeczywistości musiało ich dzielić jeszcze co najmniej półtora kilometra, to tylko ja patrzyłem ze skracającej ich drogę perspektywy. A zaraz potem ujrzałem coś jeszcze. Jakby nagle wzeszło drugie słońce. Cześć horyzontu rozgorzała łuną, zrazu pomarańczową, która niemal natychmiast zabarwiła się głębokim fioletem. Równocześnie owo słońce uniosło się nad ziemię. Sekundę, może dwie trwało nieruchomo, po czym zmałało i zniknęło. Nie gasło jak płomień, nie kurczyło się z odległością, po prostu zniknęło. W tej samej chwili odezwał się głos Beccariego.

– Odlecieli! Odlecieli! Cholera z tą łącznością!...

– Beccari? – zabrzmiał podniecony głos Monka.

– Beccari? – nałożył się na niego okrzyk Sema.

– Co się stało? – spytał czwarty, którego teraz usłyszałem po raz pierwszy. A więc są w komplecie. Przynajmniej tyle. Na szczęście nie zdążyli. Albo nie pozwolono im zdążyć. Co, jeśli o mnie chodzi, wychodziło na jedno.

Stanąłem. Zahamowałem nieco zbyt gwałtownie, ale obecnie pozostała mi już tylko jedna troska: żeby mnie nie zauważyli. Nie obcy. Ludzie.

– Co się z tobą działo? – spytał Monk.

– Nie wiem – odpowiedział Beccari.

– Nie wiem powtórzył jak echo ten czwarty, sądząc zapewne, że pytanie było skierowane do niego.

– Straciłem łączność – ciągnął Beccari – a potem przestały działać silniki i cała aparatura. Że też nie dogoniliście mnie... wyjechałem przecież zaledwie kilka minut przed wami. Widziałem ich, wiecie?! Widziałem!

– Poczekaj, zaraz będę przy tobie... – podnieconym głosem odezwał się Sem.

– Gdzie mam czekać? – zainteresował się głos, o którym wciąż jeszcze nie wiedziałem, do kogo należy.

– Beccari – powiedział Monk – wystrzel flarę. Spotkamy się tam, gdzie upadnie. A potem wspólnie przeszukamy to miejsce...

Nareszcie coś rozsądnego. Przynajmniej jeśli patrzeć z ich punktu widzenia. Ja posłałbym wszystkich czterech do diabła. Teraz będę musiał czekać, aż nagadają się do syta i przetrząsną każdy kawałek gruntu w rejonie, gdzie coś widzieli lub też zdawało im się, że widzą. Poczekam, trudno. W końcu mam wprawę...

– Nie, nie widziałem, żeby tam się ktoś kręcił – wyjaśniał Beccari. – Tylko taki wielki... nie wiem, jak to nazwać... niech będzie zaokrąglony stożek... a obok niego kilka mniejszych, bardziej płaskich. Ten wielki wciągnął je przed startem do środka.. Nie mam pojęcia, co tam robili... skoro nie chcieli się z nami spotkać. Musieli przecież mnie zauważyć... ich aparatura wyłączyła moje silniki... jeśli to nie był przypadek.

Przypadek. Nie, oni naprawdę są jak dzieci. Obcy? Może spadli z burzą, jak ta galareta. Albo też ona właśnie utworzyła kształt pojazdu kosmicznego.

Przypomniałem sobie cień rakiety, który dostrzegłem na dziwacznie rozjaśnionym niebie wczorajszej nocy, potem wyrósł mi przed oczami obraz owego cudacznego Startującego słońca, tutaj, przede mną, i przestałem sam przed sobą udawać, że dobrze się bawię.

W głosie Beccariego, kiedy rozwodził się nad nietowarzystością obcych, którzy nie dopuścili go do siebie, brzmiał taki żal, jakby mówił ktoś, komu nagle zginęła cała rodzina. Tak właśnie pomyślałem i natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że jestem bardzo daleko od Ziemi. Od Ziemi, na której...

Czyżbym już bez reszty należał do SAO?

Skuliłem się w sobie. Żal? Czyjs żal? Cóż, różne bywają żale. I różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy, nawet kiedy jest owładnięty wyłącznie misją, jaką kazano mu spełnić.

Mniejsza z tym. Mniejsza o mnie. To, czego oni nie mogli odżałować, dla mnie było wybawieniem. Nie musiałem ich bronić, wydając wojnę obcej cywilizacji. Nie musiałem wkraczać, by nie dopuścić do kontaktu z nie sprawdzoną przez nas rasą. Nie musiałem się dekonspirować przed ludźmi. Nie ma co mówić, upiekło mi się. Przynajmniej tym razem.

Wycofałem się jakieś pięćset metrów, żeby zostawić im wolne pole, kiedy będą przetrząsać każdy centymetr gruntu, którego ich zdaniem dotknęły stopy obcych, i schowałem anteny. Wolałem nie kusić licha. Któryś z nich mógł mnie złapać na nasłuch. Nie. Zwinę czułki i zamknę się w janusie jak ślimak w swojej skorupie. W końcu się znudzą. Spędzę tutaj noc, a o świcie, jeśli ich już nie będzie, sam pojedę obejrzyć to miejsce. To przecież powinienem zrobić.



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGCOLOR, '#00006C', BGCOLOR, '#00FFFF', TEXTCOLOR,

'#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **1**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **3**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Nie wiem, czy w promieniu kilku kilometrów znalazłbym chociaż parę skrawków gruntu, nie przemielonego kołami ich łazików. Ślady butów nakładały się na koleiny, wyjeżdżone przez opony i gąsienice pojazdów, tu i ówdzie w czerwonym pyłe pustyni pozostały zagłębienia po statywach aparatów pomiarowych i płytkie wiercenia, jakby sprawdzali, czy obcy nie szukali czegoś pod ziemią. Słowem idealne pole do działania dla kogoś, kto chciał odnaleźć niewiadomego kształtu i rozmiaru ślady istot, o których nie wie, czy były w tym miejscu naprawdę.

Pośrodku tego całego labiryntu widniał nieco bardziej zdeptyany krąg o promieniu jakichś dwudziestu metrów. Wydawało mi się, że piasek jest tutaj odrobinę ciemniejszy, ale to mogło być złudzenie. Natężenie promieniowania bardzo nieznacznie wzrastało, co jednakże można było przypisać zalegającym tutaj pod powierzchnią pustyni formacjom geologicznym. O jakichkolwiek przedmiotach „zapomnianych” przez obcych nie mogłem nawet marzyć. Krótka mówiąc przekonanie, a raczej właśnie brak przekonania, z którym o świcie przystąpiłem do poszukiwań, okazały się w pełni uzasadnione.

Już w drodze powrotnej porozmawiałem z Bessem. Porozmawiałem, bo tym razem okazał się nieco mniej lakoniczny. Zapowiedział, że po analizie danych, przekazanych do stacji przez moje komputery, połączy się ze mną znowu. Jeśli bowiem za obecnością obcych miałyby przemawiać coś więcej niż żelatyna padająca zamiast deszczu i wywołane burzą zjawiska optyczne, SAO będzie musiała wkroczyć oficjalnie. Wyobraziłem sobie natychmiast to „wkroczenie” i sposób, w jaki zostanie ono przeprowadzone. Mogłem się nawet założyć, że wiem, kto wkroczyłby, gdyby do tego doszło. Ciekawe tylko, w jakiej postaci?

Na miejscu zbadałem jeszcze raz, sekunda po sekundzie, wszystkie zapisy, wniesione przez moją aparaturę do przystawki zbiorczej komputera w czasie ostatnich godzin. Nie, nie pominąłem niczego. A więc dalej czekanie.

Zrzuciłem skafander i kombinezon, wyłączyłem głośniki, pozostawiając łączność automatom i poszedłem do łazienki. Długo stałem pod strumieniem oczyszczającego gazu, rozmyślając o prawdziwej, porządnej kąpieli w morzu. Potem nie ubierając się wróciłem do kabiny i rozłożywszy fotel położyłem się na wznak. Nie pozostałem długo w tej pozycji. Dałbym wiele, żeby zobaczyć łóżka tych kosmaczy. Jakoś musieli przecież mościć się z tymi swoimi garbami. Chyba że spali na stojąco.

Wstałem i bezwiednie przyjrzałem się dokładnie swoim, rękom, nogom, sierści na brzuchu i tym idiotycznym paluszkom na piersi. Kogo właściwie miałem na to nabrać? A może powinienem swoje przeobrażenie potraktować tylko jako zabawę? W kabinach statku SAC nie ma luster. Kosmetyka zajmuje się aparatura korekcyjna i diagnostyczna. Ta działa bez zarzutu, jakby nigdy nic. Jej w każdym razie nie udało mi się oszukać, traktowała mnie niezmiennie jak człowieka Brakowało tylko tego, żeby „nasi specjaliści”, podczas kiedy ja bawiłem na Petty, opuścili stację na satelicie i wybrali się, dajmy na to, na biegun sąsiedniej galaktyki. Wówczas musiałbym, tak jak wyglądałem, lecieć na Ziemię. To naprawdę byłaby zabawa. Może akurat nie dla mnie, ale ponoć to nieładnie myśleć tylko o sobie.

Ubrałem się, wziąłem łazika, wyposażonego w poduszki powietrzne, i wypłynąłem w ocean. Początkowo startowałem prostopadle do linii brzegu, następnie skręciłem nieco na południowy zachód, bez żadnej myśli kierując się w stronę strefy, gdzie pojawiły się wówczas owe dziwne cienie, na równie dziwnie jaśniejącym nocnym niebie.

W odległości sześciu kilometrów od brzegu wyłączyłem silniki i opadłem na fale. Dotknąłem

klawisza w pulpicie sterowniczym. Ścianki oszklonej kabiny bezgłośnie zapadły w głąb kadłuba. Zdjąłem kask i odetchnąłem głęboko. Wiatr był niemal niewyczuwalny. Długie, oceaniczne fale kołysały miarowo mój maleński pojazd, łagodnie wynosząc go na swoje grzbiety i opuszczając, jakby poddawały mnie terapii uspokajającej. W powietrzu unosił się zapach trudny do określenia, był cierpki i słoneczny zarazem, przypominał woń jakichś ziemskich owoców, nie mogłem sobie tylko przypomnieć jakich. W każdym razie nie był to zapach naszej wody, ale mógł się z nią kojarzyć. Był równie świeży i równie łatwo przenikający do płuc, które niezależnie od mojej woli rozprężyły się na jego przyjęcie. Przymknąłem powieki i przez kilka minut pozwoliłem usypiać się powietrzu i falom. Następnie, nie zamykając kabiny, uruchomiłem silniki i powoli zacząłem płynąć w dotychczasowym kierunku.

Jakaś godzinę przed zachodem słońca uznałem, że oddaliłem się już dość od brzegu i mojej bazy. Stałem. Sprawdziłem łączność, uzupełniłem programy czujników i powiedziałem Bessowi, gdzie jestem. Jak wynikało z prowizorycznych obliczeń, znajdowałem się mniej więcej w miejscu, nad którym ujrzałem wtedy coś, co od biedy można było wziąć za kontur rakiety.

Zmrok zapadł szybko, jak wszędzie w strefach podzwrotnikowych. Słońce, niewiele większe od ziemskiego, nieco tylko bardziej jasne i zaprawione błękitem, dotknęło horyzontu, a potem w jednej chwili schowało się za jego wypukłą linią. Księżyc miał dzisiaj wejść dopiero za pół godziny, zrobiło się od razu ciemno, jakby na niebo wypłynęły gęste, czarne chmury.

Nie bez pewnej niechęci wbiłem głowę w mój niehumanoidalny, bezkształtny kask, specjalnie przystosowany do mojej niehumanoidalnej twarzy, ale nie zamykałem jeszcze kabiny. Wieczór był ciepły, tchnący od wody. Chłód przynosił ulgę. Obcy nie obcy, zabytki, nieodpowiedzialni naukowcy – to jedna strona medalu. Druga to sama planeta. Trudno doprawdy o lepsze miejsce do spędzenia urlopu. Cisza aż dzwoni. W promieniu setek kilometrów żywej duszy. Woda zaprasza do nurkowania. Zielony ład czeka ze swoimi górami, rzekami i pustyniami, a także dziwnymi, opuszczonymi budowlami, których nie oglądało jeszcze ludzkie oko. Nasz urlop. Gdybym tu przywiózł Annę...

Wyprostowałem się odruchowo. Powiniennem posłuchać, co mówią uczeni – przeszło mi przez myśl. Z pewnością nie śpią i chyba nieprędko zasną tej nocy. Siedzą nad piaskiem, który przywieźli z pustyni, gdzie „obcy” nie chcieli się z nimi spotkać, i rozpamiętują przeżycia ubiegłej doby. Nie dowiem się od nich niczego, to pewne. Gdyby jednak przyszło im na myśl przedsięwziąć nową wyprawę... gdyby znowu coś zauważyli... Tak, zaniedbuję moje obowiązki.

Włączyłem fonię i przez najbliższe kilka minut byłem milczącym i niewidocznym świadkiem życia ziemskiej bazy na Petty. Tak jak przypuszczałem, rozmawiali wyłącznie o tajemniczym pojawieniu się obcego pojazdu. Oczywiście zameldowali o wszystkim swoim macierzystym instytutom, o ile jednak mogłem się zorientować, nie dostali jeszcze odpowiedzi ani tym bardziej instrukcji. Żaden z nich nie zająknął się nawet na temat SAO czy choćby ewentualnego ryzyka, związanego z obecnością nieznaną cywilizacji w rejonie układu Millsa. Byli, zdaje się, w komplecie, to znaczy, że część z nich opuściła na ten wieczór swoje bazy filialne, by móc wspólnie „pogwarzyć przy kominku”, a nie kontentować się radiem. To było mi nawet na rękę. Przynajmniej dzisiaj nie palną żadnego głupstwa.

Wyłączyłem głośniki i teraz wreszcie podniosłem osłony kabiny. Kiedy jej pancerna kopułka zamknęła się nad moją głową, mimo woli westchnąłem. Trudno. Taka praca.

Wschodził Bess, jak ciągle nazywałem księżyc z przebywającym na nim moim szefem i liczną grupą „naszych specjalistów”. Niebo i morze pojaśniały. Przez obiektyw jednej z kamer mogłem już dostrzec majaczącą na horyzoncie linię brzegu. Stawało się coraz widniej. Ocean zaczynał

nabierać barwy jasnoniebieskiej, co u licha...

Nie, to nie księżyc. Uniosłem wyżej oparcie fotela, tak żeby uchwyty miotaczy znalazły się w zasięgu moich dłoni. W kabinie było już jasno, jakby to nie księżyc, lecz słońce pojawiło się na niebie. Znalazłem się nagle u stóp jakby ogromnej tęczy. Odruchowo przyśpieszyłem obroty silników. Ciągle jednak jeszcze czekałem. Przerzuciłem centralkę na bezpośrednią łączność ze stacją na satelicie, ale sam zachowałem milczenie. Patrzyłem.

A było na co patrzeć. Wokół mnie z oceanu wynurzał się słup rozszczepianego światła, szerokości ładnych paru kilometrów. Mimo że byłem w samym centrum jasnej strefy – tak mi się przynajmniej wydawało – wyraźnie dostrzegałem jej granice, linie, poza którymi panowała zwyczajna noc. Widziałem tam ciemne, granatowe niebo, nawet księżycowe refleksy na wodzie. A tutaj światło ciągle szło w górę, jego słup rósł i rósł, aż na wysokości, której nie mogłem odgadnąć, począł zwijać się spiralnie i równocześnie zakręcać, jakby wchodził w łuk prawdziwej tęczy. Pomyślałem o świetlnych zjawiskach, występujących na Ziemi w Zatoce Syjamskiej i innych rejonach, ale to tutaj było niepodobne do niczego, o czym informują podręczniki szkolne. Szkło w ścianach kabiny płonęło już jaskrawym błękitem, kiedy otoczenie gwałtownie zmieniło barwę. Światło stało się na chwilę jaskrawopomarańczowe, po czym przeszło w głęboką czerwień, jak gdyby żaru. Równocześnie spiralny ruch całego jasnego słupa uległ wyraźnemu przyśpieszeniu. Znajdowałem się teraz jakby u podstawy gigantycznego, wirującego korkociągu, którego każda strona świeciła inną barwą. Łuk zakrzywiał się nadal, aż jego przeciwległy koniec dotknął oceanu w odległości może trzech, czterech kilometrów. Wtedy nagle nastąpiła ciemność, po czym ponownie uderzył mnie blask i znowu mrok, i znowu światło... Wszystko dookoła pulsowało teraz w zwolnionym rytmie, barwna, płonąca smuga pojawiała się i niknęła na przemian, jakbym tkwił u samego zwierciadła obracającej się latarni morskiej, rozszczepiającej wiązkę promieni słonecznych. Trwało to kilka minut, które przyprawiły mnie o zawrót głowy, po czym wszystko ponownie uległo zmianie. Słup światła pochylił się, zwinął jak wąż i odrywając od powierzchni oceanu utworzył nad nim ogromne, poziome koło. Ruszyłem z miejsca, żeby przedostać się do wnętrza owego zakłętą kręgu, gdzie panowała, jak z daleka przynajmniej mogło się zdawać, całkiem zwyczajna noc. Nie była jednak tak zupełnie zwyczajna, kiedy znalazłem się już wewnątrz kręgu, opasany poziomą tęczą. W górze istotnie widniało zwyczajne, rozgwieżdżone niebo, kiedy jednak opuściłem wzrok ku powierzchni wody, ta fosforyzowała pulsującym światłem jak cały ów barwny wąż, który mnie zamknął swoim pierścieniem. A moje czujniki milczały. Światło, jego obecność, zachodzące w nim zmiany, ruch i barwy nic im nie mówiły. To było najbardziej zdumiewające ze wszystkiego. I, prawdę mówiąc, najbardziej niepokojące. Świadczyło bowiem, że mam do czynienia z promieniowaniem nie znanym ziemskim konstruktorom, nie wyłączając „naszych specjalistów”, którzy, jak sami byli o tym przekonani, wymyślili nowe matematyczne modele niezawodności i na ich podstawie zaprogramowali sprzęt SAO tak, aby nie mógł zawieść w żadnym możliwym ze światów. Ten świat wymknął im się jednak. Jakie znaczenie mógł mieć ów fakt dla mnie? Praktycznie zapewne żadnego. Ale... wszystko, co nieznanne, jest groźne. To było jedyne rozumowanie, obowiązujące ludzi z „Trójki”.

Nic jednak nie mogłem zrobić. Pozostało mi tylko patrzeć i liczyć na to, że opis, jaki wniosę później w zespoły analityczne komputerów, przybliży nas do wyjaśnienia zagadki. Więc patrzyłem. Nie spuszczałem nawet zasłon przeciwsłonecznych, chociaż gasnące i pojawiające się na powrót barwne rozbłyski kłuły mnie boleśnie w oczy. Na szczęście nie trwało to już długo. Pozioma tęcza przestała się wkrótce zwijać jak karnawałowa serpentyna i

zneruchomiła. Jeszcze chwilę później zaczęła szybko blednąć. Gasnące światło nie pulsowało już w rytmie obracającej się powoli latarni morskiej. A po upływie następnych dwóch minut to wypłowie już świetlne koło zaczęło płynąć w górę, najpierw wolno, następnie coraz szybciej, aż rozmyło się nade mną, na wysokości, gdzie sprawiało wrażenie nikłego, poświęcającego kółeczka dymu. Chwilę trwałem jeszcze bez ruchu, z głową zadartą w górę, aż nabrałem pewności, że niebo jest czyste, granatowe i że jedyne światło, jakie dociera do moich oczu, zawdzięczam gwiazdom oraz Millsowi, oświetlającemu tarczę księżyca. Wtedy wróciłem do normalnej pozycji, zamknąłem oczy i trzymałem je dłuższą chwilę zamknięte, oddychając głęboko i nie myśląc o niczym. To, co widziałem, nie było brzydkie. Powiedziałbym nawet, że wręcz przeciwnie. Malarzy z pewnością uderzyłaby przede wszystkim uroda zjawiska. Ja jednak nie byłem malarzem, a o uczonych humanistach miałem obowiązek myśleć kategoriami SAO. Rola, jaka mi przypadła, wykluczała estetyczną klasyfikację zjawisk. Mogłem je dzielić jedynie na znane, to znaczy bezpieczne, i nieznanie, a więc wchodzące w zakres mojego działania. Nie oczekiwania ani przypatrywania się, tylko t działania. Niechby mi jednak ktoś spróbował powiedzieć, że tutaj przed chwilą mogłem coś zrobić. Bess czy któryś z jego mądrych doradców. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spróbowali. Wiedziałbym, co im odpowiedzieć. To wiedziałbym całkiem dokładnie. Tak samo jak dokładnie nie wiedziałem, co mianowicie mógłbym jeszcze zrobić, pozostając w miejscu, nad którym przyroda Petty, sama lub z czyjąś pomocą, pobawiła się kolorowymi światełkami.

Swoją drogą, jestem tutaj trzeci dzień i nie było nocy, podczas której nic by się nie działo. Jeśli tak jest zawsze, trudno się dziwić tym z bazy, za górami i morzem, że puszczają w ruch wyobraźnię. W dodatku gdyby to, co ostatnio widzieli na pustyni, naprawdę przypominało kosmiczny pojazd...

Ruszyłem. Kilkanaście minut płynąłem jeszcze prosto przed siebie, oddalając się od lądu, po czym zmieniłem kierunek i zacząłem zataczać szeroki łuk. Spenetrowałem tej nocy spory szmat oceanu, nie natrafiając już jednak na świecące koła, tęcze, cienie rakiet ani w ogóle na nic, co mogło zaprzątnąć moją uwagę. Po powrocie przekonałem się, że automaty strażnicze także nie zanotowały najdrobniejszego ruchu w okolicy statku. Wtedy poświęciłem jeszcze pół godziny komputerowi, powiedziałem kilka słów Bessowi, budząc go, zdaje się, ze snu i sam ułożyłem się w fotelu. Tym razem zasnąłem od razu. Nawet garby z przodu i z tyłu nie były mi w stanie w tym przeszkodzić.

Kiedy się obudziłem, na zewnątrz znowu panowała noc. Przespałem cały dzień. Komputer pozwolił mi leniuchować tak długo, jakby sam potrzebował czasu, żeby przetrawić wszystko, co wprowadziłem do jego bębnow pamięciowych.

Przygotowałem się do wyjścia, po czym usiadłem przed pulpitem i przesłuchiwałem to, co moja aparatura podsłuchiwała w bazie naukowców. Niektóre partie przeleciałem, zależało mi tylko na jednym: czy nie wybierają się znowu na jakąś nocną łazęgę. Ale na szczęście nie było o tym mowy. Wrócili, zdaje się, do swoich zwykłych zajęć, w każdym razie gros rozmów dotyczyło nowo odkopanej budowli, w której fundamentach znaleziono konstrukcje, napędzane niegdyś energią termojądrową. Tak, to była zupełnie normalna cywilizacja, ci kosmacze, jeśli rzeczywiście oni rezydowali kiedyś na Petty.

W odległości mniej więcej dwustu kilometrów od statku musiałem zwolnić bieg łazika, bo step przechodził tutaj w obszar niskich wzgórz, na których coraz częściej pojawiały się drzewa, bardziej podobne do liści ziemskich kaktusów niż do naszych dębów, kasztanów czy sosen. Skręciłem i jechałem dalej, trzymając się stale skraju pustyni, aby mieć możliwie największe

pole obserwacji.

Minęły trzy godziny, od kiedy opuściłem statek. Dochodziła północ. Jak dotąd nic się nie działo i zacząłem powoli nabierać przekonania, że przynajmniej ta noc upłynie spokojnie. Myliłem się jednak. I to jak jeszcze. Nikt dotąd tak się nie pomylił.

Na wierzchołku któregoś z kolei wzgórza przystanąłem na moment i przez chwilę wodziłem wzrokiem po poświęcającym w blasku księżyca piasku pustyni. Następnie bez żadnej myśli, raczej dla zabicia czasu aniżeli z obowiązku, włączyłem głośniki aparatury podsłuchującej bazę. Włączyłem i w pierwszej chwili pomyślałem, że dostałem się w jakąś cudaczną, niemożliwą „pętlę czasu” i przeżywam na nowo wypadki minionej doby. Te same urwane zdania, okrzyki i wezwania. Te same okresowe zaniki łączności pomiędzy uczonymi, podzielonymi na grupy. Bo podzielili się znowu. I znowu pozostawili bez opieki swoją główną bazę, pozbawiając się jej zasobów energetycznych i aparatury. Na szczęście nie zmiierzali daleko. Tym razem rzekomi obcy wylądowali dosłownie pod nosem jednego z podobozów, także na skraju śródlądowego morza, ale mniej więcej sto kilometrów na wschód od centralnej bazy. Tylko że teraz, jak wynikało z potoku słów ludzi tkwiących w „nawiedzonej” filii, przybyszom ani się śniło uciekać. Uczeni powtarzali w kółko, że widzą wielki, spodkowaty pojazd, stojący kilkadziesiąt metrów od brzegu morza, przy samej granicy wykopalisk. Obok niego miały się kręcić jakieś mniejsze, „malutkie”, jak je określili, dyski, szczelnie zamknięte. Żywych istot nie zauważyli. Może właśnie dlatego udało im się zachować tyle przynajmniej zdrowego rozsądku, żeby nie wyłączyć z pomieszczeń obozu i nie lecieć z otwartymi ramionami w stronę tego czegoś, co widzieli. Ale to raczej nikła pociecha.

Spojrzałem na licznik, wziąłem namiar i zmierzyłem czas. Żebym nie wiem co robił, nie zdążę. Nie mogę zdążyć. Jak to jest, kiedy człowiek czegoś nie może, a musi? Wtedy robi to, co jest niemożliwe.

Posłałem mojemu statkowi sygnał alarmu. Kiedy pokładowy komputer zameldował mi o gotowości do startu, określiłem dokładnie współrzędne lądowiska i zablokowałem mikser sprzężenia z aparaturą sterowniczą. Musiałem wnieść jeszcze poprawkę do programu, bo komputer nie chciał przerywać ochronnego pola siłowego i pozostawiać na pastwę losu automatów strażniczych oraz zagrzebanej w nadbrzeżnych wydmach aparatury. Straciłem na to mniej więcej trzy sekundy. Moment później na skraju widnokrzęgu ujrzałem błysk anihilacji. Statek startował jak na poligonie, w warunkach bojowych. Po moich automatach pozostały w tej chwili rozlane mataliczne plamy. Minie kilka minut, zanim zaczną zastygać w nieregularne, wtopione w ziemię bryły.

Udało mi się utrzymać raketę w pionie do punktu odległego od wzgórza, na którym stałem, o niespełna kilometr. Wtedy osadziłem statek, ukrywszy się uprzednio na wszelki wypadek za zboczem wzniesienia. Komputer wykonywał sklecony naprędce program i należało się liczyć z wszelkimi niespodziankami. Obeszło się jednak bez nich. Nie czekając, aż promieniowanie spadnie do przyzwoitego natężenia, przeleciałem łazikiem przez płonące kałuże roztopionego piasku i tkwiąc nadal wewnątrz zamkniętej szczelnie kopuły, wydałem polecenie otwarcia głównego wjazdu. Zatrzymałem platformę windy pół metra nad ziemią, chroniąc ją przed bezpośrednim zetknięciem ze skażonym gruntem, i wskoczyłem na nią z obudowy silnika, na którą wlałem prosto z kabiny. Wjechałem na górę, sprawdziłem zamknięcie wjazdu, po czym natychmiast, w promieniującym jeszcze ciągle skafandrze, dałem sygnał startu. Na dole kolejny mój pojazd, nieszczęsny łazik, zmienił się w kałużę, ale nie pomyślałem o tym. Nie słuchałem nawet, co dzieje się u naukowców. Teraz nie czas było bawić się ich pogaduszkami. Jeśli obcy

naprawdę zdecydowali się na kontakt.. bo po cóż by inaczej lądowali im pod nosem?...

Zapomniałem o ludziach, przynajmniej tych, którzy wraz ze mną przebywali na tej zagubionej w kosmosie planecie. Zapomniałem o Bessie. W tej sytuacji nie mógł oczekiwać, że będę z nim rozmawiał. Niech obejrzy sobie dane, przekazywane mu przez moją pokładową aparaturę informatyczną. Jeżeli właśnie nie śpi. Ale mój alarm musiał i załogę stacji postawić na nogi.

Tylko że ani Bess, ani nawet „nasi specjaliści” nie mogli mi służyć radą, której bym sam nie potrafił sobie udzielić. Nie miałem wyboru,

Za dużo tych zagadkowych zjawisk. Obcy czy fatamorgana, nie możemy dłużej czekać. Co noc alarm to zbyt wiele szczęścia, nawet dla naukowców w bazie, wiecznie złaknionych niespodzianek. I sam Bess musiałby przyznać, że za tymi alarmami kryje się coś, co trzeba zbadać.

Byłem już nad morzem. Gdyby nie zajmowała ich w tej chwili „wizyta” w jednej z ich siedzib, musieliby mnie zauważyć. Nadal jeszcze szedłem ciągiem fotonowym, specjalnie aby pokazać, jeśli nie ludziom, to przynajmniej hipotetycznym obcym, że tutaj jestem.

Sprawdziłem namiar i zwolniłem. Przeszedłem najpierw na paliwo chemiczne, a potem zimne, już bezpośrednio nad brzegiem morza, Teraz musieli mnie zauważyć, nawet jeśli by nie chcieli. Otworzyłem wszystkie mikrofony, złączyłem je w wejściu komputera, nie mogłem przecież przemówić w moim ojczystym języku, po czym powiedziałem, starannie akcentując słowa:

– Dc wszystkich istot rozumnych na planecie. Ukryjcie się. Przybywam statkiem, którego silniki powodują skażenie atmosfery i gruntu. Pozostańcie w ukryciu, dopóki nie dam sygnału. Czy widzicie pracę moich dysz napędowych, czy też jesteście w większym oddaleniu, usłuchajcie mojego wezwania. Ukryjcie się...

Powtórzyłem ten idiotyczny apel jeszcze dwukrotnie, po czym uśmiechając się mimo woli do siebie, zacząłem podchodzić do lądowania. To co powiedziałem, pozornie tylko było głupawe i jakby wyjęte z opowiadki dla grzecznych dzieci. Po pierwsze nie chciałem dopuścić, aby ludzie, kiedy znajdą się już w komplecie, czemu nie zdążyłem zapobiec, wyszli „powitać” obcych. Po drugie chodziło o sprawdzenie reakcji tych obcych, jeśli tam naprawdę byli. I to bez względu na to, czy w ich rzekomych pojazdach siedzieli żywi przedstawiciele obcej rasy, czy wysłane przez nich automaty. W razie czego miałem anihilatory, którym nie oprze się nic zbudowanego z materii. Użyć ich mogłem jednak jedynie wówczas, gdy ludzie będą tkwić w schronach. Tak więc wygłaszając swoje orędzie, działałem również w obronie własnej. Ale przecież obcy mogli zachować się różnie. Na przykład ukryć się także i poczekać, aż wyląduję, żeby zawrzeć znajomość z nieoczekiwanym przybyszem. Mogli próbować mnie zniszczyć, zanim dotknę powierzchni planety. Mogli wreszcie uciec, nie czekając na rozwój wypadków.

Wybrali to ostatnie. Trzymając statek pionowo, szedłem zimnymi dyszami nad morzem, wzdłuż linii brzegu. Woda i piasek, wyrwane odrzutem, tryskały na dziesiątki metrów, zakrywając przed moimi oczami wszystko, co działo się w dole, ale na ekranach Udarów widziałam już wyraźnie zabudowania małej bazy, jakieś pojazdy... i nieco dalej talerzowaty kształt. Skierowałem się w jego stronę, odruchowo zaciskając wszystkie dwanaście palców na rękojeściach miotaczy. Zdażyłem jeszcze stwierdzić, że przy tym wielkim nie ma żadnych mniejszych „dysków”, jak informowali się nawzajem naukowcy, gdy nagle ów pojazd, czy co to było, uniósł się w górę. Równocześnie ład załało światło, które przebiło nawet wznieconą przeze mnie kurzawę. Był rzeczywiście wielki. I naprawdę przypominał zaokrąglony stożek. Najdziwniejsze było światło, które wypromieniowywał, zaginało się bowiem łukowato, jakby powiększając rozmiary pojazdu do granic horyzontu. Ale nie było to twarde promieniowanie. Moje czujniki ani na moment nie

błysnęły czerwonymi lampkami.

Obcy kolos (czy też złudzenie optyczne, dzięki któremu widziałem wielki, nieziemski statek) przemieścił się pionowo w górę, nabierając szybkości, upodobił do gwiazdy stojącej w zenicie, wreszcie zniknął. Wtedy przeniosłem raketę znad morza poza obszar wydm i usiadłem, w odległości mniej więcej trzystu metrów od zabudowań bazy. Naprawdę nie byłem przecież dla nich groźny, stosując dysze zimnego ciągu.

Pierwsza część planu była poza mną. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczam. Ale i bardziej skomplikowane, niż ktokolwiek mógł przypuścić przed moim startem z Ziemi, a nawet z satelity Petty. To już nie wyobraźnia humanistów sprowadzała na nich wizje Kontakt. To człowiek z „Trójki”, wyszkolony agent SAO uległ złudzeniu, że widzi obcy pojazd. Na razie mogłem mówić tylko o złudzeniu. Ale i tego było dość, by zmusić mnie do wykonania drugiej, trudniejszej części planu, która mogłaby pozostać w zawieszeniu, gdybym na własne oczy nie oglądał owego ogromnego stożka.

Szybko zrzuciłem kask i skafander, po czym nadal otwartym kodem oznajmiłem „wszystkim żywym istotom na planecie”, że mogą już bezpiecznie opuścić swoje schronienia. Następnie zapaliłem zewnętrzne reflektory, ile ich tylko było, i zdalnie otworzyłem właz. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch na ekranie. Ktoś bardzo powoli zbliżał się do mnie od strony bazy. Jakoś tym razem nie śpieszyło im się tak, jak o tym sami siebie przekonywali.

Nagi jak nowo narodzony, z założonym luźno pasem, za który zatknąłem miotacz, przemodelowany w stacji na wzór broni znalezionej przy martwym pilocie, ukazałem się na platformie windy. Jeden z reflektorów świecił pionowo w dół, widziałem monstrualnie powiększony cień swojej głowy na otaczającej lądowisko trawie. Ten cień rósł i rozmywał się równocześnie,

w miarę jak zjeżdżałem niżej. Wreszcie platforma, którą specjalnie starałem się hamować, dla powiększenia efektu, dotknęła ziemi. Postąpiłem dwa kroki do przodu. Na wprost mnie, mrużąc oczy, rażone blaskiem moich reflektorów, stanęli ludzie. Zatrzymałem się i ja. Wtedy oni podeszli kilka metrów bliżej, po czym stanęli ponownie. Posunąłem się także. Widziałem już wyraźnie ich twarze, jasne od światła reflektorów. Nareszcie mieli to, co stanowiło największe marzenie ich życia. Kontakt. Kontakt z obcą cywilizacją. Sam wówczas nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo obcą. Ale oni mogli się spodziewać wszystkiego. Że marzenia staną się rzeczywistością i ludzkość, dzięki pomocy wyżej rozwiniętej cywilizacji, osiągnie skok rozwojowy donioślejszy od tego, jaki w dwudziestym wieku stał się udziałem pewnych pierwotnych plemion indiańskich, które wtedy dopiero po raz pierwszy zetknęły się z innymi mieszkańcami Ziemi, latającymi już na Księżyc. Że, przeciwnie, będą mogli sami czegoś nauczyć obcych. Że ci ostatni wyjaśnią im zagadkę umarłej cywilizacji Petty. Jednego z pewnością nie brali pod uwagę. Że obcy mogą użyć broni. Przyszli tutaj wszyscy co do jednego bez najprostszycy choćby pistoletów z gazem obezwładniającym. Dokładnie tak, jak tego po nich oczekiwałem. I nie tylko ja. Także Bess i inni z „Trójki”, którzy dlatego właśnie rozumieli, że istnienie SAO jest przykrą może, jednakże nieubłaganą koniecznością.

Warda, Barcew, Leski, Zamfi, Lana... Przygryzłem wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Nie pamiętałem dobrze, jak w t e j twarzy wyglądają moje zęby, ale wolałem im ich nie pokazywać. Tych znałem. Oprócz nich przyszło jeszcze czterech... pięciu... a raczej pięcioro. Jeszcze dwie kobiety, jedna z nich była młodą dziewczyną... tak przynajmniej wyglądała. Lana...

No, cóż. Dzielila nas odległość około dziesięciu metrów i było to akurat tyle, ile potrzebowałem. Co do nich, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że chcieliby podbiec i przycisnąć

mnie do piersi, tylko przeszkadzają im w realizacji tego zamiaru ich własne nogi. Milczałem. I oni milczeli. U mnie jednak należało to po prostu do gry. U nich?... O, oni przecież tyle mieli obcym do powiedzenia...

Wreszcie któryś z nich przełamał zaklęty dystans i wysunął się metr z nieruchomego szeregu. Tego nie chciałem. Uniosłem powoli rękę, jak starożytny kapłan, celebrujący klątwę czy właśnie błogosławieństwo i powstrzymałem go. Stał od razu.

Wtedy przemówił Warda. Ukłonił mi się, przyłożył dłoń do ust i serca, po czym wskazał za siebie, na zabudowania bazy. Następnie sięgnął po przytroczoną a pasa zwykłą latarkę i uraczył mnie dziesięcioma krótkimi błyskami. Zaraz potem narysował latarką w powietrzu koło, następnie trójkąt, jeszcze raz koło i wreszcie powtórzył dziesięć kropek świetlnych, co zapewne miało oznaczać, że oni posługują się systemem dziesiętnym. Dokonawszy tego zgasił latarkę i przybrał wyczekującą pozę.

Odczekałem kilkanaście sekund, po czym bez pośpiechu pokręciłem przecząco głową. Mogło to znaczyć, że nie interesuje mnie nic z tego, co zobaczyłem. Zafrasowali się. Któryś z nich wyszeptał do ucha kilka słów Wardzie, tak cicho, że nie dosłyszałem. Zagadnięty zaprzeczył energicznym ruchem głowy. Wtedy odezwała się Lana.

– Może on rozumie?... – wyraziła niepewnie przypuszczenie, patrząc wprost na mnie. – Czy rozumiesz nasz język? – powtórzyła głośniej. – Może posłużysz się kompu... maszyną informatyczną – poprawiła się.

Przyjrzałem jej się życzliwie. Na dobrą sprawę ona jedna w tej zafascynowanej sytuacji gromadzie przejawiała szczyptę zdrowego rozsądku. Niestety, musiałem jej sprawić zawód.

Spodziewać mogli się, jak powiedziałem, wszystkiego. Poza jednym. Tym mianowicie, co zrobiłem.

Odczekałem jeszcze chwilę, a następnie wyprostowałem się i powiodłem po nich wzrokiem, w którym starałem się zawrzeć gorycz najgłębszego rozczarowania. Machnąłem rączką, wyraźnie demonstrując im jej sześć palców i poprawiłem sobie od niechcienia robaczkowate kończyny na piersi. Następnie, zupełnie nagle, zgiąłem się w pół i wywaliłem na nich język, dokładnie tak, jak to robią niegrzeczne dzieci za plecami niektórych nauczycieli. Język na szczęście miałem swój własny. I nie sądzę, abym powinien się go wstydzić.

Korzystając z momentu, nazwijmy to delikatnie, zaskoczenia, odwróciłem się na pięcie i z godnością wmaszerowałem z powrotem na platformę windy. Kiedy byłem już na wysokości wjazdu, któryś z nich na dole krzyknął. Żeby chociaż coś stosownego w takich okolicznościach. Jakieś stare, jędrne marynarskie słówko, które mogło przekonać obcego, że nie ma do czynienia z malowanymi lalami. Gdzie tam! W tym okrzyku był żal, prośba, przyjaźń, wezwanie, wszystko, tylko nie to, co doprawdy aż się prosiło.

Zatrzasnąłem wjazd i natychmiast uruchomiłem dysze startowe, darując sobie już tym razem jakiegokolwiek propagandowe ostrzeżenia. Nic im nie zrobię, najwyżej ich poprzewracam, a efekt i tak osiągnąłem aż nazbyt chyba przekonujący. Miałem nadzieję, że nie wpędzę ich w kompleksy i to jako Ziemiaków, bo o tym mimo wszystko przykro byłoby pomyśleć. Co pewne, to że długo będą mieli co wspominać. A także, że teraz nikt nie może już zaprotestować przeciw oficjalnemu otoczeniu opieką przez SAO ziemskiej misji na Petty. Bo odwiedziny obcych przestały być zjawiskami z pogranicza psychiki i optyki. Stały się faktem.

– Sprytnie to zrobiłeś – burknął łaskawie Bess, kiedy przepuściliśmy już przed sobą komplet zapisów mojego komputera z ostatnich dni – ale przeholowałaś. Co cię skusiło, żeby pokazywać im język? To przecież ziemski gest. Nie rozumiesz?...

To rozumiałem. Tylko przez chwilę myślałem, że ma mi za złe moje pozbawione szacunku zachowanie wobec bądź co bądź naukowców. Ale jemu chodziło tylko o konspirację. Co za ulga. Pomyśleć, że mógł przejawiać jakieś uczucia, uznane przez ogół za po prostu ludzkie...

– Ale miałem kudłatą twarz, cztery ramiona, po sześć palców u rąk i jeszcze dodatkowe na klatce piersiowej – odpowiedziałem. – Nie sądzę, aby w tej sytuacji ludzki język mógł w nich wzbudzić jakieś podejrzenia. Za to wsączyłem, mam nadzieję, w ich otwarte duszyczki odrobinę sceptycyzmu co do wszystkich bez wyjątku „kontaktów”. Bo ten gest musieli zrozumieć, właśnie dlatego, że był ludzki. Przecież oni w całym kosmosie szukają rasy podobnej do nas... chociażby pod niektórymi tylko względami. Więc znaleźli rasę, która tak jak my, pokazuje języki. Nie powinieneś mieć o to do mnie pretensji – zakończyłem z przekonaniem.

Nie odpowiedział. Nie wiem, czy w ogóle słuchał tego, co mówiłem. Zaprzętała go już bez reszty myśl o przyszłości. A było to coś, co i mnie nie powinno pozostać obojętne. Bo, co nietrudno zgadnąć, w planach Bessa i tym razem miałem odegrać pewną skromną rolę...

– Co z Weythem? – spytałem, zmieniając temat.

Wzruszył ramionami. Przez twarz przebiegł mu grymas zniecierpliwienia.

– Nic – burknął, nie odrywając wzroku od okna, jakby tam ktoś stał i dawał mu znaki.

Jasne. Nic, to nic. Nie powinienem pytać. Pewnie wypadki ostatniego dnia wprowadziły mnie w odrobinę zbyt dobry humor.

– Nie mamy łączności – dodał po chwili. Nie musiał mi tego mówić. Jeśli jednak powiedział, to znaczy, że uznał sprawę za zamkniętą. Weyth?...

Wyobraziłem sobie, jak po stu, dwustu, pięciu tysiącach lat któraś z naszych ekspedycji przypadkiem spotyka w przestrzeni obcy statek... obcy, bo konstrukcja rakiety Weytha będzie już wtedy bardzo odbiegać od współczesnych pojazdów. Ktoś wejdzie na pokład, ujrzy zwłoki porosłego sierścią, gorylowatego pilota i pomyśli, być może, że to jego koledzy sprawili mu zaszczytny, kosmiczny pogrzeb... pozostawiając go samego we wraku statku.

– Od dawna? – mruknąłem zdawkowym tonem, jakbym chciał jedynie podtrzymać wygasającą rozmowę.

– Od drugiego dnia po starcie...

– A kiedy startował?

– Nie wiesz? – zdziwił się Bess, jakby ten start odbył się z pełnym ceremoniałem, w obecności wszystkich mieszkańców globu. Nie odezwałem się. Mogłem nie wiedzieć dalej. Cóż to w końcu za różnica, skoro zaraz po starcie urwała się łączność...

W kabinie, gdzie oprócz Bessa i mnie nie było żywej duszy, zapanowało milczenie. Szef stał nadal odwrócony twarzą do okna i wyglądało, że zapomniał o moim istnieniu. Poczekalem ze dwie minuty, po czym ruszyłem ku drzwiom. Skierowałem się w stronę korytarza, prowadzącego do mojej budki nasłuchowej. Uznałem, że czas wrócić do zwykłych obowiązków.

Po drodze wstąpiłem do łazienki. Wyszedłem z niej szybko, suchy jak siano. Nie wiem, czemu tu, wśród załogi, czułem się głupio w mojej obcej, kosmatej skórze.

Tego samego dnia po południu przechwyciłem wymianę meldunków między Radą Naukową a bazą na Petty. Archeologom zakomunikowano oficjalnie, że odtąd będą pracować pod ochroną SAO i że nie wolno im podejmować żadnych ekspedycji ani też w ogóle oddalać się od stanowisk pracy bez zgody delegata Agencji, który przybędzie wkrótce na planetę. Przekazałem tę informację Bessowi, na co ten odpowiedział mi tylko, żebym skończył dyżur i wrócił do swojej kabiny. Za pół godziny ktoś tam po mnie przyjdzie.

Przyszedł rzeczywiście. Ten sam grubas ze staroświeckimi okularami, któremu tak się

podobałem po operacji. Zaprowadził mnie do znanej mi już aż nazbyt dobrze pracowni, gdzie czekało kilku innych „naszych specjalistów”. Żaden z nich nie odezwał się słowem. Kiedy już zasypiałem, przebiegło mi przez myśl, że mogliby coś zrobić z moim nosem. Zawsze wydawał mi się odrobinę zbyt duży. Ale nie zdążyłem im tego powiedzieć.

Nos pozostał taki sam, tak samo duży jak przedtem. W ogóle nie mogłem dopatrzeć się w lustrze żadnych różnic, żadnego, najmniejszego choćby, odchylenia od mojego wizerunku „zapamiętanego” przez komputer chirurgów przed pierwszą operacją. A przyglądałem się dobrze. Nie, żebym przywiązywał wagę do mojej przyrodzonej urody, chociaż nie wyrażano się o niej najgorzej, ale jak by to powiedzieć... jednak co człowiek, to człowiek. Nie umiem wyrazić tego inaczej.

Lekarzy mieliśmy dobrych. Bezpośrednio po obudzeniu się z narkozy mogłem biegać, jeść, mogłem, krótko mówiąc, wszystko. A co najważniejsze, byłem zdolny do służby. Od razu. Oczywiście to akurat było najważniejsze nie tylko dla mnie.

Mimo wszystko nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, żeby wypróbować moje łóżko w przydzielonej mi miniaturowej kabince. Wyciągnąłem się jak długi na wznak, z uczuciem, że unoszę się w powietrzu, nad powierzchnią materaca. Ten przeklęty garb dał mi się jednak we znaki. Tyle tylko, że wydawałem się sobie jakiś taki... goły. W każdym razie przez pierwsze godziny szczelnie zapinałem kombinezon, chociaż wszyscy pozostali chodzili tylko w slipach. Planeta, na której mieszkają kosmacze, musi mieć chyba niższą średnią temperaturę niż Ziemia.

Naukowcy na Petty siedzieli cicho. Z ich rozmów, które stały się bardziej lapidarne i z których przebijała mniej lub bardziej tajona gorycz, wynikało, że wspomnienie spotkania z obcym zbladło wobec zapowiedzianego oddania ekspedycji pod kontrolę „Trójki”. Nietrudno było zgadnąć, jakie przyjęcie czeka agenta, który obejmie tam służbę. Tylko że ten agent nie spodziewał się niczego innego. I robi swoje, czy im się to będzie podobało, czy nie. Polecą dostatecznie wyposażony... nie tylko w pełnomocnictwa. Mogłem to sobie wyobrazić bardzo dokładnie. W końcu wiedziałem przecież, kto będzie tym agentem.

Kompletowano sprzęt. Z Ziemi przyleciały dalsze dwa statki, wyposażone w najnowsze modele anihilatorów. Każdy z nich mógł zamienić w płonące strzępy planetę wielkości Petty.

A nawet większą. Uzupełniano park automatów i przygotowywano specjalne programy obronne, uwzględniające także wszelkie możliwe zjawiska fotooptyczne. Nikt nie rozumiał, dlaczego czujniki, które miałem ze sobą w czasie pierwszego pobytu na Petty, nie przyjmowały informacji świetlnych, tak intensywne, że nie przeoczyłyby ich nawet ślepiec. Oprócz rakiety z kabiną pilota miały lecieć dwie inne, bezzałogowe, przeznaczone do zadań specjalnych. Czyli do powitania obcych, gdyby podeszli zbyt blisko jak na możliwości ekranów, chroniących ludzi przed promieniowaniem.

Odprawa trwała krótko. Topografia Petty była mi już znana, zresztą bębny pamięciowe komputerów także zostały odpowiednio uzupełnione. Rejestr „zjawisk” pozostał niezmienny. Tak samo system łączności. Tyle tylko, że na stacji miały odtąd czekać w pełnej gotowości do startu trzy następne statki, a na orbitę wokół Petty wprowadzono dodatkowe bezzałogowe stacje obserwacyjne. Wydawało się, że zrobiono co tylko w ludzkiej mocy, by zapobiec jakimkolwiek niespodziankom. Archeolodzy powiedzieliby z pewnością, że zrobiono nawet zbyt dużo. Ale ich zdania nie mogliśmy brać pod uwagę. Spotkanie ze mną z pewnością ich rozczarowało, nie przestali jednak przecież trwać przy swym humanizmie, pojętym między innymi jako poczucie braterstwa z wszystkim, co żyje choćby w najdalszych galaktykach.

Rośliny nauczyły niegdyś ludzi ponadczasowego kontaktu myślowego. Łączność taka

wymagała treningu, zdarzały się wypadki mylnej interpretacji przesyłanych tą drogą informacji.

Teraz jednak przygotowaliśmy się i na taką ewentualność. Anteny stymulujące odpowiednie pola elektromagnetyczne, wraz z bateriami wzmacniaczy, zainstalowano i przy centrali komunikacyjnej stacji, i na dziobach rakiet. Słowem nasza agentura na satelicie Petty przeobraziła się w poligon doświadczalny, który z kolei w każdej chwili mógł się zamienić w pole bitwy. Pierwszej w dziejach SAO. Dla „naszych specjalistów” była to wyjątkowa gratka, nic dziwnego, że z każdym kolejnym statkiem przybywającym z Ziemi ich liczba rosła. Stacja pękała już w szwach. Byłem rad, że opuszczę to miejsce, gdzie bez skafandra i ekwipunku próżniowego nie mogłem liczyć na krótką choćby chwilę samotności. Byłem rad, że znajdę się na Petty, wśród niewielkiego grona obcych ludzi, z których i tak żaden nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Liczyłem godziny pozostałe do startu.

Nie zwlekali z nim zbyt długo. Sytuacja skłaniała do pośpiechu. Wprawdzie od owej sceny nad brzegiem morza, w sąsiedztwie jednego z obozów archeologów, na Petty panował spokój, ale każda noc mogła przynieść elektryzującą wiadomość. Byłem tam wszystkiego cztery doby z hakiem i czterokrotnie alarmowały mnie zagadkowe zjawiska, z których co najmniej dwa wiązały się bezpośrednio z obecnością obcych.

Startowałem piątego dnia po operacji, która przywróciła mi ludzki wygląd. Do ostatniej chwili widziałem twarze przyklepione do pancерnej szyby bunkra na lądowisku. Nie ulegało wątpliwości, że wiążą z moim zadaniem niemałe nadzieje. Cóż, każdy na coś liczy. Historycy na Petty marzą o zaprzyjaźnieniu się z obcą cywilizacją. Ci tutaj myślą o praktycznym sprawdzeniu ich od stuleci rozbudowywanych teorii, które dotychczas były właśnie tylko teoriami. Sami zapewne nie zdają sobie sprawy, że w tych nadziejach wiele miejsca zajmuje chęć umocnienia motywacji ich pracy i ich istnienia. Ja chciałem być sam. Sam ze swoją misją, automatami i aparaturą. Sam, w okolicznościach, które zmuszą mnie do maksymalnej koncentracji uwagi i nie pozwolą mi uciekać myślą ku przeszłości ani też śnić po nocach.

Szedłem bezpośrednim korytarzem, obliczonym tak, żeby prostopadle przecinał wszystkie możliwe orbity wokół Petty, na których, być może, patrolowały oprócz naszych także jakieś obce jednostki. Zjawiałem się nie zapowiedziany. Przemówiłem do nich przez radio dopiero wtedy, kiedy wisiałem już nieruchomo na strumieniach buchających z chemicznych silników, dwa kilometry nad główną bazą badawczą. Zaraz potem zszedłem niżej. Osadziłem statki w ten sposób, że utworzyły jakby trójkąt, którego podstawą był brzeg morza. Południowy kraniec tego trójkątnego pola stanowił jeden z bezzałogowych statków, pilotowanych zdalnie. Drugiemu powierzyłem funkcję wierzchołka, sadzając go w miejscu najbardziej oddalonym od wybrzeża. Na wschodzie, w kierunku, na przedłużeniu którego leżały filie głównej bazy uczonych, lądowałem sam. Usiadłem jako ostatni, sprawdzwszy uprzednio grunt, na którym spoczęły kratownice dwóch pierwszych rakiet. Był pewny.

Nie musiałem się śpieszyć. Oczekałem, aż powietrze oczyści się z chmury kurzu, wznieconej przez lądujące statki, po czym otworzyłem właz i zjechałem na ziemię. Jak się spodziewałem, w polu widzenia ani żywej duszy. Gdyby nie płaskie dachy zabudowań bazy, widoczne niespełna dwieście metrów od miejsca, gdzie stałem, i jakby nachylające się ku morzu, bo wkomponowane w łagodne zbocze dawnej wydmy, teraz porośniętej już bujną zielenią, mógłbym uwierzyć, że wylądowałem w rejonie, którego nie oglądało dotąd oko człowieka.

Wydeptana w roślinności dróżka zaprowadziła mnie do przejścia w niskim ogrodzeniu, otaczającym budynki. Zaraz za nim spostrzegłem poukładane w nierówne stosy aparaty pomiarowe, części robotów, dwa lub trzy otwarte pojazdy terenowe oraz najzwyklejsze motyki i

miotelki. Leżały tam także różnej wielkości kamienie, niektóre ozdobione płaskorzeźbami, i metalowe oraz ceramiczne sprzęty, po których widać było, że czekały tu na ludzi tysiące lat.

Główny budynek bazy był, rzecz jasna, wykonany z tego samego materiału, co wszystkie obiekty pozaziemskie, odporny na wszelkie możliwe wstrząsy, promieniowanie i uderzenia. Niemniej postarali się o to, żeby z daleka przynajmniej wyglądał jak wielki szałas w którymś z górskich rezerwatów. Pokryli go jakimiś taśmami, imitującymi drewno. Obok zbudowali kilka prowizorycznych pomieszczeń, wykorzystując miejscowe drzewa, wysokie i chude, za to niesłychanie giętkie, stanowiące zatem nie najgorszy materiał konstrukcyjny. Miałem nadzieję, że nikomu nie przyszło na myśl spać w tych szopach, jak na ziemskim lotnisku.

Minąłem sień, strzeżoną przez jeden nieczynny automat, który nie zareagował nawet, kiedy chwyciłem jego anteny i potrząsałem nimi niby wiechą trawy, przeszedłem otwarte na oścież pancerne drzwi i znalazłem się w obszernym, oszklonym pomieszczeniu, służącym zapewne równocześnie jako hali, miejsce spotkań, a także pracownia. O tym ostatnim świadczyły ciągnące się wzdłuż ścian stoły, podobne do używanych dawniej desek kreślarskich. Na wprost wejścia, odwrócony do niego tyłem, siedział mężczyzna. Poznałem go od razu. Był nim Zamfi, jeden z naukowców, z którymi wyruszyłem z Ziemi. Wolałbym wziąć na pierwszy ogień kogoś, kogo nie znałem, ale nie zależało mi na tym aż tak bardzo. Kiedy wszedłem, odwrócił na moment głowę, musnął mnie nieodgadnionym spojrzeniem, po czym natychmiast zajął się na powrót jakimś szkicem czy rysunkiem, który leżał przed nim, rozpięty na stole. Tył jego czarnej głowy znieruchomiał.

Zrobiłem kilka kroków i zatrzymałem się w głębi sali. Czekałem minutę, dwie, trzy... Wreszcie przestało mnie to bawić.

– Cześć, Zamfi – powiedziałem spokojnie, przyciszonym głosem. – Znowu się spotykamy. Jesteś sam?

Czarna głowa zakołysała się. Potrwało jednak trochę, zanim odpowiedział:

– Nie. Reszta siedzi pod stołami. Nie widzisz?

Co najbardziej zawsze w ludziach ceniłem, to poczucie humoru. Powiedziałem mu to. Spytałem ponadto, dlaczego nie siedzi tam razem z nimi. Wymyśliłem na poczekaniu jeszcze kilka równie błyskotliwych żarcików. Mówiłem znudzonym tonem, cicho i powoli. Mówiłem dużo. W końcu przecież będzie miał dość...

– Nie widzisz, że pracuję? – przerwał mi wreszcie. Ucieszyłem się.

– Naprawdę? – w moim głosie zabrzmiało radosne uznanie. – To może zechcesz mi teraz powiedzieć, gdzie jest reszta?

– Także pracują – odburknął po chwili.

– Będiesz pracował, czy wolisz się przejść? – rzuciłem odrobinę ostrzejszym tonem. Ale tylko odrobinę. Wystarczyło to jednak, żeby uniósł głowę i zmierzył mnie spojrzeniem. Tym razem przyjrzał mi się dłużej.

– No więc?

Wzruszył ramionami i wykrzywił usta. Nie w uśmiechu.

– Nigdzie nie pójde – warknął. – Czego właściwie chcesz?

Uśmiechnąłem się. Nie wykrzywiając ust.

– Przyleciałem przed chwilą – wyjaśniłem. – Sądziłem, że to zauważyłeś. Mam tu coś do załatwienia i przez pewien czas będziemy mieszkać razem. Co nie znaczy, że musisz ze mną rozmawiać – przestałem się uśmiechać – ani nawet, że ja mam na to ochotę. Powinieneś jedynie odpowiadać na moje pytania, zresztą nie tylko ty. A także słuchać, jeśli zaistnieją okoliczności,

które zmuszą mnie do wydawania wam poleceń. Możesz mnie traktować jak głośnik, przez który twoi przełożeni na Ziemi przesyłają ci instrukcje. Gdzie są tamci?

Znowu odwrócił się do mnie tyłem. Kilkanaście sekund tkwił w bezruchu, po czym usłyszałem jego przytłumiony głos.

– Wszyscy są na swoich stanowiskach. Pracujemy – powtórzył.

Wyprostowałem się.

– Dobra – mruknąłem. – Praca to ostatnia rzecz, w której chciałbym wam przeszkadzać. W ogóle będę siedział jak mysz pod miotłą. Zobaczysz, że mnie polubicie. A teraz pójdziemy po resztę. Gdybyś jednak nie miał na to czasu, to wezwij ich tutaj. Domyślam się, że macie radio?...

Wstał. Dość szybko jak na leniwe tempo, w jakim dotychczas przebiegało nasze spotkanie. Odwrócił się gwałtownie i podszedł do mnie, zatrzymując się jednak, zanim z rozpędu nie uderzył mnie w pierś. Sięgał mi niewiele ponad ramiona. Co nie znaczy, że był karzełkiem. Twarz miał spaloną od słońca. W rękach ścisnął jakiś przedmiot, przypominający pióro lub starożytny rylec. Utkwił we mnie wściekłe spojrzenie i parokrotnie poruszył wargami, zanim udało mu się wykrztusić słowo. Jego niezbyt starannie ogolona twarz nosiła wyraźne ślady zarostu równie czarnego jak czupryna.

– Zostaw nas w spokoju – wychrypiał. – Będą tu wieczorem. O ósmej. O pół do dziewiątej robimy zwykle kolację. I tak za wcześnie, jak na to, co masz nam do powiedzenia. Zresztą wszystko już wiemy. Zapowiedzieli nam, co nas czeka. Nie musisz się tak śpieszyć...

– Wezwiesz ich, czy mam to zrobić sam? – spytałem spokojnie. – Nie obchodzi mnie, co powiedzieli wam inni. Nie obchodzi mnie nic poza tym, żebyście robili to, co mówię.

– Będą o ósmej – powtórzył, nie ruszając się z miejsca.

Odpiąłem od pasa jeden z ruchomych nadajników, które w zależności od sytuacji w terenie mogłem nosić z sobą lub pozostawiać, żeby przekazywały mi wiadomości z dowolnie wybranych okolic, i rzuciłem kilka słów. Umieściłem aparacik na dawnym miejscu, po czym wskazałem Zamfiemu okno.

– Spójrz – mruknąłem. – Mogą już w ogóle nie wrócić. Za godzinę przez pole ochronne nie przejdzie żaden żywy człowiek... jeśli nie wierzysz, mogę ci dać do sprawdzenia moje programy...

Zamfi powędrował wzrokiem za moim spojrzeniem i przestraszył się. Z pewnością nie przywykł do takich widoków.

Ze szczytów stojących w pionie rakiet strzelały promieniście uciekające w nieskończoność wiązki laserowych szperaczy. Pracowały windy. Z otwartych włazów towarowych wypęzły ciężkie pojazdy osłony. Operacja rozwijała się zgodnie z programem. Za kilka minut teren bazy, w promieniu z górą kilometra, znajdzie się pod czułą opieką automatów, oraz małych, bojowych rakiet, automatycznie naprowadzających się na wskazane przez „straż” cele. Nad obszarem stacji zamknie się małe niebo siłowego pola niby przezroczyste, ale idealnie nieprzenikliwy namiot. Nieprzenikliwy dla żadnego materialnego ciała, które nie odpowiadałoby ściśle budowie miejscowej atmosfery.

Oczywiście to pole zamknie się dopiero na moje osobiste polecenie. Ale o tym Zamfi nie mógł wiedzieć. Żywiłem natomiast uzasadnioną nadzieję, że będzie się po mnie spodziewał najgorszego.

– Poczekaj – burknął, unosząc lekko prawą dłoń. Skierował się ku niskim drzwiom w bocznej ścianie hali i zniknął za nimi. Po chwili usłyszałem jego głos. Widać tam właśnie mieli kabinę łączności. Głos Zamfiego umilkł, przez moment panowała cisza, po czym uczony odezwał się

znowu. Tym razem w jego tonie brzmiała jakby perswazja, zmieszana z nie ukrywanym rozdrażnieniem. Znowu chwila ciszy, wreszcie dość głośny stuk wyłącznika.

Wszedł do salki i zatrzymał się zaraz za progiem. Jego oczy celowały w podłogę przed moimi stopniami.

– Będą o siódmej... – wymamrotał.

– Prosiłem, żeby przyszli zaraz – przypomniałem łagodnie.

Wzruszył ramionami. Dłuższą chwilę milczał, stojąc bez ruchu, po czym powtórzył:

– Będą o siódmej...

Uśmiechnąłem się. Tak, byłem na Petty. Naprawdę.



Po kliknięciu nastąpi przeskoczenie do nagłówka

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 2

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 4

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">

– A więc przypominam jeszcze raz – nie zamierzałem przeciągać tej sceny dłużej, aniżeli to było konieczne – po pierwsze od dziś wszyscy mieszkacie tutaj, w głównej bazie i nie opuszczacie chronionego terenu od zachodu do wschodu słońca. Po drugie każdy z was nieustannie będzie mieć przy sobie mój nadajnik automatyczny, żebym wiedział, gdzie kto jest. I nie pomieszczać tych nadajników, bo mają swoje kody identyfikacyjne. W razie potrzeby możecie za ich pośrednictwem nawiązać ze mną zwyczajną łączność... pokazywałem wam jak. Po trzecie ja zamieszkać tam – wskazałem ręką okno – zaraz za ogrodzeniem, w jednym z większych pojazdów... nie zamierzam cały czas tkwić w kabinie statku. Stamtąd będę mógł uruchomić cały sprzęt... i tam mnie szukajcie, jeśli nie powiem, gdzie jestem. Po czwarte będę kolejno odwiedzał wasze stanowiska robocze, bo do tego mnie zobowiązano. Nie mam zamiaru wtrącać się w nie swoje sprawy. Tam jednak będziecie musieli odpowiadać na moje pytania – rzuciłem łagodnym tonem, patrząc prosto przed siebie. – Po piąte wreszcie, zorientowałem się, że misja naukowa jako całość pracuje bez kierownika. Macie tylko szefów poszczególnych specjalności. Pewnie odpowiada wam ten stan rzeczy, ale to niestety musi ulec zmianie. Proszę, żebyście od razu wybrali kogoś, z kim będę mógł się porozumiewać, podejmując decyzje obowiązujące wszystkich na tej planecie...

Nikt nie odpowiedział. Straciłem jednak ochotę do żartów. Powiodłem zmęczonym wzrokiem po ich twarzach... tak, byli wszyscy. Zaraz zaczęły się dyskusje, krygowanie...

– Kto jest najdłużej na Petty? – zwróciłem się do Zamfiego. Ten spojrzał na mnie, ale nie otworzył ust. Skinąłem głową. Uruchomiłem mój aparacik i porozumiałem się z komputerem. Nie trwało to długo.

– Pierwszym statkiem przybyli między innymi Semow, Monk i Beccari – stwierdziłem, wyłączając nadajnik. – Oni są tutaj najdłużej. Z nich Semow ma staż na sześciu obiektach pozaziemskich. A więc kierownikiem misji na Petty będzie Semow. Komu się to nie podoba – dodałem szybko, widząc, że paleobiolog, którego nazywali Semem, otwiera usta, żeby zaprotestować – następnym statkiem wróci na Ziemię. I proszę jeszcze raz, żebyście nie zmuszali mnie do przypominania wam o moich kompetencjach. Nikomu to nie jest potrzebne do szczęścia... a choćbyście sobie nie wiem, co myśleli, ja jestem tutaj po to, żeby bronić nie tylko was, ale i Ziemi. Z tym – zastrzegłem się – że na ten temat nie będziemy mówić. Żadnego teoretyzowania. Jeśli naturalnie w ogóle będziemy mówić, na co jak widać i tak niezbyt się zanoszą. Może ktoś ma jakieś pytania?

Lana potrzęsła swoją kasztanową główką i wyprostowała się. Pozostali zwrócili na nią zdziwione spojrzenia.

– Chciałabym wiedzieć – odezwała się lekko zachrypłym głosem – czy przedmioty, które badamy, także będą pod kontrolą... to znaczy kiedy znajdziemy, na przykład, jakieś konstrukcje, jest ich tutaj sporo, czy nie wolno nam ich dotykać, zanim... – urwała. Przy ostatnich słowach w jej głosie zadrgała nutka nie ukrywanej ironii.

Zrozumiałem natychmiast, o co chodzi. Jeśli odpowiem, że tak, włożę im do ręki broń, z której z pewnością nie omieszkają skorzystać. Będą mnie wzywać do wszystkiego, co tylko kiedyś zostało sporządzone przez żywe istoty. W efekcie przy najbliższej okazji zameldują Ziemi, że moja obecność niesłychanie hamuje postęp badań. Jeśli natomiast zwolnię ich z tego obowiązku, zarzucą mi, że przecież obcy mogą im podrzucić w badanych ruinach swoje automaty, że sami mogą się tam ukrywać i że wobec tego cała moja opieka, a zatem i obecność, i tak nie ma żadnego sensu. Tak, nie pomyliłem się wtedy. Ta kobieta rzeczywiście ma głowę na karku. To

nic, że kasztanową, rozjaśnioną teraz w świetle lamp rudawym połyskiem. To nic, że wygląda jak z okładki pisma dla młodych małżeństw. Może być bardziej niebezpieczna niż niejeden ze starych wyjadaczy, przywykłych myśleć zbyt prostolinijnie i postępować zbyt szczerze. W każdym razie jak dla mnie.

– Decydować o tym będzie zawsze uczone, który przystąpi do prac nad znaleziskiem – odpowiedziałem. – Sądzę, że każdy z was potrafi na pierwszy rzut oka odróżnić sprzęt czy konstrukcję sprzed tysięcy lat od falsyfikatu. Tak, falsyfikatu, to znaczy czegoś współczesnego, czemu dla kamuflażu przydano by patyny wieków. A może się mylę?

Chwilę czekałem, ale nikt się nie odezwał. Odszukałem wzrokiem twarz Lany, uśmiechnąłem się i mówiłem dalej:

– Brak odpowiedzi oznacza zgodę. A więc to wy sami będziecie decydować o tym, czy należy mnie wezwać, czy nie. Jeśli jednak komuś z was zdarzy się pomylić, będzie to jego ostatnia pomyłka w tym gronie... czy wyraziłem się jasno?

– Co to znaczy?! – wybuchnął Warda Zamfi parsknął pogardliwie i wzruszył ramionami. Lana uśmiechnęła się spokojnie.

– Nie musisz nas straszyć – odrzekła łagodnym tonem. – To nie my przylecieliśmy tutaj ze strachu...

Rozległy się śmiechki. Robiło im się wesoło. Nie miałem nic przeciwko temu. Powiedziałbym, że przeciwnie. Jeśli atmosfera stanie się nieco zbyt swobodna, pokażą im język. Ciekawe, czy im się to z czymś nie skojarzy...

Przypomniałem sobie tę scenę sprzed kilku dni i mnie samemu zrobiło się wesoło.

– Proszę cię, Semow – powiedziałem uśmiechając się do niego – zajdź do mnie po kolacji. Musimy porozmawiać. Przykro mi, że obciążam cię tym obowiązkiem... lepiej jednak, żeby cierpiał jeden niż wszyscy. A teraz życzę smacznego... i dobranoc.

Pożegnałem uśmiechem Lane, omiotłem zebranych życzliwym, pogodnym wzrokiem i wyszedłem. Kilka minut później siedziałem wyciągnięty wygodnie w fotelu, w jednym z janusów, który zmieniłem w prowizoryczną stacjonarną bazę, i słuchałem wzburzonych, zmieszanych głosów, płynących z mojego odbiornika.

Nie byłem ciekaw, co o mnie mówią. Nie obchodziła mnie ich argumentacja, nienowa zresztą, jaką zwalczali istnienie SAO w ogóle, nie wspominając już o takich sytuacjach jak ta, w której sami się teraz znaleźli. To wszystko i tak wiedziałem. Ale musiałem się przekonać, czy nie postanowią sabotować moich instrukcji. Moich? Powiedzmy, moich. Chociaż i ja byłem przecież tylko przekaźnikiem. Na dobrą sprawę mogli tu zamiast mnie przysłać wyłącznie automaty, a ludziom wydawać polecenia albo z satelity, albo nawet z Ziemi. Tego, oczywiście, nie będę im tłumaczył.

– Czy nie sądzicie – odezwała się w pewnym momencie Lana, wykorzystując sekundę ciszy – że on słucha wszystkiego, co tutaj mówimy? Macie zamiar bawić go dalej?

– Niech słucha – obruszył się Beccari. – Co mnie to obchodzi?!

– Cały czas będziemy teraz podsłuchiwać? – przestraszył się Warda. Tak, z nim nie powinienem mieć kłopotu...

– Ja nie wiem – zabrzmiał młody, dziewczęcy głosik, Ariki czy Sawy – ale to byłoby jakieś... – zawahała się – nieprzyzwoite... – znalazła wreszcie słowo, oddające jej myśl. Ktoś roześmiał się głośno.

– Oni i przyzwoitość! – zawołał Zamfi. – Nie, Aria, ty naprawdę jesteś jeszcze dzieckiem...

– Uspokójcie się – zabrzmiał ponownie głos Lany. – Powiedziałem to specjalnie... jeśli on

naprawdę nas słucha. Nasz szef – w jej tonie zabrzmiała leciutka, nieuchwytna niemal kpina – nic nie mówi i ma rację. Jedyne, co możemy zrobić, to zachowywać się tak; jakby go nie było. Ostatecznie naprawdę mamy tu masę roboty... i to niezależnie od tego, czy przytrafią się nam jeszcze jakieś odwiedziny, czy nie. Co do nich zresztą, przynajmniej tych ostatnich, pamiętacie, nasunęło mi się właśnie pewne przypuszczenie..., ale o tym powiem wam, kiedy będę pewna, że nie jesteśmy śledzeni. A w razie czego... jest nas dziewięcioro. On może tylko niszczyć. I jest sam. My umiemy coś więcej... i chcemy więcej. Nie przejmowałabym się tak tym, co nas spotkało. Po kolacji powinieneś tam pójść, Sem. Co do jednego ma niewątpliwie rację: lepiej, żeby rozmawiał z jednym z nas niż ze wszystkimi. Zresztą, trzeba przyznać, że wybrał bardzo mądrze. Niepotrzebny nam kierownik, ale skoro musimy go mieć, to nikt nie byłby lepszy od Sema...

– Daj spokój, Lana – obruszył się Semow. – To idiotyczne. Pójdę tam, zgoda, i powiem, co o tym wszystkim myślę... ani mi się śni...

– Nie unos się – przerwał mu Zamfi. Byłem ciekaw, czy poprze Lane, ale on burknął tylko znaczącym tonem: – Pamiętaj, że nie jesteśmy sami... – po czym umilkł. Ktoś zaśmiał się krótko, ktoś inny zakaszlał i nastąpiła cisza.

Posiedziałem jeszcze chwilę przy głośniku, a następnie wyciszyłem tłumik fonii i ułożyłem się wygodniej w fotelu. „To byłoby nieprzyzwoite...” – zadźwięczały mi w uszach słowa, wypowiedziane dziewczęcym głosikiem. Uśmiechnąłem się. Nie był to jednak najweselszy uśmiech. Przypomniałem sobie inny dziewczęcy głos i...

Wstałem. Teraz, kiedy są już wszyscy, powinienem obejść automaty. Zanim uruchomię generatory, stymulujące pole siłowe.

Nie była to mimo wszystko kąpiel, jaka sobie wymarzyłem. Po pierwsze temperatura. Na lądzie blisko czterdzieści stopni, a tutaj chyba niewiele mniej. Poza tym chwilami odnosiłem wrażenie, że otacza mnie masa płynnego, rozwarstwowanego szkła. Woda, tak mi się zdawało, dotykała zaledwie mojego naskórka, płynąłem jakby tunelem idealnie dopasowanym do moich kształtów. Obca woda.

Pochwyciłem jakiś ruch kilka metrów niżej. Morze nie było wcale tak przezroczyste, jak można by wywnioskować z mojego porównania do szkła. Odepchnąłem się mocniej płetwami i zszedłem kilka metrów w dół. Ruch powtórzył się, tym razem bardziej z boku. Zawróciłem.

Nagle tuż przed moimi oczami wyłoniły się kontury znajomego kształtu. Równocześnie wyciągniętą ręką dotknąłem dna. Nie było tu zbyt głęboko. Piętnaście, szesnaście metrów. Brzeg był tuż. A pode mną i dookoła leżały wielkie, jajowate bryły skalne, pocięte poziomymi półkami. Na jednej z takich półek, przed którą się teraz zatrzymałem, stała w pozycji pionowej piękna, doskonale zachowana amfora. Dokładnie taka, jakie widuje się w muzeach śródziemnomorskich. Nonsens. Ziemska amfora, stara, jakby porzucona tutaj przez starożytnych Greków?...

Odruchowo zerknąłem na mój aparacik kontaktowy, przytwierdzony do przedramienia. Był w porządku. Wszystko było w porządku. Jedyne, co mąciło harmonię, była obecność tego smukłego, pięknego dzbana, któremu brakowało tylko klasycznych płaskorzeźb i ornamentów.

Pracując samymi rękami, przybliżyłem się do amfory i sięgnąłem do misternie wyprofilowanego, kabłąkowego ucha. W tym samym ułamku sekundy rzekoma amfora zaczęła gwałtownie puchnąć. U jej podnóża wzbijała się wodna kurzawa, jak spod rufy startującej rakiety. Zwinąłem się w miejscu i ile sił w nogach uderzyłem płetwami. Przepląnąłem kilka metrów i odwróciłem się.

Miejsce dzbana zajął teraz pionowy walec, prosta, wysoka rurka, przez którą na upartego mogło przeleźć dziecko. Górna jej część powoli zaczęła się oddzielać od podstawy. Cała konstrukcja ruszyła wolno w kierunku powierzchni wody. Ale to nie wszystko. Walcowaty twór zaczął nagle falować i wyginać się, jakby w kokietyjnym tańcu. Równocześnie rurka podzieliła się na poziome segmenty, tworzące stale oddalające się od siebie pierścienie. W miarę pochodu w górę te pierścienie rosły i stawały się jaśniejsze. Przez moment zaświtała mi myśl, czy przypadkiem, wydostawszy się na powierzchnię, nie utworzą gigantycznej tęczy, która zamieni się następnie w poziome, świetliste koła. Ale mieliśmy przecież dzień. Południe. A poza tym to, co zostało z owej „amfory”, fosforyzowało zaledwie, jeśli w ogóle nie były to tylko promienie słońca, prześwitujące przez wierzchnie warstwy wody. Może jednak wydarzenia owej pamiętnej nocy także należało przypisać miejscowej faunie?...

Po pierścieniach nie pozostało już śladu, rozmyły się w górze, jakby uciekając w powietrze, nad powierzchnię morza. Spojrzałem na zegarek. Pławię się już pół godziny. Niedługo tlen się skończy, wziąłem zaledwie jedną próżniową butlę, której reduktor niezbyt dobrze spisywał się w wodzie.

Popływałem jeszcze chwilę, po czym wyprostowałem się jak struna i pozwoliłem wodzie wypchnąć się na powierzchnię. Zrzuciłem maskę, pozostawiając ją zawieszoną na szyi, na gumowej taśmie, i spojrzałem w stronę brzegu. Oba statki trwały nieruchomo. Niektóre z automatów ukazywały wierzchołki anten, inne pozostawały niewidoczne, ukryte za nadbrzeżnymi muldami. Spokój. Oczywiście, że spokój.

Gdyby coś się zdarzyło, zostałbym natychmiast zaalarmowany przez komputer. Nie rozstawałem się z osobistą aparaturą łączności, która – inaczej niż butle tlenowe – spisywała się równie dobrze w powietrzu, próżni, wodzie czy choćby pod ziemią.

Przetarłem oczy i dostrzegłem stojącą na plaży jakąś nieruchomą postać. W następnej chwili rozpoznałem Arikę, którą przyjaciele, a w każdym razie wszyscy tutaj, nazywali krótko Arią. Z daleka wyglądała jak dziewczynka, wahająca się przed wejściem do zimnej kąpieli.

Nie poruszyła się, kiedy wyłączyłem na plażę, mocując się z pociężalym nagle ekwipunkiem. Zrzuciłem butle i płetwy, po czym uśmiechnąłem się do dziewczyny. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedziała uśmiechem. Chwilę spoglądaliśmy na siebie, całkiem jak dwoje młodych ludzi, którzy przypadkiem spotkali się na ziemskiej plaży i nagle zainteresowali się sobą. Co do niej, była to zapewne zwykła ciekawość. Nieustanny trening i częste przeciążenia, w czasie lotów na krótkich dystansach, zrobiły ze mnie coś w rodzaju Tarzana ze starych filmów. Jeśli dodać do tego mój wzrost, nie ma się co dziwić, że pewnego rodzaju spojrzenia dziewcząt były dla mnie czymś raczej znanym. Naturalnie akurat jej zainteresowanie nie mogło niczego obiecywać. Natomiast jeśli chodzi o mnie, podobała mi się po prostu. Miała na sobie błękitny kostium kąpielowy, osłaniający zaledwie punkciki smukłego, opalonego na złoty brąz ciała. Na głowie nosiła kapelusz z szerokim, piankowym rondem, a jej drobna twarz ginęła za wielkimi słonecznymi okularami. Ładna dziewczyna. Może nie tak ładna jak Lana, ale z jakimś sobie tylko właściwym wdziękiem. J bardzo świeża. Nie tylko pod względem urody. Dziewczyna, z którą chętnie poszłoby się w góry, pojechało na jeziora...

Co za bzdury. Jeziora... pełne amfor. Trupy kosmatych pilotów. Istoty, które kiedyś rozwinęły na tym globie wspaniałą cywilizację i wyniosły się następnie... lub wyginęły. Wielkie, stożkowate statki...

– Dobra kąpiel? – spytała nagle dziewczyna. – Siedziałeś tak długo pod wodą, jakbyś tam czegoś szukał... – dodała po chwili.

Uniosłem brwi. Same mi się uniosły. Po raz pierwszy, od kiedy tu jestem, ktoś zagadał do mnie po ludzku. Trzy dni. A raczej trzy doby. Trzy doby, które upłynęły w całkowitym spokoju i równie całkowitym milczeniu... Spokój powinien mnie cieszyć, ale nie cieszył. Jeśli przedtem tajemnicze zjawiska pojawiały się dosłownie każdej nocy, to ich nagłe zniknięcie mogłem z dużą dozą prawdopodobieństwa przypisać mojemu własnemu zetknięciu z domniemanym statkiem obcych, tutaj, na tym wybrzeżu. Wtedy, kiedy zaraz potem sam odegrałem rolę obcego. Oznaczałoby to, że owe statki nie były złudzeniem. Że penetrowały Petty naprawdę, a wycofały się po szumie, jakiego narobiłem swoim demonstracyjnie huczącym lądowaniem i owym „apelem”, który przedtem wygłosiłem. Mogli na zawsze już przepaść w przestrzeni. Jeżeli jednak byli choć trochę podobni do ludzi, przynajmniej pod względem sposobu myślenia, wrócą. Tylko mogą się przedtem nieco lepiej przygotować... na spotkanie istot, powodujących skażenie powietrza i gruntu. Nie szkodzi. Dam sobie z nimi radę, kimkolwiek będą. Muszę tylko naprawdę pilnować naukowców... bardziej aniżeli mógłbym sobie tego życzyć, nie 'wspominając nawet o ich życzeniach. Nie, nie mogłem się dziwić, że przyjęli mnie niezbyt gościnnie. Tym większym zaskoczeniem było dla mnie obecne spotkanie na plaży.

– Szukałem amfor – odpowiedziałem. – Jedną nawet znalazłem, ale na mój widok rozpadła się w złote pierścionki. Gdybym wiedział, że tu jesteś, przyniósłbym ci jeden...

Uśmiech stał się odrobinę szerszy. Zrobiłem kilka kroków w jej stronę i przestała się uśmiechać. Drgnęła, jakby miała zamiar się cofnąć, ale wytrwała w miejscu.

– A kąpiel taka sobie – podjąłem. – Jak na mój gust, trochę za ciepła. Idziesz do wody?

Potrząsnęła głową.

– Nie – odpowiedziała bez żalu – nie mam czasu. Te niby amfory, o których mówiłeś, to tutejsze pierścienice. Tak o nich mówimy, chociaż specjaliści nadali im już jakąś bardzo długą i mądrą nazwę. Dobrze, że tego nie dotykałeś. Mają ładunek elektryczny, niezbyt, silny, ale można się przestraszyć. A wyjęte z wody roztopiają się, jakby ich nigdy nie było. Nic by mi nie przyszło z takiego pierścionka – u – śmiech powrócił. Kąciki warg leciutko drgnęły. Musiała się często uśmiechać. Jej policzki nabierały przy tym kształtu połówki owoców, ukazując delikatny rysunek dość wydatnych, drobnych kości.

– Ale ja o tym nie wiedziałem – mruknąłem. – Może bym się i przestraszył – dodałem z powagą – ale pierścionek bym przyniósł. Byłaby to w każdym razie manifestacja dobrej woli... a poza tym chętnie popatrzyłbym, jak się dziwisz...

– Czemu? – zdziwiła się.

– O, właśnie – podchwyciłem poważnie. – Czemu? Bo rzadko stać was na jakieś zwykłe ludzkie odruchy wobec mnie... chyba takie już moje szczęście...

Spoważniała. Nawet więcej, niż spoważniała. Spojrzała na mnie surowo.

– Jeśli chodzi o ludzkie odruchy – oznajmiła lekko podniesionym tonem – to obawiam się, że mamy zupełnie różne zdanie. Ale zapowiedziałeś, że nie będziesz z nami rozmawiał na ten temat...

Skinąłem głową.

– Tak. Przepraszam.

Chwilę jeszcze mierzyła mnie wzrokiem, po czym westchnęła i nasunęła głębiej kapelusz.

– Gorąco... – stwierdziła. – Przyszłam tutaj właściwie po ciebie – wyznała nieoczekiwanie.

– Co się stało?

– Beccari znalazł coś takiego, o czym chciałeś, żeby cię informować. Czekają tam...

– To znaczy gdzie?

– Na dwunastym stanowisku... mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów.

– I przyjechałaś tu specjalnie, żeby mi o tym powiedzieć?

– Tak.

– A jeśli to jest coś, co nie powinno czekać?! – rzuciłem z pasją. – Nie macie radia?

Powiedziałem chyba dostatecznie wyraźnie, jak można się ze mną kontaktować...

Zesztywniała. Ostatni ślad uśmiechu spelzł z kącików ust. Zagryzła wargi.

– Idziemy – ruszyłem ostrym krokiem w stronę bazy. Nie obejrzałem się, czy podąża za mną. Dotarłem do janusa, warującego stale przy bliźniaczym pojeździe, w którym urządziłem sobie kwaterę, i ulokowałem się w fotelu. Przedtem byle jak naciągnąłem na gołe ciało skafander i umieściłem kask tak, żeby go mieć pod ręką. Kiedy uruchomiłem silniki, Aria stała już obok pojazdu.

– Wsiadaj – rzuciłem, wskazując jej fotel obok siebie. Usłuchała bez słowa. Właściwie trudno było mieć pretensje akurat do niej. Wysłali ją, co miała zrobić. Odruchowo zerknąłem na jej kostium. Oczywiście nie miała nawet przy sobie nadajnika. A przecież od tego, żeby wszyscy mieli zawsze pod ręką te aparaciki, które specjalnie przygotowano dla nich na naszej stacji, mogło zależeć bardzo wiele. Tylko że oni ich nie lubili. Woleli rozmawiać, patrząc sobie w oczy. Nawet w sytuacji, która skłoniła ich do wysłania po mnie dziewczynę... sześćdziesiąt kilometrów. Sto dwadzieścia w obie strony. Niech ich licho...

Najpierw jechaliśmy pustym, nadbrzeżnym pasem, potem droga skręciła do lasu. Spomiędzy drzew co chwilę wynurzały się resztki starych budowli, jakieś pokruszone mury, wieże, dźwigary dawnych estakad, prostokątne lub okrągłe zagłębienia terenu, zbyt regularne, by mogły być dziełem natury. Te ostatnie porastały jedynie wysokie zielska, widać podłoże nie dawało tam dostępu korzeniom drzew. Raz i drugi wysoko ponad naszymi głowami zamajaczyły kontury przyglądanych przez czas stożkowatych szczytów. Należały do budowli przypominających piramidy, założonych na planie kwadratów, o bokach dochodzących do trzystu metrów długości. Ten teren był niegdyś jednym wielkim miastem. Podobnie jak cała kraina nad śródlądowym morzem.

Droga przez las wiodła łagodnymi łukami, miejscami nachylonymi, jakby kiedyś pędziły nią pojazdy, rozwijające wielkie szybkości. I tak chyba naprawdę było. Wszystkie szlaki komunikacyjne, których używali naukowcy, założono w miejscu dawnych dróg, odtworzonych na podstawie zdjęć lotniczych. Autostrady mieszkańców Petty... ale dziwne autostrady. Po stukilometrowym odcinku szosy następowała nagle przerwa. Nawierzchnia, ucięta równo jak nożem, przechodziła w wąwozy, wzgórza, las... A kilkaset metrów dalej zaczynała się znowu droga, niegdyś zapewne szeroka, wygodna i wytyczona niemałym nakładem sił. Tak było wszędzie, na wszystkich kontynentach globu. A więc może nie autostrady, tylko szlaki lokalnej komunikacji? Lub też swoiste pasy startowe, potrzebne jedynie do nabrania rozpędu?...

Kilkanaście kilometrów od morza wyjechaliśmy z gęstwiny drzew, wpadając na rozległą równinę. Jak okiem sięgnąć, w którąkolwiek patrzyłoby się stronę, sterczały rozrzucone do kresu widnokregu ruiny. Gdzieniedzie łączyły się ze sobą, tworząc zwarte aglomeracje, w innych miejscach pozostawiały wokół siebie wolne przestrzenie, jakby tereny spacerowe lub pasy ochronne wokół zakładów przemysłowych. Teraz nie sposób było dopatrzeć się w tym widoku jakiegokolwiek ładu czy harmonii. Rzecz jasna, byłem tutaj już wczoraj i przedwczoraj, rekonesans po najbliższym otoczeniu bazy uznałem za jedną z najpilniejszych spraw do załatwienia. Niczego nowego się nie dowiedziałem, zresztą zdawałem sobie sprawę, że tak będzie, zanim jeszcze usiadłem za sterami janusa. Zbyt dobrze pamiętałem, co powiedziano mi o

Petty na stacji, i zbyt wiele informacji zakodowano w przystawkach mojego komputera. Ale każdą, nawet najlepiej znaną rzecz trzeba zobaczyć na własne oczy, jeśli naprawdę chce się o niej wiedzieć wszystko.

Nie ulegało wątpliwości, że planeta była rajem dla archeologów i wszelkiej maści specjalistów, zajmujących się historią kultury materialnej, egzobiologią, paleotechniką i czym tam jeszcze. Nie ulegało też wątpliwości, że taka planeta może wzbudzić ciekawość nie tylko Ziemiaków. Jeśli w dodatku Ziemiaki już na niej są... a inni albo przybyli za późno, albo też interesują się nie tylko historią...

No i co z tego? Od razu kiedy zaszło coś, o czym powinienem wiedzieć, wysłali po mnie dziewczynę. Jakby chodziło o kurtuazyjne spotkanie przy czarnej kawie...

Przed nami zamajaczyły linie – wzgórz. I one były poprzecinane niezliczonymi odcinkami dróg, o ile wiedziałem, nie zdążono ich nawet jeszcze skatalogować. Jednak budowle, znajdujące się dalej od brzegu, przedstawiały obraz znacznie większego zniszczenia niż w rejonie bazy. „Najmłodsze” zabytki, znalezione na Petty, pochodziły sprzed dwudziestu tysięcy lat. Umiano wówczas budować ze skał, formowanych termicznie. Ale tutaj, przed nami, rozciągał się obszar, który już dla ostatnich mieszkańców planety musiał stanowić swego rodzaju skansen. O istnieniu miast świadczyły tylko zarośnięte kopce i charakterystycznie ukształtowane wyniosłości. Ze ścian i konstrukcji nie pozostało niemal nic. I tam właśnie najchętniej pracowali nasi archeolodzy. Zupełnie jak na Ziemi. Mówili, że te obszary kryją w sobie rozwiązanie zagadki powstania i zagłady miejscowej cywilizacji, osobiście jednak byłbym skłonny przypuszczać, że całkiem po prostu interesowało ich jak zwykle przede wszystkim to, co najstarsze.

Kątem oka spojrzałem na Arię i musiałem się uśmiechnąć. Siedziała nadąsana, jakby naprawdę była małą dziewczynką, patrzyła prosto przed siebie i mocno zaciskała wargi. Nie zauważyłem, żeby od początku jazdy raz choćby poprawiła się w fotelu. Ona także była archeologiem. I ją interesowało zapewne to, co najstarsze. Zabawne... Wszystkie kontrasty są zabawne. No, powiedzmy, prawie wszystkie.

Droga wbiegła do wąwozu, którego dnem płynął leniwie szeroki strumyk. Jego brzegi kiedyś mogły być ujęte w regularne koryto. Teraz wyglądał jak stara, ziemską rzeką u podnóży gór. Za najbliższym zakrętem otworzyła się przed nami kolista dolina o idealnie płaskim dnie. Chwilę jechaliśmy jeszcze starożytnym traktem, przecinającym ją jak cięciwą, po czym Aria dotknęła mojego ramienia i, nie odzywając się, wskazała ręką w prawo. Skręciłem posłusznie w tę stronę. Zerknąłem na licznik i stwierdziwszy, że zostawiliśmy za sobą sześćdziesiąt cztery kilometry, zwolniłem.

Na wprost nas od niecki odchodziło w głąb wzgórz jakby wąskie ramię, w perspektywie skręcające na zachód. Wjechaliśmy w nie.

– Daleko jeszcze? – spytałem w pewnej chwili. – Miało być sześćdziesiąt – dodałem z wyrzutem. – Twój łazik ma zepsuty licznik.

– Łazik jest w porządku – odpowiedziała natychmiast. – Jechałam inną drogą... przez góry. To już tutaj – wysunęła do przodu brodę i wskazała mi wzrokiem miejsce „już tutaj”. Sekundę wcześniej sam odkryłem, że jesteśmy u celu. Wyłączyłem silniki. Janus przetoczył się jeszcze kilkanaście metrów i znieruchomiał.

Staliśmy w skalnej niszy, zamkniętej odsloniętą nagle za ostatnim zakrętem pionową skałą, niespodziewanie wysoką jak na łagodne z pozoru wzgórze, otaczające tę część doliny. U stóp bazaltowej ściany rozpościerał się niewielki, gładki placyk, niegdyś z pewnością pokryty twardą nawierzchnią. Stało na nim kilka wozów terenowych, jakimi posługiwali się naukowcy. Obok

nich czekało bez ruchu sześć czy siedem automatów. Wszystkie były zwykłymi robotami wieloczynnościowymi, żaden z nich nie mógłby wyrzucić krzywdy musze, gdyby tego od niego zażądano.

Wysiadłem i podałem rękę Arice. Przez moment wsparła się na niej całym ciężarem ciała, co nie znaczy, że był to ciężar, którego nie potrafiłbym utrzymać nawet przez dłuższy czas.

Natychmiast jednak zeskoczyła lekko i od razu odwróciła zarumienioną twarz w stronę skały. Poszedłem za jej spojrzeniem i ujrzałem wykute w ścianie niewielkie drzwi, obramowane zdobionymi blokami. Linie ornamentu były wytarte, miejscami ginęły w wygładzonym kamieniu, kiedyś jednak musiały wyobrażać geometryczny wzór, który z pewnością nie zdziwiłby historyka sztuki, pracującego w jakimś ziemskim muzeum. Metr przed tymi drzwiami czekał na nas Zamfi. Był w roboczym kombinezonie, z podwiniętymi rękawami. Wyglądał bardzo młodo. Ciemne, niemal czarne włosy opadły mu dwoma kosmykami na twarz. Ogarnął je niecierpliwym ruchem i uśmiechnął się przelotnie do dziewczyny.

Przyśpieszyłem. Pomyślałem, że znowu będę im musiał powiedzieć kilka słów prawdy o ich zachowaniu. Jeśli jeszcze raz zdarzy się, że zawiadomią mnie o czymś ważnym przez „postańca”, zamiast użyć radia, któregoś odeślę na Ziemię. Nie będę się cicał czekać, aż zdarzy się coś nieodwracalnego. I tak mnie nie polubią...

– Gdzie to jest? – rzuciłem, zatrzymując się przed Zamfim tak, że mógłbym go dotknąć nie wyciągając ręki. Historyk, specjalizujący się, o czym wiedziałem, w matematycznej analizie starych tekstów, spojrzał na mnie nieprzyjaznym wzrokiem i odwróciwszy się na pięcie ruszył wprost w stronę skalnych drzwi. Poszedłem za nim. Z tyłu słyszałem drobne kroki Arii. Kiedy znaleźliśmy się wewnątrz wzgórza, te kroki odbiły się głośnym, metalicznym echem.

Panował tu niemal zupełny mrok. Na próżno wodziłem oczyma po ledwie widocznych ścianach, nie udało mi się wypatrzyć żadnych wzorów czy rzeźb, jeśli takie tu były. W pewnym momencie zapaliłem mały, podręczny reflektorek, ale wtedy właśnie dotarliśmy do drzwi prowadzących z pierwszej komory, jakby z przedsionka, do kamiennej hali; tak wielkiej, że z powodzeniem można by w niej ustawić pionowo transgalaktyczny statek. Na lewo i prawo twarda, lita posadzka, pozbawiona wzorów, a nawet śladów jakichkolwiek szczelin czy spoin, rozbiegała się ku bocznym ścianom, pokonując dystans chyba ze stu metrów. Tutaj światło było już niepotrzebne. Całe to nieobjęte wzrokiem wnętrze wypełniała jakaś poświata, jakby od ścian odbijały się padające z niewidocznych otworów promienie słońca.

Nieco dalej spostrzegłem porzuconą aparaturę badawczą, stoły robocze, narzędzia i mnóstwo fragmentów starych konstrukcji. I tutaj trwało w nieruchomym oczekiwaniu kilka robotów. Widać, naukowcy urządzili sobie w tej hali prowizoryczny magazyn... albo też zamierzali założyć pracownię. Kiedy wreszcie minęliśmy skarby archeologów, niespodziewanie ujrzałem przed sobą ogromny skalny filar. Nie była to jednak naturalna skała, tylko ustawiony przez budowniczych całego tego archaicznego kolosa słup o średnicy dziesięciu metrów, a wysokości... nie, tego nie próbowałbym nawet zgadnąć. Okręcone wokół filaru biegly ślimakiem .w górę wąskie, nie osłonięte żadną poręczą schody o stromych, lekko nachylonych stopniach. Zamfi, w dalszym ciągu nie oglądając się na nas, ruszył prosto w ich stronę i rozpoczął mozolną wspinaczkę. Chcąc nie chcąc poszedłem w jego ślady.

Po kilku minutach poczułem, że skafander lepi mi się do pleców. Nigdy nie cierpiałem na lęk przestrzeni, ale tutaj wolałem mimo wszystko nie patrzeć w dół. Po następnym kwadransie zrobiło mi się nagle żal Arii. Co więcej zląkłem się o nią. Obejrzałem się i ujrzałem, że idzie za nami ze spokojem, jakby pod nogami miała nie kamienną przepaść, tylko na przykład basen z

podgrzewaną wodą. Nie pozwoliła nam się nawet za bardzo wyprzedzić.

Ta ptasia droga trwała jeszcze blisko pół godziny. Pod koniec złapałem drugi oddech i właściwie zacząłem się bawić, chociaż nie przestawała mnie nurtować wątpliwość, czy to naprawdę jedyny sposób osiągnięcia celu, do którego mnie prowadzili. Ale chyba nie płataliby takich figli swojej dziewczynie.

Zamfi dotarł do kwadratowego otworu w suficie i począł znikać mi z oczu. Zrobiło się jaśniej. Po chwili wszyscy znaleźliśmy się w niewielkiej, dobrze oświetlonej lampami archeologów salce, w której pod ścianami czerniały stare, zżarte korozją konstrukcje. W głębi, przed czymś w rodzaju niszy, widniała grupa milczących naukowców. Byli niemal w komplecie.

Kiedy podszedłem bliżej, rozstąpili się, robiąc mi przejście. Odbyłem drogę wzdłuż ich osobliwego, niemego szpaleru i nagle ujrzałem przed sobą schody. Znowu schody. Tym razem na szczęście mniej strome, proste, a co najważniejsze, prowadzące jedynie na coś w rodzaju okrągłej antresoli. Strop uciekał ponad nią lejkowato w górę, na samym szczycie lśniła jak gwiazda jedna, dość silna, lampa. Jej promienie odbijały się w pionowym maszcie czy jakiejś rurce, osadzonej w samym centrum tego kolistego pomieszczenia. Maszt lśnił jak świeżo pociągnięty niklem. Kilkanaście centymetrów nad posadzką podstawę masztu otaczała pokrywa jakiegoś półokrągłego pojemnika. W pewnej odległości od jego krawędzi stał Beccari. Zgięty wpół, wpatrywał się w powierzchnię zagadkowej konstrukcji jak urzeczony. Kiedy się zbliżyłem, obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, po czym natychmiast zajął się na powrót tym czymś, co miał przed sobą.

Podszedłem, przykląknęłam na jedno kolano i poczułem, że ogarnia mnie chłód. Wystarczył jeden rzut oka, żebym musiał pomyśleć o ludziach. Obejrzałem się. Zamfi i Arika dotarli za mną aż tutaj. Stali dwa kroki dalej, wyprzedzając czekającą nadal w milczeniu resztę.

Zanim o cokolwiek zapytałem, wezwałem moje automaty z terenu bazy i trzy pojazdy osłony. Uruchomiłem automatyczny nadajnik, który miał im wskazać drogę do mnie, po czym wyprostowałem się.

– Niech wszyscy wyjdą – powiedziałem półgłosem. Coś musieli jednak usłyszeć w moim tonie, bo posłuchali bez próby protestu. – Poczekaj – zatrzymałem Baccariego – to ty znalazłeś, prawda?

– Tak...

– Kiedy?

– Dziś rano – odpowiedział po chwili. Spojrzałem na zegarek.

– Rano to mi nic nie mówi – stałem się odrobinę mniej grzeczny. – O czwartej? Piątej?

– Około dziewiątej – wymamrotał Beccari. – Nie myśl...

– Nic nie myślę – urwałem. Porwała mnie autentyczna pasja. – Teraz jest trzecia po południu – warknąłem. – Byłeś przy tym, kiedy tłumaczyłem, na czym polega moja robota tutaj. Przykro mi, ale pierwszym statkiem, jaki przyleci z Ziemi, zabierzesz się z powrotem. Możesz mi powiedzieć, co o tym myślisz – dodałem widząc, że poczerwieniał i zacisnął zęby – ale uprzedzam, że przyniesie ci to co najwyżej pewien rodzaj ulgi. Nie zostaniesz na Petty. Czy ktoś ma coś do powiedzenia?... – rzuciłem przez ramię.

– Ja protestuję – zabrzmiał za moimi plecami piskliwy głos Zamfiego. – To niedopuszczalne...

– Zamfi poleci razem z tobą, Beccari. Skargi i zażalenia przyjmuje bezpośrednio Ziemia... na miejscu. Jasne? Czy jeszcze komuś mam wyświadczyć tę przysługę... jeśli stęsknił się za domem?

– Niech nikt nic nie mówi – zabrzmiał zdyszany głos Lany. – Chyba że chcecie zbojkotować

prace wykopaliskowe i zamknąć misję na Petty. Ale wydaje mi się, że oni tylko o tym marzą. Nie byłabym skłonna iść im w tym na rękę...

– Bardzo słusznie – podchwyciłem. – Od początku jestem zdania, że Lana popełniła pomyłkę. Jej powołaniem było pracować w SAO. A teraz idźcie stąd wszyscy. I nie wracajcie.

Za godzinę każdy, kto zbliży się do tego miejsca, zostanie porażony ochronnym polem siłowym. Tylko w ten sposób mogę skutecznie ekranizować to urządzenie. Chwileczkę – raz jeszcze zatrzymałem Beccariego – czy przyszło ci chociaż na myśl zbadać to Geigerem?

Patrzył na mnie przez chwilę wzrokiem, z którego ustąpiła już złość, ale nie ustąpił żal, po czym bez słowa odwrócił się i wyszedł. Przed nim i za nim kolejno opuszczali mnie jego towarzysze. Ostatnia zeszła po niskich schodkach Aria. Zostałem sam.

Wtedy uruchomiłem analizator, zablokowałem sprzężenie mojej podręcznej aparatury z komputerem i kolejno zbliżałem do odkrytej konstrukcji pyszczki czujników. Ani jeden nie dał mi znać, że powinienem się mieć na baczności. Przynajmniej tyle.

Wyłączyłem aparaty, utkwilem wzrok w pokrywie... nie, nie miało sensu chować głowy w piasek i nazywać tego urządzenia inaczej niż pulpitem stacji łączności, następnie zamyśliłem się. Gdyby ktoś mógł mi powiedzieć, od jak dawna pracuje tutaj ten nadajnik. Niestety, to nie był zabytek. Archeologia okazałaby się w tym wypadku bezradna. W ogóle historia. Ktoś jednak wykorzystał zabytkowe ruiny, żeby umieścić w nich zamaskowaną stację nadawczą. Ile zdołała przekazać informacji? Jakich? Komu? A może służyła tylko stożkowatym statkom jako nadajnik namiarowy?

Z daleka gładka, polerowana blacha. Tyle tylko, że zbyt świeża jak na miejsce, w którym się znajdowała. Z bliska natomiast...

Nie, nie umieszczono w niej żadnego sygnalizatora, czujnika, przełącznika, lampki, niczego w tym rodzaju. Jednak kiedy zbliżyło się oczy do gładkiej pozornie powierzchni, występowały z niej nagle setki drobnutkich prążków, podobnych do wtopionych w metal niesłychanie cienkich, delikatnych rureczek. Wewnątrz nich pulsowało życie. Smużki różnokolorowego światła, tak dyskretne, że ledwie widoczne, pulsowały, wspinały się jak słupki rtęci w termometrze i opadały, przy czym ten ruch nie wykazywał żadnej regularności.

Odczekałem jeszcze chwilę, po czym ponownie pochyliłem się i zbliżyłem twarz do owej, jak ją z początku nazwałem, pokrywy. Światła ożyły. Wewnątrz przezroczystych prążków, jakby w igłach barwnych kryształów, zapłonęły cieńsze od włosa nitki.

Cofnąłem głowę. Pulsacja światła osłabła, barwy odrobinę przyblakły. A może tak mi się tylko zdawało. Powtórzyłem próbę. Nie, reagowały jednak na bliskość człowieka. Może jedynie temperatury? A może źródła energii, jakim jest żywy organizm?

Wyteżyłem myśl. Skupiłem się na wzorze geometrodynamicznym, w nowy sposób określającym drogę w pustej, zakrzywionej przestrzeni. Kiedy geony przestają się zachowywać jak stała substancja, czy możliwe jest wówczas przenikanie do nadprzestrzeni? Oczywiście, możliwe. Ale do jakiej granicy? W którym momencie struktura czasoprzestrzeni, nie zamykając czarnych korytarzy, równocześnie zada kłam współczesnej ultrateorii względności?

Była to po prostu pierwsza kwestia, jaka przyszła mi na myśl. Dostatecznie trudna, by zmusić mnie do wysiłku umysłowego. Równocześnie nie przestawałem obserwować zachowania świetlnych prążków. Znowu wyraźnie przyspieszyły swój ruch wewnątrz włoskowatych przewodów, chociaż dbałem o to, by głowę trzymać nieruchomo. Nie ulegało już teraz wątpliwości, że są nadzwyczaj czułe na najdrobniejsze zmiany pól elektromagnetycznych w ich sąsiedztwie.

Spróbowałem jeszcze jednego. Przypomniałem sobie twarz Ariki i pomyślałem o Annie. Nie przyszło mi to łatwo. Ale emocja towarzysząca tej myśli była słabsza, niż oczekiwałem. Czyżby dlatego światła tym razem zadrgały nieco słabiej? A może aparatura obcych umiała coś więcej, niż reagować na zmianę natężenia każdego pola elektromagnetycznego?

Przebiegło mi przez myśl, że eksperyment, który właśnie wypróbowałem, nie spodobałby się moim przyjaciółom, naukowcom. Znowu powiedzieliby parę słów o nieludzkich charakterach facetów z „Trójki”. Trudno. Jedynym miernikiem mojego działania była jego skuteczność. Największa, możliwa do osiągnięcia w konkretnej sytuacji. A ja przecież ciągle jeszcze musiałem czekać na moje automaty.

Wstałem i oddaliłem się parę kroków od tej skrzyni, pokrytej szklanym sztruksem, jeśli już miałbym się silić na jakieś porównania, po czym zadarłem głowę i pobiegłem wzrokiem ku wierzchołkowi owego słupa czy masztu, który kończył się świecącą w górze gwiazdą. Przyjrzałem się uważniej i nagle zdałem sobie sprawę, że ta gwiazda wcale nie jest lampą, jak przypuszczałem. Po prostu w uciekającym stromo ku górze, lejkowatym stropie widniał okrągły, niewielki otwór, przez który wpadały promienie słońca. Maszt celował prosto w ten otwór, najprawdopodobniej też nie kończył się równo z powierzchnią ziemi, tylko sterczał z niej jak antena. Nie „jak”. On był anteną.

Pomyślałem o drodze, jaką pokonałem, żeby dotrzeć do tego pomieszczenia, po czym bez zastanowienia wszedłem na pociętą niteczkami światła skrzynię, objąłem maszt nogami i zacząłem się wspinać, jak przed wiekami strażacy na ćwiczeniach. Maszt był gładki niczym lód, ale ja miałem na sobie skafander. Naciągnąłem na dłonie szorstkie, próżniowe rękawice, które dotychczas zwisały mi z rękawów, i posługując się nimi bez większych kłopotów zacząłem posuwać się w górę. Po dziesięciu minutach osiągnąłem otwór. Był większy, aniżeli wydawało się z dołu. W każdym razie przelazłem przez niego zupełnie łatwo, jeśli nie liczyć wspinaczki skalnym kominem, zwężającym się ku górze. Na szczęście komin był dość płytki, a poza tym ze skalnymi przewieszkami zawarłem znajomość jeszcze jako chłopak.

Wylazłem na zewnątrz, stanąłem i rozejrzałem się. Antena, szczyt masztu, osadzonego tam w dole pośrodku pracującej aparatury, ukrytej przez kogoś w wykopaliskach sprzed tysięcy lat, wystawała zaledwie pół metra ponad poziom gruntu. Widać zrobiono wszystko, żeby nie rzucała się w oczy. U góry kończyła się niewielką, matową gałeczką.

Dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciągały się wierzchołki wzgórz. Niektóre skaliste, przeważnie jednak łagodne, zaokrąglone, porośnięte tą tutejszą trawą. Doliny z ich ruinami pozostawały stąd niewidoczne. Jednak moje pojazdy z automatami w ładowniach trafią tutaj prędzej, niż do tej salki na dole. O ile w ogóle bez osobistego nadzoru kierowcy potrafiłyby pokonać te idiotyczne schody. Dlatego podjąłem owa chłopięcą wspinaczkę po słupie. Nie tylko dlatego, rzecz jasna. Chciałem obejrzeć wierzchołek anteny. Ale teraz już nie powinienem czekać na automaty dłużej niż kilka minut.

Przybyły za osiem. Rozstawiłem je, oddaliłem się, schodząc do połowy zbocza, uzbroiłem pojazdy, programując je tak, żeby raziły wszystko, co spróbowałoby zakłócić im spokój, a następnie otoczyłem cały szczyt wzgórza polem siłowym. Popracowałem trochę przy komputerach. Za to teraz mogłem być pewny, że żadne fale radiowe, żadne promieniowanie nie przedostanie się już tutaj z zewnątrz. Gdyby na przykład próbowali zdalnie sterować pozostawioną w głębi starożytnej budowli aparatura. A co ważniejsze, ta aparatura nie przekaże im już strzępka informacji. Jest szczelnie i skutecznie zekranizowana.

Pytanie tylko, ile takich jak ta tutaj stacji nadawczych zainstalowali obcy na Petty? I gdzie ich

szukać? Te skalne komory znane były naszym, archeologom od dawna. Uważali je, zdaje się, za miejsca jakiegoś starodawnego kultu, zapewne w okresie szczytowego rozwoju cywilizacji Petty pielęgnowane już jedynie jako pomniki przeszłości. Przypadkiem, działając zgodnie z opracowanym przez siebie planem, weszli dzisiaj akurat tutaj. Ile jeszcze zostało podobnych miejsc na planecie?

Zaraz. Jeśli obcym chodzi rzeczywiście nie o badanie zabytków, lecz o obecnych tutaj ludzi, to liczą się tylko te przekaźniki, które pracują w ich bezpośrednim sąsiedztwie. A zatem trzeba wzmóc kontrolę stanowisk badawczych.

I stale penetrować tereny działalności naukowców.

Połączyłem się z Bessem i przekazałem mu wyniki analizy obcego urządzenia, dokonanej przez aparaturę informatyczną statków. Sam nie próbowałem się nawet z nią zapoznawać. Wiedziałem, że zajęłoby mi to co najmniej dobę i że specjaliści w stacji zrobią to w dodatku lepiej. Następnie zacząłem schodzić w dolinę.

Janus stał tam, gdzie go zostawiłem. Obok niego, przy drzwiach prowadzących do wykutej we wnętrzu góry budowli, zgromadzili się uczeni. Podeszedłem do nich, poszukałem spojrzeniem Semowa i powiedziałem:

– Nie chcę wiedzieć, czy Beccari powiedział ci o swoim odkryciu od razu rano. Czy byłeś przy tym, kiedy zamiast wezwać mnie radiem, posyłaliście po mnie Arikę. Inaczej musiałbym i ciebie wyprawić na Ziemię, a wolałbym nie pozbawiać misji jej kierownika. Tylko jeśli taka sytuacja raz jeszcze się powtórzy, zażądam przerwania prac na Petty do momentu wyjaśnienia wszystkich zjawisk, które wam kojarzą się z „odwiedzinaми”. Nie chcę tego. Tak jak wy nie chcecie, żeby wam ktoś przeszkadzał. Ale będę musiał. Od dziś nie będziecie rozpoczynali pracy na żadnym nowym stanowisku, zanim go przedtem nie sprawdzimy... ja i moje aparaty. To na razie wszystko.

Nie czekałem na odpowiedź. Zresztą nikt nie kwapił się odpowiadać. Odwróciłem się, podeszedłem do mojego pojazdu i jednym skokiem znalazłem się w jego odsłoniętej kabinie. Zapuszczałem już silniki, kiedy poczułem dotyk czyjejś ręki na ramieniu. Zwróciłem głowę w tą stronę. Pod Janusem stała Arika.

– Zostawiłam w bazie łazika – powiedziała półgłosem. – Mogę z tobą po niego' wrócić?

Milcząc wskazałem jej fotel. Nie poruszyła się. Wówczas podałem jej rękę. Oparła się na niej, tak jak przedtem, i wspięła do niewysoko zresztą zawieszanej kabinki. Położyłem dłonie na drążkach kierowniczych. Janus zakręcił w miejscu i od razu nabierając szybkości ruszył w powrotną drogę na wybrzeże.

Dłuższą chwilę jechaliśmy w zupełnej ciszy. Wreszcie usłyszałem jej ciche westchnienie. Przyszła mi nedorzeczna myśl, że wysłali ją specjalnie, żeby spróbowała mnie udobruchać. Nonsens. Wiedzieli o nas zbyt wiele. A poza tym nie uciekaliby się do metod ich zdaniem zapewne nieetycznych.

Westchnęła ponownie. Wtedy przestałem udawać, że nie słyszę. Spojrzałem na nią i spytałem, czy coś jej dolega.

Potrząsnęła główką.

– Zastanawiam się... – zaczęła i urwała. Chwilę czekałem, po czym stwierdziłem półgłosem, że sprawa widać naprawdę wymaga zastanowienia.

– Zastanawiam się – powtórzyła nieco bardziej zdecydowanym tonem – czy ty musisz być taki... czy wy wszyscy jesteście tacy? I jak to się dzieje, że ktoś wybiera taką właśnie pracę?

– A jak to się dzieje, że młodzieńca modelka zostaje archeologiem... i to pozaukładowym? –

odpowiedziałem pytaniem. Nie miałem najmniejszego zamiaru dać się wciągnąć w pryncypialną dyskusję.

– To co innego – odpowiedziała pewnie. – Kwestia zainteresowań. Ale w twoim wypadku zainteresowania nie wchodzą przecież w grę. Wy niczego nie pragniecie poznać... jedyne, o czym myślicie, to broń. Przeciw komu?

W jej głosie tyle było jakiegoś dziewczęcego, rozbijającego żalu, że mimo woli odpowiedziałem poważniej, niż zamierzałem:

– Dlaczego przeciw? Czy napadam na kogoś? Nie wiesz, o czym mówisz, dziewczyno...

Pomyślała chwilę. Niezbyt długo.

– A na przykład ta aparatura, którą dzisiaj znalazł Beccari. Nie wiem, czy zauważyłeś, że natężenie światła zmienia się w zależności od obecności ludzi i od tego, co myślą.

– Zauważyłem – burknąłem krótko. Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Ale przecież wyłączyłeś ten nadajnik?... – spytała z wahaniem. – Dlaczego?

– Bo przekazywał dane o nas komuś, kogo nie znamy. A ponieważ go nie znamy, nie wiemy także, jakie ma względem nas zamiary. I jak długo nie będziemy tego wiedzieć, tak długo ten ktoś nie powinien nic wiedzieć o nas.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziałem. To było beznadziejne. Oni nigdy nie zrozumieją.

Znowu jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

I znowu ona przerwała je pierwsza:

– Zrobiliśmy pewien eksperyment... – zaczęła z wahaniem – nie mówiliśmy ci o tym... nie dlatego, żeby to ukrywać – dodała prędko – tylko nie dałeś nam okazji. Nie wiem, czy wiesz – zacięła się, zamruczała coś pod nosem, następnie odkaszlnęła i niepewnie mówiła dalej: – że Barcew... to znaczy, że Barcew i Lana bardzo się lubią. No, rozumiesz...

– Rozumiem – odparłem chłodno. – Bardzo się lubią.

Zrobiła obrażoną minę, jednak po chwili rozchmurzyła się.

– Semow zauważył, że kiedy Bar mówił do Lany tam, w tej salce, gdzie jest ta obca aparatura, jej światełka... jak by ci to powiedzieć... nie śmieję się – zastrzegła się najzupełniej zbytecznie – łagodniały... stawały się bardziej pastelowe. Za to wypełniały szczelnie wszystkie te rowki... czy jak to nazwać. Sprawdzaliśmy to kilka razy i zawsze było tak samo. Kiedy Warda posprzeczał się z Beccarim, czy próbować wykorzystać ten maszt do wysłania naszych sygnałów, światełka zaczęły mrugać. Całkiem jakby coś wewnątrz przestawało momentami kontaktować... tak to wyglądało. Natomiast kiedy Zamfi wspomniał o tobie, to znaczy... – zająknęła się znowu – o tym, że jesteśmy pod waszą kontrolą, zabłyśły i przez chwilę pulsowały bardzo gwałtownie. Potem mówiliśmy jeszcze różne rzeczy... staraliśmy się myśleć o tym czy tamtym... i zawsze to się sprawdzało. Ta aparatura reaguje na nasze myśli... ale także na nasze uczucia... na to, co nawzajem o sobie sądzimy, czy jesteśmy łagodni, skłonni do zgody, czy też przeciwnie, ktoś wzbudza w nas niechęć lub gniew... Och – wykrzyknęła cicho – sama wymyślałam niestworzone rzeczy...

– Pięknie – przerwałem. – Pięknie, że mi to mówisz... teraz. Kiedy już ktoś w kosmosie zabawia się waszymi pomysłami... dlatego czekaliście pół dnia, żeby mnie zawiadomić?...

Nie odpowiedziała.

– Zresztą nie musisz nic mówić – burknąłem. – Sam wiem. Powinienem i ciebie wysłać na Ziemię, razem z Beccarim i Zamfim.

– Nie zrobisz tego!

– Czego? Nie wyprawię ich czy ciebie?

O nich nie mówmy, stracisz tylko czas. A ty możesz być spokojna. Nie żartowałem mówiąc, że przy następnej tego rodzaju zabawie w kotka i myszkę spowoduję, że ludzie odlecą z Petty. Wszyscy. Więc ty sama na razie nie musisz się martwić...

– Dlatego, że ktoś chce wiedzieć, co myślimy? Jesteś... mylisz się – zawróciła z drogi, która w ostatniej chwili wydała jej się pewnie odrobinę zbyt ryzykowna. – Myślisz wyłącznie o zagrożeniu ludzi...

– I Ziemi – przerwałem. – Ziemi. Nie tylko my umiemy poruszać się w nadprzestrzeni. Jeśli ktoś naprawdę zainteresuje się naszą cywilizacją, nietrudno mu będzie dotrzeć do jej źródła.

– Ale dlaczego?! – wybuchnęła. – Przecież gdyby mieli złe zamiary, nie obchodziłoby ich, co my czujemy względem siebie, co o sobie nawzajem myślimy, jakie są nasze stany uczuciowe i tak dalej. Wystarczyłaby im garść informacji o naszej technice. To, że interesują się czymś więcej, świadczy najlepiej o ich pokojowych zamiarach. Nie przyszło ci na myśl, że oni także mogą mieć swoją SAO, która bada, czy odkryta rasa nie zagraża ich istnieniu? A co może dać lepszą gwarancję niż poznanie psychiki obcych istot, ich wzajemnych stosunków i zasad, według których są kształtowane? Jeśli odnosimy się do siebie szczerze i przyjaźnie, jeśli jesteśmy prostolinijni i uczuciowi, to tak samo potraktujemy zapewne wszystkie cywilizowane istoty, które zechcą się z nami spotkać... a może i współdziałać... A teraz zepsułeś wszystko. Przerwałeś ciąg emisji... może przylecą usunąć awarię, a może domyśla się, że nie życzymy sobie, aby tu pracowały ich nadajniki, że nie możemy się dekonspirować, bo zbyt wiele rzeczy mamy do ukrycia...

– Jeśli o to chodzi – wtrąciłem ponuro – zdekonspirowaliście nas już dostatecznie. Całe szczęście, że postaraliście się chociaż o zakochanych... może wezmą nas za nieszkodliwych pomyłków...

– Nie żartuj – fuknęła. – Tu chodzi o coś więcej niż nasze bezpieczeństwo... Czy naprawdę nie rozumiesz, jaką szansą byłoby spotkanie wysoko rozwiniętej cywilizacji, która..

– Nakarmiłaby ludzi przymierających głodem – podchwyciłem. – Usunęła wojny. Zaprowadziła komunizm i określiła jego kolejne stadia rozwojowe, a potem je zrealizowała. Znalazła sposób na wszystkie choroby, które dziesiątkują ludzkość. Sprawiała, że nasze rozumne społeczeństwo pragnęłoby posiadać wciąż więcej wiedzy, a równocześnie byłoby zdolne pomóc każdemu dziecku, chociażby tylko płaczącemu po zgubieniu lalki. To wszystko zrobiliśmy sami. Dawno. Bardzo dawno. Więc czego od nich chcesz? Dlaczego nie iść własną drogą, dlaczego uciekać od naturalnej ekstrapolacji?... Ale nie odpowiadaj. Powiedz lepiej – uśmiechnąłem się – gdzie zdobywasz takie kostiumy kąpielowe. Wyglądasz jak aktoreczka... u progu wielkiej kariery... co nie znaczy, żebym cię pomawiał o brak talentu. Przeciwnie – zatroskałem się – nie wiem, czy jak na mnie, nie masz go nieco za dużo...

Nastało milczenie. Tym razem trwało dłużej. Kiedy wyjechaliśmy już z lasu i ujrzelśmy przed sobą nadbrzeżne wzniesienia, z dachami bazy i trzema sterczącymi wysoko czubami rakiet, odezwała się z przekąsem:

– Ludzie miewali i miewają kłopoty. Dzięki temu jesteśmy dzisiaj tutaj...

– Ludzkość tak długo ceni sobie swoje kłopoty, jak długo istnieje – odpowiedziałem. – Czym będziesz się martwić, kiedy przestaniesz istnieć?

– Oni chcą nas poznać. Nie zniszczyć – powtórzyła z uporem.

– Mówimy o tym samym – postanowiłem załagodzić spór, bo dobijaliśmy już do celu jazdy. – Tylko oceniamy sprawę z różnych punktów widzenia. Gdyby nie było naszej Agencji,

pomyślałabyś może czasami, jak to tłukliśmy się kiedyś ze sobą... nieustannie. Jesteś historykiem, czy mam cię uczyć, jak długo to trwało? A czy tak trudno sobie wyobrazić, że w kosmosie istnieją istoty, robiące to do tej pory... teraz właśnie na przykład?

– I zakładają u nas aparaty, żeby dowiedzieć się, czy jesteśmy łagodniejsi od nich? Czy dawnym żołdakom przysłoby coś takiego na myśl?...

– Wszyscy w kosmosie muszą być podobni do ludzi, prawda?

– Może gdyby nie było SAO – podjęła po chwili – istotnie ci, którzy nas wysyłają, myśleliby więcej o naszym bezpieczeństwie. A czy ty, gdyby z kolei wszyscy badacze zachowywali się tak jak wy, nie miałbyś tego dość?... Nie zapragnąłbyś czegoś innego w ewentualnych stosunkach z innymi cywilizacjami?

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Ale odbiegamy od faktów. Na razie ty należysz do beztróskich zbieraczy wiedzy, a ja do żołdaków, jak sama przed chwilą byłaś łaskawa stwierdzić...

– Nie mówiłam o tobie – przerwała. Potrząsnąłem głową.

– Nie mam pretensji – uśmiechnąłem się. – Jakiś czas jeszcze tak właśnie będzie. Nie polubicie mnie, nawet gdybym leżał przed wami plackiem i zachwycił się każdą skorupa, która uda wam się tu wygrzebać. A wieczorami śpiewał wam ballady o wspólnych zabawach z obcymi cywilizacjami. Więc po co tyle gadać...

– Masz rację. Ale źle robisz, że traktujesz nas jak dzieci. I nie masz racji mówiąc, że cię nie lubimy. Nie lubimy tego, co reprezentujesz. Tylko dlatego, że to istnieje. A poza tym ci, którym dzisiaj wyłączyłeś aparaturę, nie chcą nas zniszczyć...

– Kartagina powinna być zburzona... – Co?

– Nic. Był jeden taki, który miał zwyczaj powtarzać to zdanie w nieskończoność... aż do zburzenia Kartaginy.

– Wiem – obraziła się. – Ale nie ma takich istot, przed którymi aż do tego stopnia musielibyście nas bronić...

Wstrzymałem się z odpowiedzią, bo wjeżdżaliśmy na teren bazy. Odruchowo sprawdziłem pozycje automatów i pojazdów, po czym zatoczyłem łuk i zatrzymałem się przy łaziku, który przywiózł ją tu z doliny, gdzie ktoś przed nami plądrował w reliktach cywilizacji Petty. Podałem jej znowu rękę i pomogłem wsiąść. Kiedy szła już do swojego pojazdu, rzuciłem za nią:

– Jest takie stare powiedzonko: „Świat jest tak duży, że nie ma niczego takiego, czego by nie było”. Szkoda, że interesujesz się tylko historią materialną...

– Interesuję się nie tylko historią – odpowiedziała chłodno, lokując się w kabince łazika. Patrzyłem za nią, kiedy wykręciła zgrabnie w miejscu i ruszyła ku bramce w niskim ogrodzeniu. Ogrodzeniu, które nie mogłoby powstrzymać najbardziej niemrawego wołu, gdyby miał zamiar wejść do ludzkiej bazy...



', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **3**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **5**

', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();" >

– Tutaj pracuje Lana – w głosie Barcewa pojawiła się ledwo słyszalna ciepła nuta. – Stanowisko założyliśmy trzy tygodnie temu i nie ma ono żadnych przejść. Możemy iść dalej – rzucił od niechcienia, zapraszając mnie skinieniem głowy do dalszej części korytarza.

Uśmiechnąłem się. Proszę. Stał się nawet rozmowny, żeby tylko jak najprędzej uwolnić swoją Lane od niepożądanego gościa.

Przystanąłem u wąskiego krańca jakiegoś kamiennego stołu czy ławy, pokrytej plastikową płytą, na której chemiczka urządziła sobie rodzaj pracowni. Panował tu idealny ład. W wysmukłych, kolorowych pojemnikach widniały odczynniki, niektóre w specjalnych naczyniach, utrzymujących temperaturę lub ciśnienie. Pośrodku płonęły trzy palniki, a nieco dalej pochylały się nad stołem podobne do dawnych mikrofonów ujścia kabli kriogenicznych, przewodów doprowadzających kwasy i najróżniejsze gazy. Ich butle lub mufy złączek pęczniały za niewielką pancerną płytką, umocowaną pod przeciwległą ścianą.

Lana podniosła głowę. W świetle silnego, bezcieniowego reflektora załśniły jej upięte jakąś przezroczystą siateczką rudawe włosy. Przyjrzała mi się spokojnie i bez pośpiechu zajęła się na powrót preparatem, który leżał przed nią pośrodku oświetlonego kręgu.

Rozejrzałem się. Niewielkie pomieszczenie, część hali przypominającej labirynt, której poszczególne segmenty łączyły wąskie, załamujące się pod prostymi kątami korytarzyki, nie kryło żadnych niespodzianek. Nie było drzwi prowadzących do nie zbadanych jeszcze partii ruin, schodów, otworów w suficie ani podłodze. Taka sama, nieco może tylko większa komórka jak osiem innych, które minąłem, idąc za Barcewem, oprowadzającym mnie po opuszczonym kilka dni temu rejonie prac, dokąd wrócili, kiedy zamknąłem im dostęp do starej świątyni, wykutej w skale. Niegdyś były to zapewne jakieś zakłady, o czym świadczyły pozostałości przewodów, ale równie dobrze, jak mi powiedziano, mogło chodzić o swego rodzaju uczelnię lub szpital. Na rzecz tego ostatniego przemawiało coś, co miałem dopiero zobaczyć w dalszej części hali, zajmującej ogółem powierzchnię dwunastu hektarów, której wewnątrz było jednakże całe i bez reszty podzielone na maleńkie salki.

– Cześć, Lana – powiedziałem, ruszając w stronę czekającego przy wyjściu Barcewa – życzę powodzenia...

Spojrzała na mnie zdziwiona. Na moment jej palce zastygły w bezruchu nad preparatem. Był to, o ile mogłem się domyśleć, kawałek jakiejś kości. Zaraz potem przez twarz kobiety przebiegł nikły uśmieszek. Skinęła mi głową.

Następna komora była zupełnie pusta. Skręciliśmy w lewo, potem znów na prawo i jeszcze raz w lewo, ciągle posuwając się wąskim, niskim korytarzem, jakby jakimś osobliwym kanałem. Od czasu do czasu fragmenty jego ścian uciekały nagle w głąb, tworząc owe pomieszczenia, w których nasi naukowcy pozakładali swoje pracownie. Następnie ściany wracały i szło się dalej, tym samym korytarzem o przekroju kwadratu.

W którejś z kolejnych nisz Barcew stanął. Podeszedłem do niego i zatrzymałem się również. W pierwszej chwili odruchowo spojrzałem w górę, szukając źródła osobliwego światła, wypełniającego pomieszczenie jakby unoszącymi się w powietrzu okruchami czerwonego szkła. Sufit był tutaj rzeczywiście ze szkła. Tyle że przepuszczając promienie słońca, zatrzymywał równocześnie wzrok. Nie widziałem nieba, w szybach nie udało mi się znaleźć bodaj śladu błękitu. Były rudofioletowe, niezbyt ciemne jednak.

– Co to jest? – spytałem archeologa. Ten uśmiechnął się tylko.

– Wejdz dalej – zaproponował obiecującym tonem.

Posłuchałem. Pośrodku salki, mniej więcej metr nad podłogą, wznosiła się szeroka ni to ława, ni to stół. Powierzchnia bryły powleczone była jakąś masą, której pierwotnego wyglądu nie dało się rzecz jasna odgadnąć. W każdym razie nie był to kamień.

– Usiądź – powiedział Barcew. Przesunąłem dłonią po płycie i zdumiałem się. W dotknięciu była gładka, a równocześnie miała temperaturę mojego ciała. Musiała być sporządzona z materiału bardzo źle przewodzącego ciepło.

Usiadłem. Poczekaliśmy kilkanaście sekund, po czym poszukałem spojrzeniem oczu Barcewa. Wpatrywał się we mnie z nieodgadnionym uśmiechem, jakby na coś czekając.

– No i co? – spytał.

– No i co? – odpowiedziałem tym samym. Równocześnie jednak poczułem, że odpocząłem. Jakbym dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, że byłem zmęczony i odkrył to dopiero teraz, kiedy to zmęczenie ustąpiło. Tak bywa czasem, gdy człowiekowi coś dolegało, kiedy nękał nas na przykład lekki ból głowy lub źle zrobiony but. Poczułem, że wstępuje we mnie jakiś dziwny, pogodny nastrój. Doznałem wrażenia jakby lekkości...

– Rozumiem – mruknąłem z uznaniem. – To właśnie ten szpital – mój wzrok odruchowo powędrował ku szklanej tafli w górze. – Jakiś filtr?

– Czujesz coś? – spytał niepotrzebnie Barcew. W jego głosie odezwała się nutka dumy. Był zadowolony z cywilizacji, której tajemnice mozolnie odkrywał, składając mozaikę z okruchów, rozsianych po pustyni. Był tak dumny jak ziemski archeolog, znajdujący coś, co wystawiało szczególnie dobre świadectwo naszym protoplastom.

– Sfotografowałeś to? – spytałem zamiast odpowiedzi. Skinął głową.

– Szkło kwarcowe. U nas miałyby barwę niebieską. Są tam domieszki minerałów, których nie udało nam się dotąd zidentyfikować. Także jakieś wysokomolekularne pochodne krzemu. Ale wystarczy posiedzieć tutaj kilkanaście minut, żeby wyjść jak nowo narodzony...

– A działania uboczne? – spytałem. Skrzywił się.

– Nie wiem – rzucił krótko. – Dlatego tutaj nie siedzimy. Szczególnie intensywne działanie obserwuje się od siódmej do dziesiątej rano. Teraz to tylko słaba próbka...

– Działania uboczne nieznanne – powtórzyłem, wstając. – Dlatego mnie tu posadziłeś? Na brak sił witalnych nigdy się przed tobą nie uskarżałem. Więc może chciałeś mnie tylko ucłowieczyć?...

Przyjrzał mi się badawczo, ale uspokoił go mój pogodny wyraz twarzy. Pewnie powinienem ich uprzedzać, kiedy żartuję. Jeśli zważyć, co o mnie myślą...

– Co jest dalej? – spytałem, wskazując wejście do kolejnych partii korytarza.

– Do końca hali to samo – odpowiedział. – Takie same salki... pokoje chorych. Jeśli to naturalnie szpital, a nie, na przykład, wylęgarnia drobiu... nie żartuję – zastrzegł się szybko widząc, że krzywię usta w uśmiechu. – To w końcu całkiem prawdopodobne. Drobiu chyba nie, ale na przykład kolonii bakterii... może produkowali tutaj jakieś szczepionki, może...

– Może przychodzili pomarzyć albo korzystali z tych pomieszczeń tak jak my z sauny. Rozumiem. Wiecie dużo, ale nie wszystko.

– Uhm... – mruknął. – Idziemy dalej? Potrząsnąłem przecząco głową.

– Nie – odpowiedziałem. – Za dobrze się czuję. Żal by mi było pozbywać się nastroju, w który wprawiły mnie te szybki – wskazałem oczyma sufit. – Zresztą muszę być jeszcze w jednym miejscu, a robi się późno – spojrzałem na zegarek.

Musiałem rzeczywiście. Godzinę temu Warda zawiadomił mnie drogą radiową, co odnotowałem nie bez pewnej satysfakcji, że rozpoczyna badanie nowej kondygnacji w starej, zapewne kultowej budowli, położonej wśród lasu, bliżej morza. Ponieważ przeleciałem już nad

tym terenem – podobnie zresztą jak nad halą, w której teraz nabrałem dobrego humoru – a moje pelengi pozostały głuche, pozwoliłem mu zejść to piętro niżej. Mimo wszystko jednak powinienem tam zajrzeć. Jeśli im narzuciłem drakońskie rygory, to sam też powinienem być w porządku.

Zostawiłem Barcewa w pomieszczeniu, zajęтым przez Lane, i skierowałem się ku wyjściu. W pewnej chwili musiałem uruchomić nadajnik i zażądać namiaru, żeby nie zabłądzić. Skręciłem chyba jeden raz za wcześnie. Naprawdę labirynt.

Wycięli las na przestrzeni kilometra kwadratowego. Teren był tutaj pofalowany, widocznie miasto wspinało się kiedyś tarasami, po których dziś pozostały tylko jakby pasy drzew osiagających różne wysokości.

Pośrodku sztucznej polany widniał olbrzymi wykop. Zostawiłem pojazd w bezpiecznej odległości i zbliżyłem się do krawędzi. W dół biegła kozia ścieżka, wpadająca metr pod moimi nogami między potężne głązy dawnych murów. Uczni wryli się na głębokość kilkunastu metrów. Pomyśleć, że ta cała otaczająca mnie zielona pustka była przed wiekami tętniącym życiem miastem. A może nie miastem, tylko jakimś wielkim ośrodkiem kultowym? Jak na przykład w Egipcie rejon piramid?

Dno kotliny przecinały wielopoziomowe wykopy, różnej szerokości. Wzdłuż południowej ściany ciągnęły się w równych odstępach czarne wyloty szybów. Tam właśnie Warda odkrył wejście do jeszcze niższej kondygnacji. Odsłonięte już sale, przejścia, a także pozostałości wielkich, sklepionych hal o dachach, których podpór nie odnaleziono, tak jakby ich nigdy nie było, przyniosły archeologom, o czym wiedziałem, wiele cennych przedmiotów, dzieł sztuki, większych i mniejszych sprzętów, noszących ślady ręcznej obróbki oraz jakieś obrazy i malowidła. Nigdzie tylko nie było napisów. W ogóle językoznawców, jak Zamfi, Petty musiała nieco rozczarować. Odnosiło się wrażenie, że miejscowa cywilizacja w ogóle nie znała, a w każdym razie nie używała pisma.

Po mojej prawej ręce, głęboko w dole, wykop zamykał zachowany fragment murów największej budowli w tym rejonie. Z rysunku postrzępionych otworów okiennych wynikało, że nie mogła to być hala fabryczna ani też żadna twierdza. Wejścia z zachowanymi gdzieś tam wielkimi, ciosanymi portalami kierowały raczej myśli ku znanym nam starożytnym świątyniom. W dole pracowali ludzie. Pomyśleli nawet

o swojej wygodzie. W osłoniętym ze wszystkich stron terenie musiało im być duszno, po raz pierwszy ujrzałem tu czynną aparaturę klimatyzacyjną i tłoczące powietrze chłodziarki. Dostrzegłem nawet kilka nadmuchiwanych foteli, sporządzonych z cienkiego, przezroczystego plastyku. W jednym z nich siedział Offian i trzymając na kolanach potężną bryłę kamienia tłumaczył coś stojącej przed nim Sawie. Na prawo od nich Warda, głęboko pochylony do przodu, nakłuwiał grunt seriami laserowej sondy sejsmicznej. Od czasu do czasu prostował plecy i dawał jakieś znaki stojącej na najniższym poziomie Arice, która posługując się zaimprovizowanym pulpitem łączności korygowała wtedy pracę dwóch niewielkich automatycznych koparek.

Zszedłem, a raczej zbiegłem w dół, minąłem Offiana, który odprowadził mnie stroskanym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu, ledwie widocznych spoza niezmiernie bujnych, siwych, krzaczastych brwi, uśmiechnąłem się do Sawy, która szybko odwróciła głowę, i szedłem dalej kierując się w stronę Wardy. Kiedy byłem już blisko, nie oglądając się wyciągnął w moją stronę rękę i zawołał:

– Monk, przynieś jeszcze kilka mufek do światłowodów. Chciałbym je założyć tam na dole... nie

mogę wytyczyć granic galerii!

Podszedłem bliżej i położyłem mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na mnie szybko i twarz mu Stężała.

– To ja – powiedziałem. – Przyniósłbym ci te mufki, ale nie wiem, gdzie są. Rozumiem, że chciałeś mi pokazać to, co jest pod nami. Możemy tam pójść teraz czy najpierw założysz światłowody?

Westchnął. Wyłączył aparaturę i odłożył ją. Następnie mruknął:

– Chodźmy. Nic pilnego...

Odsunąłem się, żeby go przepuścić. Obok nas pojawiła się Aria, która także przerwała pracę. Lekko zdyszana, wdrapała się po stromej gliniastej ścianie i utkwiała w Wardzie pytające spojrzenie.

– Pójdę z wami, dobrze?

– Oczywiście, że pójdziesz – odpowiedziałem. – Będiesz pilnować, czy czegoś nie popsuję... albo nie ukradnę. Obcych nie wpuszcza się beztrosko do muzeów...

Żachnęła się. Omiotła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym niecierpliwym ruchem odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz, i odwróciła się. Poszła jednak za nami.

W dole nie było nic ciekawego. Wilgoć, lepka maź pokrywająca posadzkę, która miejscami tylko ukazywała swoją powierzchnię, ozdobioną kiedyś mozaikami lub malowidłami, ciepławy zaduch i mnóstwo bryłowatych, bezkształtnych figur, które mogły być rzeźbami, ale nie musiały. Minie kilka tygodni pracy archeologów, zanim to wnętrze stanie się atrakcyjnym świadectwem świetności dawnych budowniczych i artystów Petty. Pomyślałem, że nic tu po mnie, tym bardziej że jak dotąd nie odnaleziono żadnych wyjść ani korytarzy, które prowadziłyby do sąsiednich pomieszczeń lub jeszcze niżej, w głąb gruntu. Dla przyzwoitości pozwoliłem się Wardzie oprowadzić po całym pomieszczeniu, stale słysząc za sobą mlaskanie sandałów Arii, grzęznących w błocie, po czym oświadczyłem, że wszystko jest w porządku i nie chciałbym im dłużej przeszkadzać.

Z ulgą wyszedłem znowu na słońce. Podziękowałem Wardzie i ruszyłem już w stronę ścieżki, prowadzącej ku górze, kiedy zatrzymał mnie głos Ariki:

– Poczekaj – powiedziała jakby z wewnętrznym przymusem – widziałeś naszą galerię przodków?

Stałem. Przypomniałem sobie, że Warda mówiąc, jak myślał, do Monka, wspomniał coś o jakiejś galerii.

– A powinienem ją zobaczyć? – spytałem. Wzruszyła ramionami. Były pochyłe, drobne, ale nie chude, o matowej, brązowożłotej skórze. Mogła nimi wzruszać, ile tylko chciała, w każdym razie jeśli chodzi o mnie.

– Nie musisz – bąknęła z naganą w głosie – nie ma tam nic niebezpiecznego...

Pomyślałem, że rzeczywiście nie muszę i poprosiłem, żeby mnie zaprowadziła do tej galerii.

Skierowaliśmy się ku owej najlepiej zachowanej ścianie, sterczącej mniej więcej do połowy wysokości wykopu. Przystanąłem na moment przed kamiennym portalem, mimo woli podziwiając jego wielkość. Z góry wyglądał znacznie mniej majestatycznie. Liczył jednak dobre piętnaście metrów wysokości. Samo obramowanie było grubości starego dębu. Wytarte ornamenty przypominały nawet korę sędziwego drzewa.

Wewnątrz, za niewielkim przedsionkiem, z którego wychodziły trzy otwory, niegdyś może zamykane drzwiami, znajdował się krótki, rozwidlony korytarz. Aria skierowała się na prawo. Weszliśmy do mrocznej, kiszkowatej sali, której sklepienie wspierały założone przez

archeologów stemple. W głębi, daleko od wejścia, pracowały jakieś automaty. Palily się tam dwie słabe lampy, chwilami ginące za poruszającymi się ramionami niewielkich wysięgników.

Aria przeszła jeszcze kilkanaście metrów i zatrzymała się przy niedużym, stojącym nieruchomo automacie, przed którym widniał stolik z ustawioną na nim klawiaturą nieskomplikowanej aparatury. Wykonała drobny ruch ręką i nagle salę zalało światło. Było jasne. Pod sufitem wisiały dwa szeregi silnych, ksenonowych reflektorów.

Dziewczyna obejrzała się na mnie, po czym, jakby chciała na coś zwrócić moją uwagę, zatoczyła ręką szeroki łuk. Poszedłem za jej wzrokiem i teraz dopiero ujrzałem, że ściany tej hali na całej ich długości ozdobione są pozbawionymi rami obrazami identycznej wielkości, mniej więcej metr na półtora. Podszedłem do najbliższego i zadumałem się.

Był to portret, popiersie. Przedstawiał mężczyznę w średnim wieku, o subtelnych, może nawet wyidealizowanych rysach twarzy. Jego łysa, starannie wygolona czaszka, jajowato sklepiona, nadawała mu wyraz stanowczości. Jednak w miękkich liniach oczu, obwiedzionych długimi rzęsami, krył się głęboki namysł. Oczy były duże, osadzone blisko nasady nosa. Usta lekko zaciśnięte, jakby ten człowiek odebrał przed chwilą wiadomość i musiał teraz podjąć niełatwą decyzję. Policzki miał gładkie, bez bruzd czy zmarszczek, podobnie jak resztę twarzy. Konchy uszu małe, ledwie widoczne i ciasno przylegające do czaszki. Krótki, łagodny podbródek.

Nie była to twarz wzbudzająca sympatię na pierwszy rzut oka. Z pewnością jednak jej właściciel należał do rasy posiadającej długą historię. Świadczył o tym chociażby strój sportretowanego mężczyzny. Jego ramiona spowijały zwoje lśniące, półprzezroczystej tkaniny. Spod brody odsłaniał się szeroki, kobiecy dekolt. Na tle nagiej skóry świecił tam jakiś klejnot. Przytknąłem niemal twarz do powierzchni obrazu i wtedy ujrzałem w tym rzekomym klejnocie kilka miniaturowych przełączników. A więc zapewne rodzaj osobistej aparatury.

Mężczyzna trzymał ręce skrzyżowane na piersi, widoczna była tylko jedna dłoń. Zwykła, ludzka dłoń, węższa od dłoni znanych mi mężczyzn. Delikatne, niezbyt długie palce.

Odruchowo przeniósłem wzrok na sąsiedni obraz i teraz dopiero zdumiałem się naprawdę. Przedstawiał tego samego mężczyznę, w tym samym stroju i w tej samej pozycji. Źle mówię.

To była po prostu kopia pierwszego portretu. Pobieglem spojrzeniem dalej i odkryłem, że następny obraz był taki sam. To znaczy ten sam. I następny także. I wszystkie dalsze. Odwróciłem się i omiotłem wzrokiem przeciwległą ścianę. Rząd tych samych portretów, kopii czy co...

– Po co to robicie? – spytałem bezwiednie. – Chcecie obesłać wszystkie ziemskie muzea?...

Aria potrząsnęła poważnie głową.

– Nie – odpowiedziała cicho. – To już tutaj było. I nie myśl, że to są kopie tego samego obrazu... i nam się tak początkowo wydawało. Ale poleciliśmy automatom przeprowadzić analizę... i wtedy wyszły na jaw różnice. Nie, nie dostrzeżesz ich gołym okiem. Ale to nie jest jeden i ten sam człowiek. Są pewne rozbieżności antropometryczne, wykluczające pomyłkę. To po prostu galeria portretów, pokazująca ludzi bardzo do siebie podobnych...

Pomyślałem chwile.

– Ludzi? – mruknąłem wreszcie. – A kto to jest?

Właśnie. Kto to jest? W jednej chwili upadła teza, jakoby trup kosmatego pilota, odkryty przez nas w przestrzeni, pochodził z kręgu cywilizacyjnego Petty. Chyba że naprawdę była to tresowana małpa, która w bezzałogowych obiektach kosmicznych zastępowała im automaty. Małpa w kasku i skafandrze, wyposażonym w skomplikowaną aparaturę? Nie, to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Bez słowa ruszyłem z miejsca. Im bardziej oddalałem się od wejścia, tym portrety wydawały

się starsze. Zrozumiałem, że aparaty konserwujące posuwały się tą samą drogą co my. Doszedłem wreszcie tam, gdzie pracowały obecnie. Portrety były tutaj tylko białawymi płatkami jakiegoś zetlałego w ciągu tysiącleci materiału, na których nie sposób było wypatrzeć śladu zarysów głowy, nie mówiąc już o szczegółach lub barwach. Przyglądałem się chwilę, jak pod delikatnymi muśnięciami laserowego wysięgnika na płaszczyznach występują powoli linie znanej mi już twarzy, po czym zwróciłem się do Arii, stojącej kilka kroków z tyłu i spoglądającej na mnie z zadumą.

– Kto programował automaty? – spytałem.

– Ja – odpowiedziała cicho.

– A czy nie było tak, że bardzo chciałaś, aby to były portrety ludzi... właśnie ludzi? I czy dlatego nie są takimi samymi portretami... takich samych ludzi?

– W programach nie było błędu – powiedziała spokojnie. – Sprawdziliśmy wszyscy... wiele razy.

Pomyślałem, że powinni mi byli o tym wcześniej powiedzieć. Pomyślałem też, ile jeszcze rzeczy ukrywają przede mną. Świadomie lub po prostu nie zdając sobie sprawy, że chodzi o coś, czym powinienem się zainteresować...

– To mówi dużo – mruknąłem. – Tak dużo, że muszę natychmiast porozumieć się z moją stacją. Nie pomyślałaś o tym?...

– Dlaczego? – spytała z gorzkim uśmiechem. – Przecież sam powiedziałeś, że to ludzie...

– Nie jestem uczonym – odparłem, kierując się ku wyjściu. – Ale nie wydaje mi się, aby fakt pojawienia się identycznie wyglądających istot technologicznych na dwóch przeciwległych krańcach kosmosu był czymś normalnym. Będziemy musieli jeszcze raz sprawdzić programy, które zaaplikowałaś automatom konserwującym... Nie gniewaj się – dodałem szybko – a jeśli okaże się, że naprawdę nie popełniono żadnego błędu, pomyślimy, co dalej. Wszystko tutaj zbyt przypomina mi Ziemię... żebym mógł na przykład beztrudno pokazywać to jeszcze innej rasie, która zechce odwiedzić Petty. Powiedzmy rasie istot posiadających cztery ramiona, po sześć palców u rąk i porośniętych sierścią jak foki...

Aria znieruchomiała.

– Widziałeś?... wykrztusiła po chwili. Wykonałem nieokreślony ruch głową.

– Są rzeczy, o których wiem, i są takie, o których powinienem wiedzieć, a ukrywa się je przede mną. Na przykład ta galeria. Czy nie przyszło wam dotąd na myśl, że ja też mógłbym chcieć znać twarze dawnych gospodarzy Petty? – zatoczyłem dłonią dokoła siebie, obejmując tym ruchem wszystko, co na tej sympatycznej planecie nie było dziełem natury.

Zabiegła mi drogę i zatrzymała mnie.

– Tylko to cię interesuje?! – wykrzyknęła z pasją. Jej oczy lśniły jak rteć. Dyszała ciężko. – Naprawdę nie chcesz wiedzieć nic o istotach, których twarze widziałeś przed chwilą, jeśli tylko okaże się, że one nie mogą nam już zagrazić?! Ani o innych, którzy ich malowali? To ci wystarczy?! Jak to się dzieje, że może się urodzić ktoś taki wśród normalnych ludzi?...

Podszedłem bliżej. Chciałem jej położyć dłoń na ramionach, ale szarpnęła się gniewnie do tyłu.

– Powiedziałem, że nie jestem uczonym – mruknąłem łagodnie. – Czy ja wrzeszczę na ciebie, że nie używasz anihilatorów? Że nie wychodzisz z bazy uzbrojona po zęby? A poza tym – uśmiechnąłem się – za późno mnie wychowywać. Tylko się niepotrzebnie namęczysz...

– „Fakt pojawienia się identycznych istot na dwóch przeciwnych biegunach galaktyki” – zacytowała z ironią moje słowa. – Jednak coś przyszło ci na myśl. Ja nie będę, ale gdybyś ty sam

spróbował pomyśleć... mniejsza już o wychowanie – nadal była zła, ale jej spojrzenie jakby złagodniało – przecież oni na tych obrazach są dokładnie tacy sami jak my! Ich budowle! Ubrania!

– Ja się tak nie ubieram... dobrze już, dobrze – dodałem szybko pojednawczym tonem, bo jej oczy ponownie zaczęły się rozszerzać. Patrzyłem na nią z przyjemnością. Była naprawdę ładna. Miła, myśląca dziewczyna. Specjalista, ceniona za swoją pracę i lubiana za swój charakter. Bardzo ładna dziewczyna...

– Czy przed kontaktem z nimi gdybyśmy, powiedzmy, odnaleźli w przestrzeni ich potomków, też musiałbyś nabrać pewności, że nie będą chcieli nas zniszczyć? A jeśli ich planetę spotkało nieszczęście... jakaś kosmiczna zaraza, katastrofa...

– Zaraza? – przerwałem. – Co ty mówisz? To może istnieć niebezpieczeństwo przywleczenia z kosmosu zarazy?...

To ją zastanowiło. Wykorzystałem ten moment.

– Jeszcze trochę, a powiesz, że my wszyscy pochodzimy stąd, z Petty. Że to twoje „spotkanie w przestrzeni” już nastąpiło, dwadzieścia tysięcy lat temu, bo traf chciał, że uciekając od kosmicznej zarazy, zawędrowali akurat na Ziemię. Tam rozgościli się, dajmy na to na Atlantydzie... ale pech prześladował ich dalej. Przyszła katastrofa, w czasie której na Syberii wyginęły wszystkie mamuty, a na Atlantyku przybysze z gwiazd. Uratowała się tylko jedna rodzina, na przykład na jakieś arce... zaraz, zaraz, jak się nazywał ten facet?...

– Wyglupiasz się – parsknęła. Odwróciła się gwałtownie, zamiatając powietrze czarnymi włosami, i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia. Postąłem jeszcze chwilę, odprowadzając ją wzrokiem, po czym poszedłem w jej ślady. Kiedy wyszedłem na słońce, ujrzałem ją już na stanowisku. Dając jakieś znaki stojącemu wyżej Wardzie uruchamiała swoje malutkie, automatyczne koparki.

Bess nie rozumiał. Zjawisko samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym, zadziwić mógł natomiast fakt, że się do tego przyznał. Musiał być naprawdę wstrząśnięty. Powtarzałem mu kilka razy, jak wyglądali ci ludzie na portretach i co myślą naukowcy o tym, że te portrety są do siebie tak bardzo podobne. Po raz pierwszy zdarzyło mu się aż tak zainteresować opinią uczonych. Ale... nasze automaty w tym konkretnym wypadku były przecież bezradne. Interpretacja? Komputer żądał danych wejściowych. Skąd je wziąć?

Wreszcie orzekł, że powinienem porozmawiać z historykami i wyłączył się. Wcześniej zapowiedział, że sam mi zasugeruje, c co ich zapytać, po konsultacji z „naszymi specjalistami”. Rzecz w tym, że o ile się orientowałem, takich akurat specjalistów SAO nie miała.

Pod wieczór poszedłem się przejść plażą. Miniony dzień był gorący i parny, powietrze niosące wilgotny i chłodny oddech morza sprawiało ulgę. Kiedy wracałem, z daleka dostrzegłem sylwetki dwóch mężczyzn, przechadzających się w kręgu światła, blisko janusa, w którym się urządziłem.

– Dobry wieczór – przywitał mnie Leski, kiedy podszedłem bliżej. Odwrócił się do mnie. zrobił krok do przodu, wykonując gest, jakby chciał podać mi rękę. Nie doszło jednak do tego.

– Dobry wieczór – powtórzył za nim jak echo Semow. – My... jak ci właściwie na imię? – zainteresował się nagle.

Stałem. Przyjrzałem im się uważnie. Byli najwyraźniej usposobieni przyjacielsko. Leski uśmiechał się. Semow wpatrywał się we mnie z taką uwagą, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Przyjechaliście tu specjalnie do mnie? – spytałem. – Niestety, nie mogę was zaprosić. W

janusie są tylko dwa miejsca. Ale wieczór taki ciepły, panowie, może pójdziemy spocząć w altanie?

Twarz Leskiego zmierzchła, Semow natomiast teraz właśnie uznał za stosowne uśmiechnąć się. – Szkoda – wyznał niespodziewanie – że nie jesteś archeologiem. Miałem na Ziemi ucznia... nazywał się Trymer... jesteście bardzo podobni do siebie...

– Nie sądzę – mruknąłem z powątpiewaniem. – Twój uczeń był zresztą zapewne paleobiologiem, a nie archeologiem. Poza tym ja mam na imię Ago. A ponieważ i tak ani ja was nie zwerbuję do „Trójki”, ani wy mnie nie nauczycie paleobiologii, to lepiej od razu powiedzcie, o co chodzi. Zresztą – podszedłem jeszcze bliżej, oparłem się ramieniem o burtę janusa i mówiłem z uśmiechem, który powinien był osłabić wymowę tego, co musieli usłyszeć – obawiam się, że wiem. Beccari i Zamfi, prawda? Przykro będzie wam mnie przekonywać... nie mówiąc już o proszeniu, więc powiem od razu, że nie da się zrobić. Wypełniam tylko moje obowiązki. Proszę was, j a mogę was prosić bez tego, żeby skręcały się we mnie wewnątrzności, otóż proszę was, nie psujcie mnie i sobie tego wieczoru. Jest miły. A oni odlecą na Ziemię dokładnie tak jak powiedziałem... pierwszym statkiem.

Dłuższą chwilę panowała cisza. Przerwał ją Semow.

– Szkoda – mruknął – że nie słyszałeś, jaką mowę wygłosiła nam dzisiaj na twój temat Aria. Że cię nie rozumiemy, że gdyby ktoś archeologom niszczył stanowiska i tratował zabytki, to także wystąpiliby bezwzględnie w imię swojej specjalności... i pracy, którą służą nie tylko sobie. Powiedziała także...

– ... że jestem miłym chłopcem, którego warto zaprosić na party – dopowiedziałem czując, że ogarnia mnie pasja. – Arika? Drobna, pikantna bruneteczka w zbyt skąpym kostiumie kąpielowym? Nie rozpowiadajcie zbyt głośno tego, co o mnie mówiła. Jej chłopiec może jeszcze unieść się zazdrością i wstąpić do SAO. Nie obciążłbym jej tego robić...

– Po pierwsze – przerwał mi spokojnie Semow – jestem o tyle starszy, że powinieneś pozwolić mi dokończyć, kiedy mówię... a nie mam zwyczaju mówić zbyt długo. Po drugie zastanów się sam nad tym, dlaczego zezłościło cię to, co mówiła Aria. Może zrozumiesz, że istnieją różne postawy wobec innych. Po trzecie wreszcie – uśmiechnął się – ona nie ma chłopca. A co do party, to byłoby nam bardzo miło, gdybyś teraz na przykład poszedł z nami na kolację. Mnie przynajmniej byłoby głupio tak siedzieć tutaj w małym wozie, wiedząc, że tuż obok są ludzie. No, jak?...

Milczałem. Leski odchrząknął po chwili, przestąpił z nogi na nogę jak zakłopotany chłopiec i mruknął:

– Czy wezwalesz już statek, który zabierze Zamfięgo i Beccarięgo?

Nie, to beznadziejne. Cały gniew opadł ze mnie jak mgła. Sytuacja doprawdy groteskowa. Oni... i ja. I Aria...

– Nie – odpowiedziałem. – Nie mówiłem, że odlecą specjalnym statkiem. Oświadczyłem tylko, że zabierze ich pierwszy, który przyleci...

– Ależ – nie wytrzymał Leski – przecież jesteśmy tutaj dopiero trzy tygodnie! Minie pół roku, zanim...

– Nie o to chodzi – spróbował ratować sytuację Semow. – Oni...

– Jesteś pewny, że nie o to chodzi? – nie potrafiłem sobie odmówić szczypty ironii w głosie, co mogło stanowić rewanż za lekcję, jakiej mi przed chwilą udzielił. – Więc powtórzcie im naszą rozmowę. Proszę was o to. Zobaczycie, czy te pół roku nie zrobi na nich wrażenia... co najmniej takiego, jak na was. Jesteście jednak dziecinni. Za pół roku będzie im równie przykro odlatywać

stać, jak gdyby to było jutro. To wszystko, co mogę wam powiedzieć. A co do kolacji... dziękuję. Mam jeszcze trochę pracy, zresztą... wolałbym nie być obecny, gdyby komuś znowu przyszła ochota wygłosić mowę na moją cześć. I tak będzie wesoło, kiedy im wyjaśnicie ich pomyłkę... to znaczy, że nie mówiłem ani słowa o specjalnym statku. Dobranoc i... smacznego.

Odwróciłem się i nie oglądając się już na nich, wlałem do mojego pojazdu. Pracy nie miałem już żadnej. Niestety nie. Ale po co było przedłużać scenę, która z pewnością żadnej ze stron nie sprawiała przyjemności?

Posiedziałem po ciemku kilkanaście minut, po czym wyszedłem ponownie. Postanowiłem obejść automaty strażnicze i sprawdzić napięcie pola. Oczywiście nie musiałem tego robić. Coś jednak, u licha, robić trzeba.

Kiedy wracałem, półtorej godziny później, zmęczony i równie bezrobotny jak w chwili, kiedy zaczynałem ten nonsensowny spacer, przed moim janusem stała Aria. Oparła się o maszt podtrzymujący lampę, złożyła ramiona na piersiach i wyglądała, jakby miała zamiar się zdrzemnąć. Albo zanucić dumkę.

– Ostatnio nie mogę ani na moment odejść z tego miejsca – powiedziałem wychodząc z cienia – żeby natychmiast ktoś nie przychodził mnie zastąpić. Przyniosłaś mi kawałek tortu, który został z kolacji?

Na dźwięk mojego głosu drgnęła i szybko opuściła ramiona. Następnie oderwała plecy od masztu i wyprostowała się.

– Możesz przyprawić człowieka o rozstrój nerwowy – oświadczyła niezbyt zdecydowanym głosem. – Wysłałam się przejść... i zauważyłam, że cię nie ma. A ponieważ wszyscy powinniśmy się troszczyć o bezpieczeństwo ludzi na tej obcej planecie, więc postanowiłam poczekać i przekonać się, czy wrócisz cały i zdrowy...

– Mogłaś użyć nadajnika – odpowiedziałem z przyganą. – Zapamiętałaś coś z tego, czego was uczyłem, ale niezbyt dokładnie...

– Przyjemnie się z tobą rozmawia – powiedziała bez zastanowienia. – Chciałabym cię kiedyś zobaczyć w sytuacji, w której byłbyś zdany na innych. Taki grzeczny, układny, czekający na jeden gest, uśmiech czy skrzywienie brwi kogoś, z kim byś się musiał liczyć.

– Liczę się ze wszystkimi – odpowiedziałem w dalszym ciągu poważnie. – Niestety nie mogę tylko przewidzieć, co niektórzy z tych „wszystkich” zrobią. Gdybym na przykład przeczuł, że ktoś z was będzie wznosił toasty za moje zdrowie i przekonywał bliźnich, że nie jestem zupełnie zły, tylko miałem trudne dzieciństwo, to prawdopodobnie wystartowałbym zawczasu, poleciał do najdalszej galaktyki i nigdy nie wrócił. Ze wstydu...

– Powiedzieli ci – jej ton stał się teraz przekorny. – A ja słyszałam, że mówiłeś coś o pikantnej brunetce. Sem powiedział przy wszystkich, że ci się podobam. Czy to prawda?

– Semow jest zwyczajnym intrygantem – zapewniłem ją szybko – żeby nie rzec rajfurem. Nie zwracajmy na niego uwagi, bo mogą z tego wyniknąć kłopoty. Jak to się dzieje, że takie dziewczyny nie mają chłopców?...

Nie odpowiedziała. Poczulem, że to ostatnie zdanie było już niepotrzebne. Dziwne. Podobne myśli nigdy nie przychodziły mi do głowy... może nie nigdy, ale dawno. Akurat odkąd...

– A czy wy nie macie swoich dziewcząt? – zrewanżowała mi się po dłuższej chwili. Tylko tego pytania mi teraz brakowało. I w dodatku wiedziałem, że powinienem siedzieć cicho. Po tym, co sam przed chwilą powiedziałem...

– Przepraszam... – usłyszałem po jakimś czasie wypowiedziane cichym szeptem. Zacerpnałem głęboko powietrza.

– To ja przepraszam odpowiedziałem. Sam się zdziwiłem, jak chłodno to zabrzmiało. – Tak się składa – ciągnąłem – że nie powinienem mówić o dziewczętach... czy... – ponownie odetchnąłem głęboko – Beccari i Zamfi pozbyli się już złudzeń?

Trwało z pół minuty, zanim odpowiedziała. Nie wiedziała. Nie mogła wiedzieć. Kobięca intuicja... czy istnieje jeszcze coś takiego w naszych czasach, kiedy dzieci w przedszkolu dysponują aparaturą informatyczną, mniej zawodną niż człowiek? Poza zupełnie wyjątkowymi sytuacjami?...

– Tak. Zrozumieli, zdaje się, że nie chciałeś robić im przykrości, tylko wykonujesz swoje zadania.

– O tym właśnie podobno usiłowałaś ich przekonać?

– A czy tak nie jest? Zaśmiałem się. Odrobinę zbyt głośno.

– Przestań. Przestań natychmiast, bo się rozplączę i wtedy nareszcie mnie polubicie. Ale mnie nie powinno się lubić. Istnieję po to, żeby przerażać. Bronić, odstraszać, zagradzać drogę, napawać odrazą, wreszcie... zabijać. Pomyliłaś się.

– Znowu się zgrywasz – powiedziała z niechęcią.

– Nie jest ci chłodno? – spytałem. Podskoczyła, jak ukąszona przez osę.

– Już idę – zawołała. – Nie miałam zamiaru...

Wyciągnąłem szybko ramię i przytrzymałem ją za rękę. Moje palce pozostały na jej przegubie nieco dłużej, niż to było konieczne. Ale w końcu można czasami pozwolić swoim własnym palcom na odrobinę samodzielności. Jeśli im się tam podobało...

– Myślałem – powiedziałem szybko – czy nie weszłabyś do mojego pojazdu. Dochodzi bądź co bądź jedenasta...

Chwilę jeszcze czułem opór, jaki stawiała mojej dłoni, po czym odprężyła się.

– Nie jest mi zimno – odrzekła. – Po takim dniu? Zwariowałaś?

Pomyślałem, że to ostatnie przypuszczenie może się naraz okazać zupełnie trafne. Cóż u licha strzeliło mi do głowy, żeby zapraszać ją do ciasnej kabinki, na jeden z dwóch foteli, w których człowiek tkwił jak owoc w swojej skorupie?

– Powiedz mi – zacząłem pośpiesznie – czy dużo jeszcze macie tu takich rzeczy, jak ta cała „galeria przodków”? Równie... nazwijmy to tak, intrygujących? Takich, oczywiście, o których jeszcze nie wiem?

Myślała przez chwilę.

– Nie... chyba nie. Wszystko, co zrobiliśmy dotychczas, to dopiero rekonesans. Opracowaliśmy plan... i badamy jeden za ledwie rejon. A właściwie też jeszcze nie badamy, tylko katalogujemy zabytki. Miną lata, zanim...

– To wiem. Ale może to być coś, co wam wydaje się zwyczajne, ale co mnie musiałoby zdziwić. Nic nie przychodzi ci na myśl?

Znowu zastanawiała się jakiś czas.

– Czegoś konkretnego, jak te obrazy czy ten szpital, już chyba nie ma... – odezwała się wreszcie z wahaniem. – Istnieją różne hipotezy dotyczące poszczególnych wykopalisk... ale to cię pewnie nie interesuje. Wiesz, o czym sobie pomyślałem? Łączność... Nigdzie nie natrafiliśmy dotąd na jakiegokolwiek ślady przewodów elektrycznych, kabli, telefonów, nadajników, anten... zwłaszcza anten. Pamiętasz, jak to u nas wygląda... te olbrzymie, wysokie budowle, pozostałe po dawnych systemach łączności, zanim nie przerwaliśmy wszystkiego na orbity. Aparatura mogła ulec zniszczeniu, to jasne, ale w tych kilku miastach, które zbadaliśmy dotąd z powietrza, nie znaleźliśmy śladu ruin masztów czy wież przekaźnikowych. Jeśli dodać do tego ów brak

przewodów... w końcu trochę ich aparatury już mamy, więc mógłby się wśród niej zaplatać jeden chociażby sprzęt pełniący funkcję dawnych ziemskich telefonów... to jednak jest zastanawiające. Lana ma pewną tezę...

– Lana? – powtórzyłem mimo woli. Dziewczyna urwała i milczała krótką chwilę, jakby musiała coś przemyśleć. Kiedy odezwała się znowu, w jej głosie zadrgała jakaś nowa nutka, która nie była mi niemiłą.

– Tak. Otóż Lana uważa, że to, czego myśmy nauczyli się od ziemskich roślin tak niedawno, ci tutaj umieli dziesiątki tysięcy lat temu. Że w ogóle w tym kierunku rozwijali swoje systemy łączności... i zapewne nie tylko łączności. Może i sterowania procesami psychicznymi... społecznymi nawet. Byłaby to wielka rzecz, taka cywilizacja.

– Wielka – przerwałem. – Tym bardziej że ktoś, kto sprawowałby w niej rządy, mógłby w każdej chwili zapomnieć o podobnych drobnostkach jak wola ogółu, nie mówiąc już o opozycji. Z takim społeczeństwem można było zrobić wszystko...

– Pod warunkiem, że się tego chciało – wpadła mi w słowo. – Ty zawsze we wszystkim doszukujesz się ciemnych stron. Ale jeśli te istoty rozwinęły tak wcześnie naukę o polach bioelektrycznych i falach biologicznych, to fakt ten jednak świadczy o wewnętrznej strukturze ich społeczeństwa. To oczywiste – stwierdziła z przekonaniem. – Tak więc mieli od razu łączność ponadczasową, zapewne na długo przedtem, zanim poznali istnienie nadprzestrzeni...

– Nie znaleźliście cmentarzy? Szkieletów?

– Och, mnóstwo. Jak wszędzie, gdzie człowiek dotknie łopatą ziemi. Byli dokładnie tacy, jak ci na obrazach. Gdybym nie wiedziała, że jestem w układzie Millsa, w obcym skupisku gwiazdnym, mogłabym myśleć, że rozkopują jakieś miasto Sumerów czy jednego z ludów zamieszkujących Imperium Amazonki.

– Wiesz – powiedziałem z namysłem – człowiek ruszając w kosmos na poszukiwanie innych rozumnych istot wyobraża sobie, jak one mogą wyglądać. Opisywano już owady o zminiaturyzowanych neuronach, monstrualne małpy, myślące stwory zbudowane z materii nieorganicznej... niezliczone typy maszkar, posługujących się mackami, ogonami, oczami rozszanymi po całym ciele... ale kiedy spotyka się chociażby tylko pozostałości stworzeń – zupełnie obcych stworzeń, a równocześnie całkiem takich samych jak my – to jest w tym coś obrzydliwego... Mniej raziłyby mnie już te wszystkie macki i potworności. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie w owej idiotycznej galerii.

– Nie uważam tak – odpowiedziała zimno. – Osobiście wolę palce od macek. Co to jest? – spytała niezmiennym tonem. Poszedłem ze jej wzrokiem i drgnąłem. – Zaczyna się – mruknąłem, odruchowo dotykając palcami pasa, przy którym tutaj nosiłem moją miniaturową centralkę łączności.

Daleko nad morzem zajaśniała szeroka tęcza. Śmieszne, ale jej widok przyjąłem z pewnego rodzaju ulgą. Zbyt długo już nic się nie działo... jak na wspomnienia pierwszych dni czy raczej właśnie nocy, spędzonych na Petty.

Tęcza rozpaliała się w oczach. Wprost z morza bił w niebo mieniący się barwami słup, zakręcający nieregularnie na firmamencie. Za chwilę łuk wyprostuje się, wyrówna, a potem będą te poziome pulsujące koła...

– Ja muszę to zobaczyć! – Aria skoczyła i zanim zdążyłem ją zatrzymać, puściła się biegiem ku brzegowi morza.

– Stój! Pole!

Była noc. Pole siłowe otaczało bazę ciasną i szczelną siecią. Każdego, kto jej dotknie, ta sieć

pochwyci i nie wypuści... żywego.

– Aria!

Pędziła dalej. Pomyślałem o nadajniku i przypomniałem sobie, że po obchodzie automatów zablokowałem stabilizatory pola. Teraz musiałbym wydać kilka poleceń po kolei. Przed Arią pozostało zaledwie trzydzieści metro w bezpiecznej przestrzeni. Potem...

Nie zdążę. Może, ale to ryzyko, na które nie wolno mi sobie pozwolić. Pole było oczywiście oznakowane od wewnątrz, tylko że ona w ferworze pominię ostrzegawcze światełka i znaki...

Wszystkie te myśli przeleciały mi przez głowę w ułamkach sekund. Już biegnąc szukałem palcami klawiszy łączności i blokady.

– Aria!!!

Jeszcze dwadzieścia metrów przede mną. Dziesięć. Ostrzegawcze lampki, niemal niewidoczne z większej odległości, były tuż. Za chwile...

Potknąłem się i poleciałem do przodu. Z trudem złapałem równowagę, ale straciłem kilka metrów. Biegła wprost w barierę siłową, za moment przetnie ją, niemal ocierając się o czerwone światełko...

Wykonałem kilka ostatnich, rozpaczliwych skoków i wreszcie udało mi się jej dopaść. Zacisnąłem garść na bluzce na plecach i ile sił szarpnąłem dziewczynę do tyłu. Zauważyłem jeszcze, jak upadła i była to ostatnia rzecz, którą zanotowała moja świadomość. Przed oczami zawirowały mi koła. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem otworzyć ust. Serce podskoczyło we mnie jak sprężyna i ucichło.

Powieki ciążyły mi niczym po wielu nieprzespanych nocach. Otworzyłem oczy i natychmiast zamknąłem je na powrót. Przez ten ułamek sekundy wydawało mi się, że widzą stojącego nade mną całkiem obcego faceta. Nonsens. Majaczenia.

Do moich uszu dobiegał wysoki szum, jakby pracującego wentylatora. Leżałem wygodnie i nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem ani w kabinie mojego janusa, ani w bazie. Tam nie było takich foteli.

– Jak się czujesz? – zabrzmiał obcy, obojętny głos.

Przemogłem się i uniosłem powieki. Tak. Facet był obcy. Znajomy był tylko emblemat na jego piersi. SAO. „Trójka”. A więc...

Z trudem uniosłem nieco głowę i rozejrzałem się. Nie, nie zdążyli mnie jeszcze przenieść do stacji na satelicie. Leżałem w kabinie jednego z moich statków... lub takiego samego, jak moje. Fotel, w którym tkwiłem, podłączony był do przystawki diagnostycznej komputera. To ona wydawała świergocący szum. Byłem chory...

I nagle przypomniałem sobie wszystko. Przestraszyłem się.

– Aria?... – wymamrotałem.

– Leż spokojnie – powiedział facet. – Zdążyłeś ją przewrócić. Sam jednak z rozpędu dotknąłeś bariery... Na szczęście, kiedy upadłeś, oderwałeś się od niej. Inaczej...

Głowa opadła mi z powrotem na oparcie. Inaczej? Co za bzdury. Skoro wszystko odbyło się nie „inaczej”, lecz właśnie tak.

– Gdzie jestem? – spytałem.

– W statku. Kiedy przyjdiesz do siebie, polecisz na stację. Bess cię wzywa. Wrócił, zdaje się, Weyth... – dodał mimochodem. Pomyślałem chwilę.

– A ty zostaniesz tu za mnie? – spytałem wreszcie.

– Uhm...

Poczekalem jeszcze pół minuty, po czym podniosłem się i usiadłem. Patrzył na mnie

podejrzliwie.

– Nie za wcześnie? – mruknął.

– Nie – odpowiedziałem. – Umyję się, zjem coś i będę startował. Jak się nazywasz?

– Change. Nie musisz mi nic mówić. Przejrzałem zapisy...

Tego i on nie musiał mówić. Przejrzał zapisy, porozmawiał z Bessem, wysłuchał pouczeń „naszych specjalistów”...

– Nie mam zamiaru mówić – burknąłem. – Gdzie Aria?

Zrobił zdziwioną minę.

– Pomogła mi przenieść cię tutaj. Przedtem byłeś u nich, w bazie. Potem poszła. Cóż miała tu robić?...

Jasne. Pewnie, że jej miejsce było gdzie indziej. Nie czuję się jeszcze tak dobrze, jak mi się wydawało.

Wstałem. Chwilę zabawiłem w łazience; po czym wykonałem kilka ćwiczeń gimnastycznych i zająłem się śniadaniem. Wrócił Weyth... To co, że wrócił? Musiało zajść coś więcej, jeżeli mnie stąd ściągną. Albo po prostu doszli do wniosku, że jestem do niczego, skoro nie upilnowałem... Aria?...

Odrzuciłem tę myśl. Nonsens. Nawet im nie mógł zaświtać tak bzdurny pomysł...

– Lecę twoim statkiem czy moim? – spytałem między jednym kęsem koncentratu a drugim.

– Oczywiście, że swoim – zdziwił się. – Ja zaraz wracam do siebie...

– No to wracaj – burknąłem. – Skończę jeść i startuję.

– Na twoim miejscu poczekałbym jeszcze trochę – zatroskał się.

– Na twoim miejscu nie mówiłbym tyle – odpowiedziałem.

Odwrócił się. Podeszedł do komputera i wyłączył aparaturę przystawki medycznej. Następnie podniósł z podłogi kabiny jakieś zawiniątko, z którym najwidoczniej przyszedł, i ruszył ku włazowi. Z otwartej śluzы rzucił mi „cześć” i zatrzasnął klapę.

– Cześć – mruknąłem, kiedy nie mógł mnie już usłyszeć.

Stojąc na ogniu, raz jeszcze ogarnąłem wzrokiem wybrzeże z zabudowaniami bazy. Pomyślałem o kąpeli. O ludziach pod tymi malejącymi błyskawicznie dachami oraz o ruinach, rozsianych po lasach, górach i wszędzie dokoła. O portretach, leczniczych szybkach w suficie, o aparaturze obcych, zamkniętej w kuli założonych przeze mnie ekranów, o chłodnych wieczorach... takich jak wczorajszy.

Dość tego. To nie w porządku, żebym odlatywał stąd z uczuciem żalu. Mam przecież coś do załatwienia na stacji, skoro mnie wzywają...

Pomyślałem jeszcze o Arii. Była to przelotna myśl, która natychmiast ustąpiła miejsca skupieniu, z jakim zająłem się aparaturą. Uderzyłem w zielony klawisz na pulpicie i połączyłem się z Bessem.




```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **4**

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części **6**

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

– Nic nie pamięta? – powtórzyłem bezwiednie. – Co mu się stało? Przeszedł zapalenie opon mózgowych, czy wsadził głowę w jakieś pole elektromagnetyczne? A może nie chce pamiętać?
– To właśnie powinniśmy wiedzieć – Bess był poważny. Zbyt poważny, nawet jak na niego.
– Dlaczego akurat ja mam to zrobić? – spytałem. – Przecież nie było mnie przy tym, kiedy startował. Nie wiem, jak został przygotowany do lotu... on i jego statek. Będzie mi trudniej niż wam...

Bess podniósł się z fotela i przeszedł po kabinie. Nie ulegało wątpliwości, że ma jakiś problem. Rozwiązanie go zajęło mu trochę czasu. Czekałem cierpliwie.

Wreszcie wrócił za swój pulpit, przypominający biurko, i uderzył mnie badawczym wzrokiem.

– Tego, co ci powiem – zaczął – nie powtórzysz nikomu...

– Początek jest obiecujący – warknąłem. – Zważywszy, że nigdy nie umiałem utrzymać języka za zębami... jak pamiętasz.

– Zostaw – skrzywił się. – Sprawa jest zbyt poważna, żeby żartować. Wysłaliśmy Weytha – zdecydował się przejść do rzeczy – z wymazaną pamięcią. Rozumiesz?

To było coś nowego. Czy rozumiałem?

– Przecież musiał wiedzieć, kim jest i co ma zrobić? – mruknąłem. – A poza tym powinien umieć kierować statkiem... jak wszyscy.

– Tyle umiał – Bess usiadł i utkwiał wzrok w leżącym przed nim skrawku perforowanej folii. – Zdjęliśmy mu zapis osobowości... żeby mu przywrócić całą pamięć, kiedy będzie na powrót z nami. Teraz jest już tutaj, a my nie możemy tego zrobić. Nie wiemy, z kim właściwie mamy do czynienia. Z Weythem czy z którymś z nich. Chodzi o świadomość, rzecz jasna...

Mimo woli gwizdnąłem przez zęby. Tak. To był problem.

– „Nasi specjaliści” nie potrafią tego stwierdzić? – spytałem. – Przecież łatwo określić, czy wrócił człowiek, poddany przedtem operacji... maskującej, czy obcy twór...

– Och, to na pewno jest Weyth... – burknął niecierpliwie Bess. – Fizycznie. Ale mogli go przekształcić inaczej. Przecież znasz się dostatecznie dobrze na informatyce... i dość na elektronicznej stymulacji psychicznej...

– Rozumiem – skinąłem głową. – Rozumiem, że wysłaliście go pozbawionego informacji, które mogłyby obcym, gdyby wpadł im w ręce, posłużyć do zawarcia zbyt bliskiej znajomości z naszą cywilizacją. To znaczy najpierw wymazaliście mu pamięć do zera, a potem nauczyliście go kilku podstawowych czynności, wpoiliście mu wiedzę o zadaniach, obsłudze automatów i tak dalej. Nie miał innych możliwości?

– Miał – zaprzeczył po chwili ponuro Bess. – O to chodzi, że miał. Umieściliśmy przy komputerze jego statku bęben pamięciowy z kopią zapisu osobowości pilota. Ostatecznie nie mogliśmy przewidzieć, w jakiej sytuacji się znajdzie... i nie chcieliśmy go pozbawiać szans, na wypadek gdyby ta sytuacja wymagała całej wiedzy, jaką posiadamy. Oczywiście wiedział o tym, że nie wolno mu sięgnąć do tej przystawki. Znał swoje zadania. Poza tym... o istnieniu tego zapisu komputer miał go poinformować tylko w ostateczności...

– Więc wiedział czy nie wiedział, że ma coś takiego pod ręką? – spytałem, wzruszając ramionami. – Sądzę, że najlepiej będzie nie bawić się ze mną w ciuciubabkę... skoro naprawdę mamy do czegoś dojść...

Bess westchnął.

– Oczywiście, że nie – rzucił. – Ale wiedział komputer. Czy to nie wychodzi w gruncie rzeczy na jedno?

– Nie – odparłem. – Bo skoro komputer został tak zaprogramowany, żeby poinformować Weytha o możliwości odzyskania pełnej pamięci dopiero w ostateczności, a on był zdany tylko na ten komputer, to znaczy, że taka ostateczność musiała zaistnieć. I że dopiero potem obcy, jeśli go rzeczywiście dopadli, wyciągnęli z niego wszystko, co było im potrzebne. To by znaczyło także, że ci obcy zrewanżowali nam się po prostu, odsyłając go dokładnie w takim samym stanie, w jakim my posłaliśmy go do nich.

– Możesz to tak określić – mruknął. – Nie chodzi o słowa...

– Nie – zgodziłem się. – Chodzi tylko o jasne postawienie sprawy. Sądzicie, że obcy przechwycili Weytha wraz z jego statkiem, znaleźli sposób, żeby Weyth „przypomniał” sobie swoją przeszłość wraz z całą wiedzą o Ziemi, jaką posiada każdy człowiek, wydobyli z niego tę wiedzę, a potem z kolei pozbawili go pamięci, żeby nam nie mógł opowiedzieć o nich. Sądzicie także, że mogli go w pewien sposób przeprogramować, to znaczy przekształcić naszego agenta, wysłanego do nich, we własnego szpiega u nas. Czy macie na to jakieś dowody poza faktem, że wrócił nie pamiętając niczego?

Bess przełknął ślinę i przytaknął ruchem głowy.

– Niektóre zespoły statku były ruszane... – wymamrotał. – I to takie, których pilot w czasie lotu nie ma powodu dotykać. Sekcja komputera... ta przystawka z zapisem jego osobowości...

– Przystawka? A więc dlatego przypuszczacie, że zanim znowu o wszystkim zapomniał, odzyskał na jakiś czas wiedzę o swojej przeszłości. Rozumiem. To znaczy, że sprawa rzeczywiście wygląda poważnie. Teraz wreszcie mogę się zabrać do pracy. Kiedy mam zacząć?

– Zaraz... – bąknął. – Czy sądzisz, że możemy czekać...

Nie, nie sądziłem tak. Weyth. Nie będzie to miłe...

– Nie wiem jeszcze – powiedziałem wstając – dlaczego pomyśleliście akurat o mnie? Przecież są tu ludzie, którzy programowali lot... i pilota?

– Ale żaden z nich nie był nigdy ani przez moment w skórze obcego – wyznał wreszcie Bess. – Wiesz, w postaci tego owłosionego faceta. To stwarza pewną trudność... natury psychicznej – skrzywił się przy tych słowach, jakby połknął cytrynę. Trudności „natury psychicznej” nie były u nas na ogół przyjmowane do wiadomości...

Zatrzymałem się.

– Czyli on dalej jest kosmaty? – stwierdziłem raczej, niż spytałem. – I nadal nic nie wie?

Bess wzruszył ramionami.

– Mówi, że nie wie. To właśnie trzeba sprawdzić. Przecież zaczęliśmy od tego...

Odetchnąłem głęboko.

– Tak, zaczęliśmy od tego – potwierdziłem. – Pytanie tylko, na czym skończymy. Oczywiście tam, gdzie on teraz jest, znajdę wszystkie zapisy, jakie ocalały z jego lotu... bębny pamięciowe, notatki automatów pokładowych i tak dalej?...

– Nic nie ocalało – burknął Bess. – Gdybyśmy mieli zapisy, nie fatygowałibyśmy ciebie. Chodzi tylko o to, co uda się wydusić z samego Weytha... myślałem, że to zrozumiałeś – zakończył z ironią.

– Zrozumiałem – rzuciłem stojąc już w otwartych drzwiach. – Ale chciałem się upewnić. Zapytać się nie można?...

– Jak się nazywasz?

– Weyth.

– Kim jesteś?

– Należę do was.

- Co to znaczy?
- Nie wiem. Muszę słuchać Bessa i wykonywać zadania, które mi zleci.
- Jakie to są zadania?
Wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.
- Nie dostałem jeszcze żadnego. Nie mam pojęcia.
- Bardzo płynnie się wysławiasz. Skąd znasz tak dobrze nasz język?
- Powiedziano mi, że to mój język. Kiedy przyleciałem, znałem tylko nazwy kilku aparatów pokładowych. Potem nauczyli mnie mówić?...
- Kto to był Mohammed? Spojrzał na mnie bezradnie.
- Nie wiem... kto?
- Co ci mówi słowo: Szekspir? Zastanowił się. Chwilę myślał, po czym potrząsnął głową.
- Einstein? – rzuciłem.
- Nie wiem – burknął z pewnym zniecierpliwieniem. – Znam te słowa, które są mi potrzebne, aby wyrazić, co myślę... nie wiem, dlaczego tak jest. Nie myśl, że zwariowałem. Powiedzieli mi przecież, że specjalnie pozbawiono mnie pamięci. Wiem także, że mogę ją w każdej chwili odzyskać. Czemu tego nie robicie? Przecież jeśli czegoś chcesz się ode mnie dowiedzieć?...
- Więc ty i ja należymy do jednego świata? – powróciłem do początku rozmowy. – I mówimy „naszym” językiem. Moim i twoim? Spójrz na siebie i na mnie. Czy jesteśmy podobni?
- Obrzucił wzrokiem swój korpus, porośnięty znaną mi tak dobrze rudawą sierścią i wykrzywił małą twarz w gorzkim uśmiechu.
- Przecież tak nie wyglądam naprawdę. Ktoś przeprowadził operację...
- Kto?
- Nie wiem.
- Po co?
- Żebym mógł udawać kogoś innego, niż jestem. Jak długo to jeszcze będzie trwało?
- To zależy tylko od ciebie. Od tego, kiedy sam, bez naszej pomocy przypomnisz sobie, kim jesteś naprawdę. Kiedy nam powiesz, co widziałeś, kim są istoty, które spotkałeś, i czego od ciebie chciały. No więc?
- Przecież mówię, że nie wiem! – krzyknął prawie.
- Nie unosz się – upomniałem go spokojnie. – Wiesz, co to jest? – wskazałem stojącą pod ścianą skrzynię, z której wybiegała sieć cieniutkich, różnokolorowych kabli. Spojrzał w tę stronę i z powrotem zwrócił wzrok na mnie.
- Nie. Ale za każdym razem, kiedy ktoś do mnie przychodzi, podłączacie to urządzenie... – zerknął ku swojemu lewemu ramieniu, na które opadał rożek tkwiącej na jego głowie kapuzy. Właśnie u czubka tego niecodziennego nakrycia głowy zbiegały się wszystkie kabelki, wychodzące ze skrzyniowatej aparatury. Wyglądało to, jakby przyozdobił swój świąteczny strój dziwnym pióropuszem. Tyle że nie miał na sobie żadnego stroju.
- To da mi znać, ile razy przyjdzie ci ochota zełgać – oświadczyłem zgodnie z prawdą. – Taka maszyna. Nie wolno jej używać... na Ziemi. No więc?
- Jak mogę zełgać – odpowiedział od razu – skoro nie pamiętam, co jest prawdą? Zapomniałeś, zdaje się, że myślę zupełnie normalnie. Tyle że nic nie wiem...
- Ile jest dwa razy dwa?
- Cztery.
- Skąd to wiesz?
- Pewnych podstawowych pojęć nauczyłem się po powrocie. Bess nie krył wcale, że robią to,

ponieważ inaczej nie mogliby mnie nauczyć mówić. Kwestia pojęć...

– Jakim systemem liczysz? Pomyślał chwilę.

– Dziesiątnym... – odrzekł wreszcie z wahaniem.

– A widzisz – skinąłem głową. – To już pewna informacja... dla kogoś, kto bardzo chce dowiedzieć się czegoś o tobie, a nie wie, od czego zacząć. A jakie znasz inne systemy?

Zmarszczył brwi.

– Inne... nie wiem.

– Kto to jest Bess?

– Nie wiem. Ktoś, kogo mam słuchać... Zacerpnałem tchu. Zrób tu coś z takim.

Przyjrzałem mu się. Był zmęczony. Zmęczony i zbity z tropu. Ale trzymał się. On sam, być może, naprawdę nie pamiętał nic. Ale jego ciało, węzły nerwowe, neurony pamiętały trening facetów z „Trójki”. Trzymał się. Kto wie, może właśnie dlatego.

Przyszło mi na myśl, że to niezbyt miłe, że tak się go czepiam. Nawet gdyby rzeczywiście wpadł komuś w łapy i gdyby ten ktoś postanowił z tego skorzystać, on nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Tego byłem już prawie pewny. Prawie. Jedno małe słówko...

– Opowiedz mi, jak to było?... Nie jesteś głodny?

Zaprzeczył ruchem głowy. Barwny czub na szczycie kapuzy poruszył się, wydając cichy, nieprzyjemny szelest.

– Nie chce ci się pić?

– Nie.

Poprawiłem się w fotelu. Sam miałem już dosyć. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia godzina, od kiedy tu wszedłem.

– No to powiedz mi wszystko po kolei – powtórzyłem. – Wiesz już, że poleciałeś do gwiazd. Co robiłeś przedtem?

– Pracowałem tutaj. Moim szefem był Bess. Nazywałem się tak, jak teraz.

– Miałeś rodzinę? – przy tym pytaniu musiałem spuścić wzrok.

– Nie.

– Powiedz wszystko, co pamiętasz. Zastanawiał się. Niezbyt długo.

– Nie pamiętam już niczego. Gdybyś mnie spytał o coś konkretnego... – zawiesił głos.

Konkretnego? Od początku nie robiłem niczego innego. Niech tam. Spróbują.

– Co to jest? – spytałem, odpinając od pasa mój ręczny anihilator. Przedtem raz jeszcze nieznacznie zerknąłem na wskaźnik mocy. Strzałka stała na zerze.

– To?... Nie wiem.

– To jest broń – powiedziałem. – Można nią rozwalić całą stację, wszystkie mury, które nas otaczają – zatoczyłem lufą miotacza szerokie półkole – pozabijać wszystkich ludzi na całym tym globie i w ogóle narobić mnóstwo zamieszania. Tu jest spust – wskazałem ostrożnie palcem. – Weź to... – wyciągnąłem rękę i podałem mu anihilator, trzymając go za lufę.

Przyjął go bez wahania i od razu zacisnął palce na uchwycie, tak jakby to robił na ćwiczeniach. Prawidłowy odruch. Jego dłoń zachowała pamięć tego uchwytu. A jego umysł?

– Trzymasz go prawidłowo – zauważyłem obojętnie. – A mówiłeś, że nie pamiętasz...

Wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Westchnąłem.

– Strzelałeś z tego kiedyś? – spytałem. Odwrócił się i przechylił głowę do tyłu. Tak właśnie powinno się robić, jeśli nie chce się czekać kilkudziesięciu sekund, aż oczy ochłoną po błysku anihilacji.

– Strzel – powiedziałem. Spojrzał na mnie szybko.

– Przecież mówiłeś?... – w jego głosie zabrzmiało szczere zdumienie.

– Mówiłem. Nie strzelaj.

– To na nic – powiedziałem godzinę później Bessowi w dyspozytorni. – Albo naprawdę nic nie pamięta, albo ci, którzy go przerobili, są lepsi od nas... w naszej dziedzinie. Możemy mu dać spokój. Pozostaje przecież aparatura pokładowa. Może ona nam coś powie... nie myślę oczywiście o bębnach pamięciowych, lecz o tym, co tamci z nią robili. Chyba nie macie jeszcze pełnej analizy?

Bess nie odpowiedział. Przez chwilę siedział, wpatrując się we mnie nic nie mówiącym wzrokiem, po czym nagle wstał, podszedł do okna i odwrócił się do mnie plecami. Pozostał tam dość długo. Tak długo, że mi się to sprzykrzyło.

– Jeszcze tu jestem – warknąłem. – Jeśli mnie nie potrzebujesz, to sobie pójdę. Nie spałem kilkanaście godzin, a przedtem miałem trochę zajęcia...

Ocknął się wreszcie. Nie patrząc w moją stronę podszedł do swojego pulpitu, otworzył jakąś klapkę i z niewielkiej skrytki wyciągnął jeszcze mniejszy przedmiot. Mówiąc ściśle, przedmiot ten był tak mały, że dopiero po pewnej chwili zauważyłem go spoczywającego na otwartej dłoni Bessa.

– Co to jest? – spytałem.

– Nadajnik. On miał to przy sobie – mruknął, ścisząc głos. – Był wszyty w skórę pod pachą. Przekazywał nam informacje, a równocześnie kontaktował się z komputerem. Kiedy Weyth wrócił, miał to tam, gdzie powinno być. Nadajnik pracował. Tyle że ani my, ani nasze komputery nie odbierały jego sygnałów. Częstotliwości się zgadzały. Wszystko się zgadzało. Tyle że emisja nie była przeznaczona dla nas... Poczuję, że ogarnia mnie nieposkromiona pasja.

– Czy jeszcze o czymś „zapomniałeś” mnie poinformować? – spytałem słodkim tonem. – Może ty także przeszedłeś w kosmosie jakąś kuracją? Albo tu, na miejscu, żeby się nie fatygować? A może boisz się, że i ja zacznę przekazywać zdobyte od Weytha informacje nie temu, komu powinienem? Jeśli tak, możesz przestać się martwić. Nie mam żadnych informacji. I nie będę ich miał. Zwłaszcza jeśli dalej będziecie trzymać nade mną to sitko, przez które od czasu do czasu kapnie przypadkiem jakaś wiadomość o tym, co się tu naprawdę dzieje.

Przyjął to spokojniej, niż mogłem się spodziewać. Zbyt spokojnie. Nie był to pocieszający objaw.

– Nie wiemy nic – mruknął, odkładając mikronadajnik na poprzednie miejsce. – Nic... – powtórzył w zadumie.

Ochłonąłem. Coś mi się tu jednak nie zgadzało.

– Nie znacie choćby kierunku emisji? – spytałem. – To skąd w ogóle wiecie, że to nadawało?

– Tak orzekli specjaliści – odparł po chwili i nagle zrozumiałem, że i jemu nie wszystko powiedziano od razu. Kto wie, czy w ogóle wiedział już, co naprawdę wyniuchali „nasi specjaliści”.

– Co robimy? – spytałem łagodniejszym tonem.

Wzruszył ramionami.

– Na razie porozmawiaj z nimi jeszcze. Jak tylko dowiem się, czy da się coś wywnioskować z tego, co pozmieniali na naszym statku, powiem ci. Dzisiaj... nie wiem już o niczym, o czym byś i ty nie wiedział. Wystarczy? Skinąłem głową.

– Owszem – zgodziłem się. – Najzupełniej. W każdym razie Weythowi. Długo będziecie go trzymać w tej skórze... z dwoma garbami?

Wyprostował się i zmierzył mnie pochłodniałym nagle spojrzeniem.

– Tak długo, dopóki wszystko się nie wyjaśni – burknął. – Może zawsze. Żal ci się go zrobiło?

– Żal? – powtórzyłem ciszej. – Nie. Przecież to trafiło na niego, a nie na mnie. Albo na przykład na ciebie. Żal? Skądże...

– Kiedy wracałeś, musiałeś nadzorować pracę automatów – mówiłem, wsłuchując się w brzmienie własnego głosu. Był w nim spokój i pewność, których źródła pozostawały poza kontrolą mojej świadomości. – Przypominasz sobie manewry, jakie wykonałeś?

Poruszył bezradnie głową. – Nie. Nie mam pojęcia, jak tu trafiłem. Pamiętam wszystko od momentu... jak by to powiedzieć... w pewnej chwili uprzytomniłem sobie, że jestem w kosmosie, sam na pokładzie, i że wracam do domu. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Byłem pewien, że wszystko jest w porządku. Widziałem przed sobą wskaźniki, pulpity, ekrany... czułem jakiś zamęt w głowie... i to wszystko.

– Nie bałeś się, że coś nawaliło? Że wylądujesz w sąsiedniej galaktyce... albo nie wylądujesz wcale?

– Nie. Wiedziałem, że statek idzie tak, jak powinien... mówiłem przecież dopiero co...

– Dużo rzeczy mówiłeś – przerwałem. – Tylko niewiele z tego wynika. Bardzo niewiele...

– Kiedy znowu zrobicie ze mnie człowieka? – spytał po dłuższej chwili milczenia. – O co wam właściwie chodzi? Przecież przekonaliście się, że rozumieją zupełnie prawidłowo. Kiedy będę miał normalny zasób wiadomości, łatwiej mi będzie wam pomóc... w każdym razie będę miał więcej danych...

Może to i racja – pomyślałem. – Tylko że „nasi specjaliści” prędzej przerobią go na kozę, aniżeli uznają tę rację. Nie mówiąc już o wyciągnięciu z niej praktycznych wniosków.

– Nie możemy ryzykować – odpowiedziałem. Chciałem być w stosunku do niego lojalny... do pewnego momentu. Tyle mogłem zrobić.

I tylko tyle. – Nie możemy ryzykować – powtórzyłem. – Miałeś kontakt z obcymi. Sam pewnie tego się już domyśliłeś...

– Z obcymi? – przerwał gwałtownie. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. – Ja?! Z jakimi znowu obcymi? Nic nie wiem...

– Może nie wiesz – skinąłem głową – ale my musimy być pewni. Musimy wiedzieć, co zdołali z ciebie wyciągnąć... pomimo że poleciałeś do nich pozbawiony pamięci o faktach, które powinny pozostać znane wyłącznie ludziom. Z człowieka można wyciągnąć wszystko... jeśli ma się aparaturę informatyczną... nawet nieco gorszą od naszej. A oni, zdaje się, mają lepszą. Więc obawiam się, że będziesz musiał jeszcze poczekać... chyba że sobie wreszcie przypomnisz?...

Jęknął i złapał się za głowę. Natrafił palcami na kaptur z kablami i cofnął ze wstrętem palec.

– Nie wiedziałem nic a nic o obcych – wymamrotał. – Dlaczego mnie tak dusicie? O co mnie podejrzewacie?...

– Ja o nic – odpowiedziałem. – Ja tylko robię to, co mi polecił Bess. Jestem taki sam jak ty – oświadczyłem, zastanawiając się w duchu, ile w tym prawdy. – Też wykonuję jego rozkazy. Jedyne przypadkiem jest tak, że to ja pytam, a ty odpowiadasz. Równie dobrze mogło być na odwrót... i ja latam sam w dużych statkach. Więc nie rób mi trudności. Pamiętasz, jak poruszamy się w przestrzeni?

– Co to znaczy? – spytał podejrzliwym tonem.

– Jak rozchodzi się światło?

– Światło... nie wiem.

Westchnąłem. Nie wie. Nie słyszał o nadprzestrzeni, o czarnych korytarzach, o nawigacji międzygalaktycznej. Gadaj do lampy.

– No dobrze – mruknąłem bez przekonania – więc jak to było, kiedy się ocknąłeś? Byłeś pewny, że wszystko w porządku. Długo trwało, zanim przystąpiłeś do lądowania?

– Nie wiem – odrzekł z namysłem – ale chyba nie...

– Co to znaczy chyba? – podniosłem głos. – Przecież to, u licha, powinieneś wiedzieć, czy coś trwa długo, czy krótko. Czy długo ze sobą rozmawiamy?...

– Poczekaj – uspokoił mnie gestem – nie, lądowałem bez przygotowania. Zastanawiałem się, co tam robię i ujrzałem w ekranie ląd... myślałem, że jestem chory... nie wiem, co myślałem. Zaraz potem poczułem przeciążenie i usiadłem.

– Wiedziałaś, gdzie jesteś?

– Wiedziałem, że znam to miejsce. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd. Siedziałem w fotelu i czekałem. Wreszcie otworzyła się klapa śluzy...

– Sama?

– Potem mi powiedzieli, że otworzył ją Bess... zdalnie. Wtedy wyszedłem.

Wyszedł. Wyszedł z rakiety na otwartym lądowisku i obejrzał sobie dokładnie całą stację, z jej agregatami, rozmieszczeniem anihilatorów, anten, zwierciadeł, automatów strażniczych, stabilizatorów pola ochronnego... nieźle. Zważywszy, że wtedy miał jeszcze ten nadajnik, który przekazywał sygnały... w każdym razie nie nam. A teraz są tacy ostrożni. Rychło w czas. Powinni go puścić i przeprosić. Tamci i tak wiedzą już wszystko, co chcieli. W tej chwili na przykład siedzą i śmieją się z nas w kułak, że tak sprytnie przerwaliśmy im łączność z ich szpiegiem... człowiekiem. Przerobionym na ich modłę, ale niedokładnie. Jeśli trafił do wyglądających tak jak on sam teraz. Bo równie dobrze mogło chodzić o istoty, które, na przykład, rezydowały kiedyś na Petty... albo o zupełnie inne. Powiedzmy takie, którym nie przyszło na myśl, że osobnik z gębą małpy, kudłaty i z garbami może reprezentować jakąkolwiek rozwiniętą cywilizację. Więc wzięli go po prostu za coś w rodzaju organicznego automatu i odpowiednio z nim się obeszli. Jeśli zważyć, że w dodatku nie wiedział więcej, niż wie pierwszy lepszy oswojony pies... na Ziemi. Czy przyszło im na myśl, że bębny pamięciowe, które splądrowali, jeśli dokonali tego rzeczywiście, zawierają losy tego właśnie osobnika, którego złapali? Czy wszyty w jego skórę nadajnik nie utwierdził ich w mniemaniu, że mają do czynienia ze zwierzęciem właśnie? Pytania. Mnóstwo pytań. Tymczasem ode mnie oczekuje się odpowiedzi.

– Długo trwało, zanim znalazłeś się tutaj, w tej kabynie? – spytałem jeszcze, jakby to istotnie mogło mieć znaczenie. Informacje biegną przecież szybko... Mnóstwo ich może przekazać dobry nadajnik w ułamkach sekund.

– Najpierw zaprowadzili mnie do takiej dużej, oszklonej sali – powiedział bez chwili wahania.

– Tam dowiedziałem się, że jednym z nich jest właśnie Bess...

– Ilu ich było?

– Trzech. Bess, jakiś fotonik, jak sam o sobie powiedział, i taki gruby, z okularami...

– Tłusty – powiedziałem.

– Tłusty – przytaknął. – Potem przeszedłem do jakiegoś innego pomieszczenia... tam było jeszcze parę osób, ale zaraz jak wszedłem, zgasili światło. Zasnąłem. Uśpili mnie. Zbudziłem się już tutaj – pobiegł wzrokiem do stojącego w kącie fotela.

Tak. Byli ostrożni, ale nie zanadto. To tak, jakby ktoś robił maseczkę kosmetyczną nieboszczykowi. Oczywiście nie myślę o bardzo dawnych nieboszczykach, na przykład egipskich faraonach...

– Może masz rację – odpowiedział podejrzenie przyjaznym tonem Bess, kiedy mu ponownie zrelacjonowałem nie tylko moje rozmowy z Weythem, ale i co myślę o całej tej spóźnionej

maskaradzie. – Cieszę się, że sam doszedłeś do takiego wniosku – ciągnął. – Ale rozumiesz, że tak tego zostawić nie można. Tor, który przygotowaliśmy dla Weytha, jest dokładnie obliczony...
– Wyślijcie automaty – odpowiedziałem. – Im łatwiej będzie skasować pamięć. I ci „specjaliści” mogą przecież wymyślić takie kombinacje programów, żeby coś nam z tego przyszło... kiedy wrócą. Jeżeli, oczywiście, wrócą. Jeżeli tamci nie obrazili się na nas za unieruchomienie ich nadajnika.

Bess skrzywił się. Obejrzał dokładnie końce swoich palców, po czym, nie przestając im się przyglądać, mruknął:

– Automaty swoją drogą. Ale kiedy przychodzi do interpretacji... wiesz przecież...

Wiedziałem. Komuś zdaje się sam tłumaczyłem coś w tym duchu.

– Kto? – spytałem krótko. – Znowu ja?

– Jeśli się zgodzisz... – powiedział prędko. Opuścił ręce i oparł się obiema dłońmi o powierzchnię pulpitu. Wreszcie zdecydował się spojrzeć mi w oczy.

– Znowu mnie przerobicie? – rzuciłem lekko, chociaż poczułem nagle, że w kabinie panuje jakiś dziwny chłód. – Czy takie częste metamorfozy nie odbijają się na moim zdrowiu... w każdym razie psychicznym?... Chyba nie chcecie mnie skrzywdzić...

– Zgodzisz się? – spytał, pomijając milczeniem całą moją kwiecistą orację, która była mi widać do czegoś potrzebna...

– Tak – usłyszałem swój własny głos. – Mogę usiąść?...

Nie czekając na odpowiedź pogrążyłem się w fotelu. Pozwolił mi chwilę spokojnie pomyśleć.

– Zrekapitulujmy – odezwałem się wreszcie. – Po pierwsze polecę tym samym korytarzem co Weyth, a więc będę miał takie same szansę, że ci tam mnie odkryją i przechwyć. Po drugie pozbawicie mnie pamięci, ale... Weyth także nie wiedział o sobie nic, kiedy odlatywał. O sobie, a więc i o tym, skąd pochodzi...

– Cieszę się, że sam do tego doszedłeś...

– Powtarzasz się – stwierdziłem. – Nie ciesz się, bo nie ma z czego, a poza tym nie przerywaj mi... teraz jestem ważny. Może nie? Więc na moim statku nie będzie pudełeczka z awaryjnym zapisem mojej świadomości... do którego w razie czego mógłbym sięgnąć. Ja albo ktoś inny. Po trzecie i ja muszę mieć nadajnik, bo inaczej mógłbym z równym skutkiem polecieć na Petty na ryby. Tylko musicie sobie trochę nałamać nad nim głowę... to znaczy wszyscy ci specjaliści, żeby był lepszy niż Weytha. Ale tu, na miejscu, zostawicie podwójny zapis mojej pamięci. A trzeci przekażecie naszej Centrali na Ziemi. Może zdarzyć się i tak, że wrócę, a was już tutaj nie będzie. Nie chcę w takim wypadku tułać się po kosmosie, nie wiedząc nawet, jak się nazywam ani czy mam dokąd wracać i mianowicie dokąd. Po czwarte wreszcie podpiszecie zobowiązanie, i to w obecności wszystkich obecnych na stacji, a także w porozumieniu z Centralą SAO, że po moim powrocie od razu przywrócicie mi ludzką postać i pamięć... – to zastrzeżenie przyszło mi na myśl w ostatniej chwili, ale ani o sekundę za późno.

– Zgoda – Bess skinął głową. – Poza czwartym punktem. Bzdurą jest w ogóle, że domagasz się takiego oświadczenia. Jeśli uznamy, że zagrażasz ludziom, to nie pomogą żadne podpisy...

– Ja jednak domagam się takiej bzdury – odrzekłem stanowczo. – Może nie przebywałaś tak długo w towarzystwie „przerobionego” Weytha jak ja. Nie chcę znaleźć się w jego sytuacji. I to zastrzeżenie ogłosisz całemu sztabowi Centrali. Inaczej nie polecę. Nie możesz mnie do tego zmusić.

Oczy zwęziły mu się w szparki.

– Polecą Change – warknął.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzuciłem. Wstałem i skierowałem się ku drzwiom,
– Dokąd?! – krzyknął. Zatrzymałem się i posłałem mu przez ramię promienny uśmiech.
– O co jeszcze chodzi? – spytałem. – Zapomniałeś o czymś?
– To ty zapomniałeś – syknął. – Wracaj... Wróciłem. Usiadłem naprzeciw niego i nie przestając się uśmiechać skrzyżowałem ramiona na piersi. Patrzyłem mu w oczy. Wytrzymał to przez kilka sekund.

– Chodzi o to – powiedziałem, nie chcąc przedłużać rozmowy, która i tak prowadziła donikąd – że ty jesteś szefem, a ja jestem takim sobie Weythem. Ty jesteś wart swoje, a ja swoje. Dobrze wiesz, że kiedy będzie trzeba, wsadzę łeb w strumień antyprotonów bez większych ceregieli. Ale będę musiał wiedzieć, że inaczej się nie da. Tymczasem co do Weytha, nie jestem przekonany, że musi siedzieć tam, gdzie siedzi, w ekranizowanym pomieszczeniu, we włochatej skórze i z czterema ramionami, które nie pozwalają mu się nawet porządnie wyspać. Wiem coś o tym... Czy to tak trudno zrozumieć, że chcę uniknąć podobnych przyjemności? Żeby tkwić między swoimi, swoimi, pojmujesz, którzy świadomie trzymają cię wypranego z twojej własnej pamięci, w zwierzęcej skórze i tak dalej. Więc nie ustąpię. Albo się zgodzisz, albo nie polecę. Powtarzam raz jeszcze, nie możesz mnie zmusić... a poza tym sądzę, że Weytha powinniście zoperować. Niech siedzi tam, gdzie jest, ale przywróćcie mu jego kształty i pamięć. Przez nasze ekrany i tak nie przedostanie się nawet strzęp wiadomości...

– Ale stacja nie jest więzieniem – odburknął. – Można stąd wyjść... nawet, kiedy zamkniemy drzwi. Czy mam posadzić przy nim jeszcze kogoś z anihilatorem?... A jeśli poza tym nadajnikiem wyposażyli go w coś jeszcze? Jeśli wyjdzie ze swoją pamięcią na zewnątrz... poza ekranizowany obszar? Jeśli, już jako człowiek, zechce dokądś polecieć?... Przecież tutaj roi się od automatów czekających tylko na jedno skinienie palcem... każdego z nas, ludzi. Zresztą mówmy o tobie. Na temat twoich warunków mogę rozmawiać. O innych się nie martw. Jasne?

– Niezupełnie – odpowiedziałem. – Ale podsunąłeś mi pewne możliwości... dobrze, nie mówmy o Weythcie. Mówmy o mnie. Zgadzasz się?

Zastanawiał się. Robił to tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność. Wolę tak to nazwać. Bo decyzję podjął już dawno, co do tego nie mogłem żywić najmniejszych wątpliwości.

– Rozumiesz chyba – zaczął w końcu z namaszczeniem – że sam nie odpowiem ci ani tak, ani nie. Wszystko będzie zależeć od tego, co postanowią specjaliści. Pójdę tam zaraz...

Wstał i ruszył ku drzwiom z miną człowieka, który idzie spełnić niewykonalne zadanie. Tak jakby to on miał lecieć. Nie ja.

Czekałem mniej więcej pół godziny. Mogłem czekać dłużej. Mnie się nie śpieszyło. Nie potrzebowałem, się przygotowywać, teoretycznie ani psychicznie. I tak polecę, nie pamiętając niczego...

Wrócił i już od progu rozradowanym głosem oznajmił:

– Przyjęli nasze warunki. Statek będzie gotów wieczorem. Jutro start...

Powiedział „nasze”. „Nasze” warunki. Naprawdę.

Wstałem. Wyminąłem go i, wychodząc, rzuciłem za siebie:

– Myślisz, że nas nie wykiwają?...

Nie czekałem na odpowiedź. Będąc już w korytarzu, w drodze do swojej kabinki, uśmiechnąłem się do siebie. Każdy z nas, ja i oni, zrobi to, co będzie musiał. Całą tę rozmowę poświęciłem Weythowi. Tylko jemu. Jedyne, co mi pozostało, to wierzyć, że nie wszystko, co powiedziałem, pójdzie na marne...

Godzinę później wezwano mnie do „specjalistów”. Wyszedłem od nich porośnięty rudozłotą

sierścią i na nowo musiałem się uczyć poruszać tymi nonsensownymi paluszkami, sterczącymi z zagłębienia w okolicy mojego mostka. Po czym znowu miałem kłopoty z ułożeniem się do snu. Ale spałem mimo wszystko dobrze. Rano przyszedł Bess i zabrał mnie do pracowni informatycznej. Było tam kilka osób, ale zaraz po moim wejściu zgasło światło, zanim jeszcze zdążyłem przyjrzeć się ich twarzom. Głos z Ziemi, należący zapewne do kogoś ze sztabu, kogo jednak nie znałem, poinformował mnie o przyjęciu moich warunków. Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem.

Siedziałem na twardej płycie, sunącej wraz ze mną na elastycznej powłoce, która wyściełała podłogę. Przede mną i za mną szli ludzie. Płyta miała u dołu kółeczka, toczyły się wydając cichy szmer, jakby skądś uchodziło powietrze. Ściany dokoła tworzyły nisko sklepiony tunel, pozbawiony lamp. Mimo to było jasno.

Tunel czy korytarz skończył się i wjechałem do półokrągłego pokoju, zamkniętego jednymi drzwiami. Były z grubej płyty, miały wielki rygiel w kształcie dźwigni i jakieś kolorowe nacięcia. Ubrano mnie w ciasno przylegający do ciała strój, na który nałożono jeszcze jeden. Ten był ciężki. Na głowie umieszczono mi ogromną banię. Zauważyłem, że ludzie dookoła są inni niż ja. A może to ja byłem inny?

Teraz, kiedy wszyscy mieliśmy już na sobie grube, workowate ubrania, kiedy dostrzegałem tylko fragmenty ich twarzy, widoczne za szybkami wprawionymi w to, co mieli na głowach, staliśmy się do siebie podobni.

Drzwi otwały się, pomimo że nikt do nich nie podchodził, i przeszliśmy do ciasnej komórki, w której pomieściliśmy się wszyscy z największym trudem. Drzwi za nami zamknęły się, po minucie natomiast otwały się inne, po przeciwnej stronie, bliźniaczo podobne do pierwszych. Ktoś popchnął mnie lekko w plecy i znalazłem się na wolnej przestrzeni. Przede mną otwierał się widok na jakąś brudnorudawą pustynię, upstrzoną stożkowatymi wzniesieniami i postrzępionymi skałami. Nieco w lewo, w pewnym oddaleniu od miejsca, gdzie stałem, widniał obszerny plac o wyrównanej, twardej powierzchni. Stał tam pionowo olbrzymi walec, ostro zakończony, wsparty na jakichś kratownicach, ale dzięki swej wysokości sprawiający wrażenie, że za chwilę będzie musiał się przewrócić. Skierowaliśmy się ku niemu. Przebyliśmy mniej więcej połowę drogi, kiedy tuż przy moich uszach, nie mam pojęcia, jakim cudem, bo przecież na głowie miałem ciężki, szczelny ochraniacz, rozległ się ostry, wibrujący dźwięk. Ludzie przede mną i za mną zatrzymali się. Usłyszałem jakieś krzyki i nagle ktoś popchnął mnie z całej siły w plecy, tak, że o mało nie upadłem. Ktoś inny chwycił mnie za rękę i pociągnął. Odruchowo zacząłem biec. Dopadliśmy do najbliższego wzniesienia i nagle grunt uciekł mi spod nóg, spadłem dobre dwa metry niżej, na dno jakiegoś kwadratowego wykopu. To dno było twarde, potłukłem się, pomimo że byłem tak grubo ubrany. Kiedy się podniosłem, ci, którzy szli ze mną, byli już wszyscy tu w dole, a nad naszymi głowami zamknęła się przezroczysta, gruba kopuła. Przez nią ujrzałem jaśniejszy od słońca blask, rozjarzający się coraz bardziej, tak że wkrótce musiałem odwrócić oczy. Inni patrzyli przez kolorowe szybki, nie wiem, skąd je wzięli. Krzyczeli coś. Zauważyłem, że w kierunku, z którego dochodził ten blask, mkną jakieś dziwne pojazdy. Z każdego z nich sterczała z przodu krótka, gruba rura. Za pojazdami posuwały się wolniej maszyny, przypominające trochę ludzi, bo utrzymujące się na dwóch elastycznych kończynach.

Blask zniknął nagle, a cały teren przed nami zasłoniła chmura kurzu. Przestałem widzieć cokolwiek, inni jednak patrzyli nadal. Minęło kilka minut i z tej chmury wyłonił się dziwny orszak. W otoczeniu owych pojazdów, sunących teraz powoli, poprzedzany owymi kroczącymi

maszynami, szedł ktoś, ubrany dokładnie tak samo jak ja. I nawet pod jego bluzą widniały te wypukłości, które, jak to przedtem zauważyłem, różniły mnie od ludzi, znajdujących się razem ze mną. Wyraźnie usłyszałem czyjś głos, wołający „ależ to Ago”, i ten głos brzmiał bardzo dziwnie. Później chwilę panowała cisza. Wreszcie jeden z obecnych w tym wykopie otworzył jakieś niewidoczne drzwiczki i wybiegł. Ujrzałem go zaraz potem na otwartej przestrzeni, jak podchodził do tamtego, który przybył wraz z tym nieznośnym blaskiem. Stanęli i przez moment jakby rozmawiali. Ten, który odłączył się od nas, zatrzymał się jednak tak, że nie mogłem zobaczyć, co robi nowo przybyły. Zaraz zresztą poszli dalej, już razem, kierując się w stronę zabudowań, które sami opuściliśmy przed chwilą. Weszli do nich przez owe grube drzwi i zniknęli nam z oczu. Niektóre maszyny weszły razem z nimi, większość ich jednak została na zewnątrz. Dość długo trwało, zanim drzwi otwały się ponownie i wyszedł ten człowiek, który przedtem był razem z nami. Dał jakiś znak i wtedy ktoś jeszcze raz popchnął mnie delikatnie w plecy. Tym razem wyszliśmy po schodkach, nie zauważyłem ich przedtem, bo kiedy rozległ się ten przenikliwy dźwięk, wszyscy skakali po prostu w dół. Człowiek, który odprowadził nowego, dołączył do nas i wtedy znowu, nie wiem skąd, usłyszałem, jak ktoś spytał: „co?...”, a inny odpowiedział krótko: „nic...”. Wtedy jeszcze inny głos powiedział: „to może nie ma sensu, żeby startował?”, na co pierwszy rzucił, jak mi się wydało, ze złością: „musi wystartować, skoro już wrócił”... Potem nie mówili więcej nic. Co do mnie, chciałem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Umiałem poruszać nogami i rękami, wiedziałem, że jestem jednym z tych, którzy mnie otaczają, że to, na co patrzę, jest mi swojskie i powinienem się czuć tutaj jak u siebie... i to wszystko.

Pionowo stojący walec z bliska okazał się większy jeszcze, niż mogłem przypuścić, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. U dołu stała mała platforma, od której ku górze biegły dwa proste pręty, kończące się koło otwartego okna. Na platformie umieszczono jedną z tych chodzących jak ludzie maszyn, a mnie kazano stanąć obok niej. Po chwili jechałem już z całym tym bagażem w górę, przytrzymywany przez jakiś chwytak, sterczący ze stojącej koło mnie maszyny. Ona też zatrzasnęła za nami drzwi, kiedy wjechaliśmy na górę, a następnie zaprowadziła wąskimi, niewygodnymi przejściami do komórki, pełnej światełek, lin i jakichś cudacznych sprzętów. Tam umieściła mnie w fotelu, wcale wygodnym jak na to miejsce, a sama ulokowała się za moimi plecami. Jeszcze chwila i stałem się okropnie ciężki, chciałem krzyknąć, ale nie mogłem otworzyć ust. Potem to wrażenie stopniowo zanikło. Wtedy usłyszałem głos, ten sam, który przedtem wymówił słowo „Ago”. Powiedział: „Trzymaj się. Wchodzisz w korytarz. Cześć” – i zrozumiałem, że to było skierowane do mnie. Chwilę później ujrzałem przed sobą jakby poświęcającą chmurę, która ogarnęła mnie całego, pozbawiając zdolności widzenia. Z tej chmury, zrazu niewyraźnie, potem jakby nabierając plastyczności, zaczęły występować zarysy twarzy... odezwało się we mnie jakieś głuche przecucie, że te twarze powinny mi być znajome... ale nie wiedziałem, skąd. Budziły uczucia i bardzo miłe, i smutne zarazem...

Moją głowę spowijała chmura błękitnawego dymu. Miałem wrażenie, jakbym jeszcze przed chwilą poprzez ten dym dostrzegał czyjeś twarze, których widok ożywiał w najgłębszych warstwach mojej istoty dziwne, nie dające się określić uczucia, ale teraz nie widziałem już nic. Ręce, nogi i głowa stały się nagle ciężkie jak z ołowiu. Na mojej piersi spoczęła dziwna, mechaniczna łapa o dwóch palcach. Odwróciłem się i zobaczyłem, że to maszyna, o której obecności przedtem nie wiedziałem, przyciska mnie delikatnie do fotela. Próbowałem się uwolnić, nie stać mnie jednak było na wysiłek uniesienia dłoni.

Zaraz potem zresztą ciężar ustąpił. Wtedy maszyna zabrała także swój wysięgnik,

przytrzymujący mnie w pozycji leżącej. Podniosłem się. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że oparcie fotela powędrowało za moimi plecami. Przede mną była wielka szyba, poza którą kłębił się ogień. Ślepiłem od jego blasku. Ogień zmienił nagle barwę, blask ściemniał, poczułem jeden nieznaczny wstrząs. Jakiś wibrujący, cichy ton, wypełniający dotąd pomieszczenie, w którym się znajdowałem, zanikł.

Maszyna za mną poruszyła się. Ujrzałem jej wznoszące się niemrawo kończyny i zrozumiałem, że chce, abym wstał. Posłuchałem. Poprowadziła mnie wąskim przejściem do niewielkiej komórki, zamkniętej dwojgiem ciężkich drzwi. Potem wyszedłem przez okno, które niespodziewanie otworzyło się przede mną, i ujrzałem ład. Był rudobrazowy, jakby przybrudzony, pustynny, zarzucony z rzadka rozsianymi głazami i skalnymi iglicami. Dalej, nieco na prawo, ukryta w zboczu łysego wzniesienia, widniała półkolista ściana jakiejś budowli. Niedaleko niej zaczynał się las sterczących pionowo wyższych i niższych prętów, poprzecinanych przeróżnymi rozwidlonymi zastrzałami. Za nimi błyszczało ułożone poziomo olbrzymie, wklęsłe lustro. Maszyna ulokowała mnie na balkoniku przed wyjściem. Ten balkonik zaraz potem drgnął i począł opadać wraz z nami w dół ślizgając się w prowadnicach, przymocowanych do wypukłego pancerza budowli, którą tylko co opuściłem. Zorientowałem się już, że był to olbrzymi walec, u dołu podtrzymywały go ażurowe konstrukcje. Kiedy opadaliśmy na powierzchnię gruntu, spostrzegłem, że cały ten monstrualnych rozmiarów walec nie dotyka ziemi pozostawiając prześwit wysokości człowieka. Maszyna popchnęła mnie i wtedy wokół nas pojawiły się inne, podobne do niej. Przybyły także jakieś unoszące się nad ziemią przyplaszczony bryły, zaopatrzone w krótkie, skośnie ścięte rury. Usłyszałem głos, który powiedział coś jakby: „przecież to Ago” i zaraz potem ujrzałem przed sobą człowieka, ubranego tak samo jak ja. Ubranie miał takie samo, ale był chyba szczuplejszy ode mnie, jakiś bardziej płaski. Nie spodobało mi się to, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć, czemu. Ten człowiek wziął mnie za rękę, po czym puścił ją szybko, powiedział „chodź za mną” i ruszył wprost w stronę owej wykopanej w zboczu budowli. Nagle na prawo od drogi, którą szliśmy, zalśnił jakiś błysk. Spojrzałem w tę stronę i ujrzałem szklane wyrzuszenie. Słońce odbijało się od niego, ale pomimo to dostrzegłem za tą kopułą twarze ludzi. Odniosłem wrażenie, że przyglądają mi się tak, żebym ich nie widział. To także mi się nie spodobało. Dobiegł mnie głos, inny niż przed chwilą. Ktoś pytał, czy warto startować, a jeszcze ktoś inny powiedział, że trzeba, skoro już wrócił. Kto wrócił? Przyspieszyłem, chcąc dogonić człowieka, idącego przodem, ale w tej samej chwili ten doszedł już do ciężkich drzwi, zamykających budowlę. Te stały przed nami otworem. Znalazłem się wewnątrz ciasnego pomieszczenia, w którym pozostaliśmy jakiś czas, nic nie robiąc.

– Gdzie jestem? – spytałem w pewnej chwili, rozumiejąc, że coś nie jest tak, jak powinno, skoro nic nie wiem. Ale z moich ust nie wyszedł najcichszy choćby dźwięk. Co się dzieje? Ponownie poruszyłem wargami i stwierdziłem, że usta mam w porządku. Po prostu nie umiałem powiedzieć tego, co przyszło mi na myśl. Inna rzecz, że owe myśli nie zasługiwały na to, by tak je nazywać. Tylko jeśli zdaję sobie z tego sprawę...

Drzwi położone naprzeciw tych, przez które weszliśmy z zewnątrz, otwarły się i ruszyliśmy dalej. Nie próbowałem już nic mówić. Minęliśmy niewielką, półkolistą salkę i znaleźliśmy się w tunelowym przejściu. Odruchowo pochyliłem głowę, żeby nie stuknąć o sufit tym baniastym ochroniaczem, w którym ona tkwiła. Człowiek, który mnie prowadził, rozebrał się w tej salce, gdzie nie wiedzieć po co czekaliśmy tak długo. Poczułem, że chętnie zrobiłbym to samo. Byłem zły, że kazano mi iść dalej w tym niewygodnym, ciężkim ubraniu, szczelnie przylegającym do

ciała i zaopatrzonym w jakieś niezrozumiałe wypustki, lśniące w świetle kwadraciki, miniaturowe szkiełka i inne cudenka.

Wreszcie mężczyzna idący przodem przystanął. W ścianie tunelu otwarły się drzwi. Kiedy przekroczyłem wysoki, kanciasty próg, wszedł za mną. Znalazłem się w zupełnych ciemnościach. Poczulem na ramieniu czyjąś rękę. Tym razem była to żywa ręka, nie sztywne dwa palce maszyny, która mi asystowała tam, gdzie byłem sam. Poddałem się ruchowi tej ręki i zrobiłem kilka kroków do przodu. Ręka stała się cięższa. Zrozumiałem, że mam usiąść. Opadłem na jakiś fotel czy łóżko, dostatecznie głębokie i wygodne, bym poczuł senność. Próbowałem z nią walczyć, ale była silniejsza ode mnie. Zamknąłem oczy i zapadłem się w nicość.



Po kliknięciu nastąpi przeskoczenie do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 5

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 7

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

W uszach miałem pulsujący leniwie szum, jakbym leżał nad brzegiem morza i wsłuchiwał się w rytm łagodnego przyboju. Powoli jednak ten szum stawał się coraz cichszy. Pojąłem wreszcie, że jego źródło znajdowało się wewnątrz moich skroni, a nie na zewnątrz. Jakie tam morze.

Uniosłem powieki i ujrzałem nad sobą ściągniętą w jakimś nieprzyjemnym grymasie twarz Bessa.

– Nie śpisz już? – spytał. Było to celne pytanie, zważywszy, że wpatrywałem się w niego szeroko otwartymi oczami. Toteż pozostawiłem je bez odpowiedzi.

Uniosłem głowę, oderwałem wzrok od jego twarzy, której wyraz nie wróżył niczego dobrego, i rozejrzałem się. Byłem w pracowni informatycznej. Tej samej, do której wprowadzono mnie przed chwilą... lub kiedyś tam. Wprowadzono i natychmiast zgaszono światło. Ale znałem przecież tę salkę, z całym jej wyposażeniem. Tylko że teraz byliśmy tutaj jedynie my dwaj: Bess i ja. Wtedy mieliśmy towarzystwo... wcale liczne. Przeniosłem wzrok na swoje stopy. Spoczywały na krawędzi rozłożonego fotela i były nagie. To znaczy jeśli nie liczyć pokrywającej jej rudawej sierści. Ponownie spojrzałem na Bessa, który zdążył już ulokować się wygodnie w sąsiednim fotelu.

– Coś się stało? – spytałem. – Nie lecę? Bess odwrócił głowę. Wyglądało na to, że nie ma ochoty rozmawiać. Rozejrzałem się ponownie po sali i zaświtało mi, że może jestem tu już po raz drugi i że w takim razie moje pytanie należało sformułować inaczej.

– Czy już wróciłem?

– Tak.

– Rozumiem – głowa opadła mi z powrotem na oparcie. Pomyślałem chwilę, po czym mruknąłem: – Kiedy?

– Wczoraj.

– A kiedy wystartowałem?

– Także wczoraj.

Poleżałem jeszcze kilka sekund bez ruchu, wreszcie zebrałem się w sobie i usiadłem. Przekręciłem się w fotelu, spuściłem nogi na podłogę i przeciągnąłem się.

– Nie trwało to długo – zauważyłem. – Zawróciliście mnie?

– Zasoby energetyczne twojego statku były wyczerpane zaledwie w połowie. Mogłeś lecieć przez trzy galaktyki – odburknął niechętnie. – A wróciłeś, zanim wystartowałeś. Mój umysł pracował już jasno. – A więc jednak byłem u k o g o s ... i to kogoś takiego, kto nauczył się wykorzystywać prawa nadprzestrzeni do celów praktycznych. Ich Einstein musiał się urodzić znacznie wcześniej od naszego. Popelnili jednak drobny błąd. Drobniutki. Widać nie tak łatwo obliczyć relacje czasu w zakrzywionej przestrzeni z dokładnością do kilku minut. To musiało nieźle wyglądać – dodałem z uznaniem. – Nie sądziłem, że takie rzeczy się zdarzają. Teoretycznie oczywiście... szkoda, że nie pamiętam – zakończyłem szczerze.

– Nie ma czego żałować – zaprzeczył ponuro. – Widok był raczej głupi.

– A co by się stało, gdybym nie wystartował?! – spytałem, chociaż znałem, rzecz jasna, odpowiedź na to pozornie nedorzeczne pytanie. – Mielibyście nas teraz dwóch...

– Nie będziemy się bawić w paradoksy – uciał cierpko. – Oczywiście teraz też nic nie pamiętasz? – położył nacisk na słowie „teraz”. Teraz, to znaczy po pobycie w tej salce, gdzie przywrócono mi pamięć.

– Pamiętam wszystko – odpowiedziałem – do momentu, kiedy weszliśmy tutaj i zgasiliście światło. Z przyjemnością stwierdzam, że dotrzymałeś słowa... przynajmniej w połowie. Jak jest

ze mną?

Milczał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Poleciałeś bez zapisu osobowości i bębnow pamięciowych. Nie mogli nic z ciebie wyciągnąć. Ale nie ciesz się – dorzucił. – Byłeś u nich. Grzebali w statku. I wróciłeś, nie pamiętając nic... z całego lotu. Tak samo jak Weyth.

– Weyth... – powtórzyłem bezwiednie. – Czy... coście z nim zrobili?

– Był tu przed tobą – mruknął Bess. – Także jest już sobą... w połowie – uśmiechnął się w sposób, który wydał mi się szczególnie antypatyczny.

– Przywróciliście mu pamięć, ale pozostał z kosmatymi garbami – pomyślałem na głos. – Musieliście ze mną rozmawiać, kiedy wróciłem. Kto?

– Ja sam – odrzekł po chwili. – Ja i Weyth. Był także jeden ze specjalistów...

– Wydobyliście coś ode mnie? Potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

– Nieźle... – mruknąłem z namysłem. – Nieźle... jak oni to, do diabła, robią? A co z automatami? – spytałem.

– Jeszcze nie wrócili. O ile w ogóle wrócą...

– Mogą nie wrócić – zgodziłem się. – Czy zamierzacie mnie jeszcze maglować? Dobra, dobra, nie patrz tak na mnie – wykrzywiłem się w uśmiechu. – Wiem, że jestem podejrzany. Musisz mnie traktować tak, jak bym ja to robił na twoim miejscu, ale możesz rozmawiać ze mną normalnie. Nie jestem dzieckiem. Chciałbym cię tylko na wszelki wypadek zapewnić, że naprawdę nic nie wiem. Czy liczyliście na coś, przywracając mi pamięć, czy był to po prostu przyjacielski gest?

– Nie wygłupiaj się – mruknął, odwracając ponownie głowę. Tym razem zajął się jakimiś nie istniejącymi szczegółami na suficie. – Zaraz coś ci powiem i przestaniesz być wesoły...

– Myślisz? – podchwyciłem z powątpiewaniem. – Nie sędzę – pokiwałem z powagą głową. – Jestem w świetnym nastroju. Oczywiście automaty na moim statku nie przywiozły żadnych zapisów?

– Żadnych.

– A mój nadajnik?

– O którym nadajniku myślisz? – spytał dziwnym tonem. – Ten, który my wszyliśmy ci pod skórę, umilkł pięć minut po starcie. Natomiast ten drugi pracuje w dalszym ciągu...

Wstałem. Wyprostowałem się, aż mi w kościach zatrzeszczało, po czym szybko pochyliłem się i utkwilem wzrok w jego oczach. Powieki mu zadrgały, ale tym razem nie odwracał twarzy.

– Jaki nadajnik? – spytałem cicho.

– A ja wiem, jaki... – burknął, nie przestając świdrować mnie spojrzeniem. – W każdym razie nie nasz...

– Co to jest, do licha! – wybuchnąłem. – I gdzie?...

– Nie wiem, co to jest – odpowiedział od razu. – A gdzie? O, tu, przede mną – uniósł dłoń i wycelował palec w moją pierś. Odruchowo poszukałem wzrokiem zagłębienia w okolicy mostka, z którego sterczały te jakieś paluszki.

– Nie szukaj – usłyszałem jego głos. – Zrobiliśmy to już przed tobą. A możesz mi wierzyć, że dołożyliśmy starań, aby wykorzystać wszystkie możliwości...

– I... nic? – wybąkałem osłupiały.

– Nic...

Wyprostowałem się powoli. To było stanowczo więcej, niż miałem prawo oczekiwać. Więcej, niż może znieść... człowiek.

– Jak to jest? – spytałem czując, że w gardle narasta mi jakaś twarda gęstwa, która za chwilę pozbawi mnie zdolności mowy. – Nie pytam przez zwykłą ciekawość... Po pierwsze – ogarnął mnie chłód i zaraz potem to coś uwolniło moją krtani. Byłem znów sobą. Miałem zadanie. Bardziej konkretne niż kiedykolwiek. – Po pierwsze – powtórzyłem – kierunek emisji? Ten sam co u Weytha?

Skinął głową.

– Tak. Zgodny z współrzędnymi korytarza, którym leciałeś.

– Dobrze. Po drugie – jesteście pewni, że nadaję?

– Absolutnie pewni – w jego głosie pojawiła się jakaś drwiąca nutka. Nie zwróciłem na to uwagi.

– Punkt trzeci. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że nadajnik sporządzili po prostu ze mnie... całego. Co wykorzystali? System nerwowy? Nie da się tego zoperować?

Westchnął. Pomyślał jakiś czas, a następnie poruszył głową, jakby czegoś żałował. Mogłem wierzyć, że naprawdę żałuje. Czego, o to wolałem już nie pytać.

– Podobno nie – powiedział wreszcie. – To znaczy można by spróbować, ale wynik jest więcej niż wątpliwy... dla ciebie, rzecz jasna. Nie chodzi tylko o system nerwowy. Także neurony... Nasi specjaliści doszli do wniosku, że ci tam wykorzystali jakiś nadrzędny układ w naszym organizmie, nie znany jeszcze ziemskiej medycynie... i informatyce. Więc jak operować?...

– Po czwarte – ciągnąłem – jeśli nadaję... ale o tym pomyśleliście na pewno sami – uśmiechnąłem się, chociaż powody do radości miałem raczej nikłe – chodzi o ekranizację. Jesteście jej pewni?

– Tak – rzucił krótko.

– Nie da się wyłączyć tego nadajnika w żaden ludzki sposób – stwierdziłem raczej, niż spytałem.

– A więc będę siedział tutaj, wewnątrz ekranizowanej stacji tak długo, aż nadajnik nie przestanie pracować. Tylko jeśli on czerpie energię z procesów, zachodzących w moim organizmie, to może pracować dokładnie tak długo, jak długo będzie mi zależało na tym, żeby przestał... ani sekundy krócej. Pomyśleliście o tym?...

– Uhm... teraz ty powinieneś pomyśleć...

– Nic innego nie robię – przerwałem mu. – Czyli, inaczej mówiąc, do końca życia. Jedyna nadzieja w tym, że „naszym specjalistom” uda się w końcu znaleźć ten nadrzędny układ, nie znany ziemskim naukowcom. Rozumiem. Możesz nie odpowiadać. Wprawdzie to śmieszne, że tak jak było z Weythem, z naszego szpiega tam, stałem się nagle ich szpiegiem tutaj, ale jako fachowiec, oczywiście muszę wyznać, że jakoś mnie to nie bawi. Nawet jeśli to wzbogaca moje kwalifikacje... przyznasz, że zawsze byłem niezły, ale teraz stałem się nawet za dobry. Tylko fachowiec. Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno, czy zamierzacie przywrócić mi moją dawną postać? Taką, wiesz, ludzką?...

Wstał. Chwilę patrzyliśmy na siebie, nic nie mówiąc. Byłem wyższy o głowę. Teraz jednak nie rzucało się to w oczy.

– Na razie nie, Ago... – odezwał się wreszcie z przymusem. – Powinieneś zrozumieć. Nikt nie wątpi, że możemy na ciebie liczyć... jak długo jesteś sobą. Ale czy sam ręczyłbyś za siebie w każdej sytuacji... z tym, co w tobie jest?...

Zapadło milczenie. Czy czeka na moją odpowiedź? Czy potrzebna mu odpowiedź? Nie. Chce tylko, żeby wszystko odbyło się gładko i za obopólną zgodą. Ale i na tym nie zależy mu tak bardzo. Musi po prostu dobrnąć do końca. I robi to. Właściwie już zrobił.

Poczułem suchość w ustach. Z trudem przełknąłem ślinę. Mógłbym powiedzieć niejedno.

Kiedy tak stałem przed nim, udając, że myślę, uderzyło mnie, ile na dobrą sprawę zebrało się już tych różnych niedopowiedzeń... ile faktów, burzących strukturę... czego? SAO? Nie. Nie chodzi o strukturę. Rzecz idzie o coś więcej. O przystosowanie. Uniwersalność człowieka... też nie. Krótko mówiąc, zostaliśmy w tyle, razem z naszymi anihilatorami, polami, regulaminem i „naszymi specjalistami”. Pomyślałem o tych na Petty. Co oni zrobiliby na naszym miejscu? I czy to w konkretnej sytuacji nie byłoby... bezpieczniejsze? Szaleństwo. A jednak nie myślę się. Bezpieczniejsze. Tylko że tego nie powiem Bessowi. Nawet nie dlatego, że nie potrafiłby zrozumieć. Nie potrafiłby rzeczywiście. Za to ja definitywnie pozbawiłbym się pewnej szansy... jak on to powiedział? „Stacja nie jest więzieniem...” Ano, zobaczymy...

Spuściłem głowę. Odwróciłem się i powoli ruszyłem ku drzwiom. W progu zatrzymałem się i spytałem:

– Po stacji mogę chodzić swobodnie?

– Oczywiście.

– Całej?

– Całej. Ago – w jego głosie zabrzmiał jakby ton współczucia – kiedy tylko coś się zmieni... wrócą automaty albo będziemy mieć więcej informacji... specjaliści nie przestaną pracować... słowem, trzymaj się. Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc...

– Nie wątpię – rzuciłem sucho i wyszedłem.

U siebie w kabinie zacząłem myśleć. Żarty się skończyły. Teraz muszę pokazać, co naprawdę jestem wart. Nie tylko jako agent „Trójki”. Ale jako agent także.

Już przed kilkoma minutami, w czasie rozmowy z Bessem, zadzwieczyły mi nagle ni stąd, ni zowąd słowa Ariki, kiedy mówiła o obcych i ewentualnym Kontakcie. Że charakter informacji, jakich szukają, świadczy o ich pokojowych zamiarach. Że gdyby było inaczej, nie obchodziłoby ich, co nawzajem o sobie myślimy, czy się lubimy, czy nie, czy stany emocjonalne mają wpływ na nasze postępowanie... i tak dalej. To nie mrzonki humanistów. To fakt. Takie właśnie informacje zbierała i przekazywała aparatura, podrzucona przez obcych w jednej z zabytkowych budowli. Faktem jest także, że za moją sprawą, w wyniku interwencji SAO, ten nadajnik przestał obcym służyć i nie mogli mieć wątpliwości, komu to zawdzięczają. Ludziom. Mamy dwa fakty. Trzeci to wysłanie pilota pozbawionego pamięci, za to z nadajnikiem, ukrytym pod skórą. Czwarty fakt – zamknięcie ich nadajnika, który ukryli w ciele tego samego pilota, kiedy zwracali go nam wraz ze statkiem. Piąty to następny pilot, tym razem już bez rezerwowych choćby czy ukrytych w przystawkach komputerów informacji, możliwych do przechwycenia. Tym drugim pilotem byłem ja. Wobec mnie zastosowali nowy chwyt, przestroili jakoś mój system nerwowy, umieścili w moim organizmie sieć energetyczną, a raczej wykorzystali po prostu moje ciało jako swoisty wzmacniacz, czyniąc ze mnie całego swój zmodernizowany szpiegowski nadajnik. Ale nawet i ten nadajnik zamilkł, kiedy ów pilot, czyli ja, wrócił do swoich.

Teraz warto by spróbować dojść, co ci obcy sobie pomyśleli. Po pierwsze czy zastanowili się nad losem naszych pilotów, który spotkał ich po powrocie do swoich. A jeśli tak, to jakie wnioski mogli wyciągnąć z faktu, że ci piloci zamilkli? Mniejsza o Weytha, skoro wszyli mu tylko pigułę, tak że pierwszy lepszy chirurg mógł ją bez szkody dla zdrowia człowieka wyciągnąć z powrotem. Ale ja? Jeśli, powiedzmy, wiedzieli, że stłumienie przekaźnika, w jaki zamienili mój organizm, nie może się odbyć bez zadania temu organizmowi gwałtu? Przecież jakieś informacje o nas już mieli. Mogli zdawać sobie sprawę, że nasza nauka nie odkryła dotąd owego nadrzędnego układu, nad którym głowią się teraz specjaliści SAO. Lub też, co gorsza,

zabieg, jakiego na mnie dokonali, mógł być nieszkodliwy dla mnie, ale nieodwracalny. Nieodwracalny w żywym organizmie. I jakie z tych faktów musieli wysnuć wnioski? Jeśli pomyśleć o ich zainteresowaniach, którym dali wyraz programując ową stację przekaźnikową na Petty? Że nie liczymy się z ludzkimi uczuciami ani z ludzkim życiem, dążąc do jakiegoś celu. A teraz – jakiego celu? Czy nie balibyśmy się tak bardzo ujawnienia naszych sekretów, czy nie tłumilibyśmy wszędzie ich nadajników, czy wysyłalibyśmy pilotów wypranych z ich własnej osobowości, gdybyśmy nie mieli zbyt wielu rzeczy do ukrycia? Jakich rzeczy? Naszych zamiarów, rzecz jasna. Jakich zamiarów?

To pytanie mogłem już zostawić bez odpowiedzi. Teraz trzeba rozwiązać następną kwestię. Nie mogłem dopuścić się najmniejszej choćby nielojalności względem własnej pracy. Jej przesłanek. Byłem agentem SAO i pozostanę nim do końca. Należałem do „Trójki”, byłem jej częścią i nie raz, nie dwa przekonałem się, że opinia laików o nas jest wynikiem nieświadomości. Że jesteśmy potrzebni. Nie znaczy to jednak, że należałem do Bessa. Lub do tego czy tamtego konkretnego specjalisty. Każdy z nas musiał, sprawując służbę, umieć myśleć i działać samodzielnie. Zbyt wiele nastęczała ta służba możliwości. Otóż teraz właśnie nie robiłem nic innego, jak tylko pracowałem samodzielnie. W konkretnej sytuacji, wobec faktów, które przed chwilą zestawilem, tylko zestawilem, należało ocenić, co jest bezpieczniejsze dla naszej cywilizacji: postępowanie nadal w identyczny sposób jak dotąd czy odkrycie kart. Sposób, w jaki mnie „przerobili”, wystawiał ich technice doskonałe świadectwo. Za dobre, jak na nas. Tak samo wszystkie te świecące „dyski” i co tam jeszcze. Czy więc, wracam wciąż do kluczowego pytania, bezpieczniej będzie nastrajać te istoty wrogo, a w najlepszym razie nieufnie względem nas, czy też przedstawić się im, ze wszystkimi naszymi wadami i zaletami? Naturalnie nie musimy od razu wskazywać im drogi na Ziemię. Wystarczymy my i ci na Petty. W tej chwili obcy, jeśli nie są durniami – lub przeciwnie, absolutnymi geniuszami – musieli dojść do wniosku, że mają do czynienia z rasą zdolną do wielu ponurych rzeczy, której poza tym przyświecają niezbyt czyste cele. Działając jako agent SAO, co powinienem zrobić? Zawiadomić moich przełożonych, że po przemyśleniu sytuacji doszedłem do pewnych wniosków... po czym wyłożyć punkt po punkcie to wszystko, co sam tu przed sobą wywiodłem. Bo przecież jestem przekonany, że właśnie jako Agencja, powołana do obrony Ziemi, powinniśmy teraz wywinąć kozła i w imię bezpieczeństwa nawiązać pokojowy kontakt z tymi tam, licho wie, gdzie. Tak więc druga podstawowa kwestia była, dla mnie przynajmniej, rozwiązana.

Pozostawała trzecia. Niewątpliwie powinienem pójść i wszystko Bessowi powiedzieć. Ale znajdowałem się w sytuacji bez precedensu. Byłem szpiegiem tych obcych, z którymi chciałem nawiązać stosunki. Jak przyjęto by moją propozycję? Zważywszy całą tradycję SAO? Ale zostawmy już tradycje... chodzi o mnie. Przecież nie mogli, ich zdaniem, przywrócić mi nawet ludzkich kształtów, żebym nie mógł szpiegować na rzecz obcej cywilizacji jako zwykły człowiek. Żebym był łatwy do odnalezienia, gdyby na przykład udało mi się zwać stąd i dotrzeć na Ziemię. Nie, iść do przełożonych oznaczało przekreślić własne przemyślenia. I doświadczenia. A miałem ich więcej od nich. Czasem trzeba coś odczuć na własnej skórze, żeby wiedzieć trochę lepiej niż inni.

Dość. Teraz najważniejsze. Co zatem powinienem zrobić? Co mogę zrobić? Odpowiedź jest tylko jedna. Wydostać się z ekranizowanego pola, przekonać obcych, że nie stała mi się tutaj żadna krzywda, a potem nawiązać z nimi kontakt. To znaczy skupić się, aby myśleć i c z u ć to, co przekona ich o naszych prawdziwych celach i o tym, że możemy być groźni, lecz tylko wtedy,

kiedy zostaniemy zmuszeni do obrony.

Czy zrobię to sam? Czy czuję się na siłach? Nie wiem. Sądzę jednak, że nie powinienem. Nie chodzi o mnie, tylko o nich. Ktoś powinien być jeszcze. Kto?...

– Stawiasz pytania, na które zawsze jest tylko jedna odpowiedź – wymamrotałem pod nosem. Dopiero kiedy umilkłem, zdałem sobie sprawę, że powiedziałem to na głos. Rozejrzałem się odruchowo. W kabinie byłem sam. Ale mogłem być pewny, że nie zostawili mnie bez opieki. Co takiego właściwie powiedziałem? W porządku. Nic się nie stało. Stawiam sobie pytania? Każdy by to robił w mojej sytuacji. Jedyne odpowiedzi? Bardzo dobrze.

Mam, naturalnie, do dyspozycji całą aparaturę stacji. Wszystkie węzły informatyczne, przystawki komputera, broń... teraz dopiero przyszło mi to na myśl. Pobiegłem wzrokiem na półkę przy drzwiach, gdzie zwykle kładłem mój ręczny anihilator. Nie było go tam. Pokiwałem głową. Sam bym go tu nie zostawiał...

Wszystko jest jasne. Wiem, co powinienem zrobić. Bagatela. Wyjść ze stacji, dotrzeć do jednego ze statków, czekających na polu startowym, i odlecieć. Kiedy znajdę się w przestrzeni, już mnie nie dostaną. Wszystkie bojowe statki SAO rozwijają takie same przyspieszenia. I są identycznie uzbrojone. A ze statków nikt nie usuwał przecież anihilatorów. Nie znaczy to, że miałbym ich użyć. Ale w tej sytuacji nikt nie użyje ich także przeciwko mnie. Chyba że Change, na Petty. Tak, to ostatnia rzecz, którą należy przemyśleć. Wystarczy, jeśli nadam odpowiedni komunikat. Dość długo przed lądowaniem, żeby zdążyli zebrać się we wskazanym przeze mnie miejscu. Change będzie się musiał liczyć z ich obecnością. Co innego gdybym był obcym, nie człowiekiem. Ale wobec mnie, przy naukowcach stanie się bezradny. Próba zniszczenia mnie mogła raz na zawsze położyć kres dyskusjom na temat SAO. Koniec. Teraz trzeba się przygotować do wykonania zadania. Etap pierwszy: czekanie. Muszą stać się choć odrobinę mniej czujni.

Następnego dnia poszedłem do Bessa. Powiedziałem mu, że nie chcę siedzieć beczynnie. Jeżeli już mam tkwić zamknięty w pancerzu stacji, to niech przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek. Mogę się zająć badaniami próbek, laboratorium biochemicznym, kontrolą węzłów kriogenicznych, piecami wodnymi, czym tylko zechcą. W końcu nie mogą się użalać na nadmiar rąk do pracy.

Odpowiedział, że zastanowi się i da mi odpowiedź. Dał ją jeszcze tego samego dnia. A ja od razu przystąpiłem do wykonywania prostych czynności, które mi zlecono. Wykonywałem je także następnego dnia. I jeszcze następnego. Pracowałem jak automat. Równocześnie dbałem o to, by możliwie najczęściej znajdować się w liczniejszym towarzystwie. Wręcz pchałem im się przed oczy. Najpierw starali się na mnie nie patrzeć, a potem przywykli. Przestała ich razić moja sierść i cztery ramiona czy raczej dwa garby. A co najważniejsze, przestali mieć mi za złe, że tak się wobec mnie zachowali. Widzieli przecież, że znoszą to spokojnie. Ba, nawet żartowałem.

Pracowałem okrągłe dwa tygodnie. Pewnego dnia sprawdzając przewody dotarłem do śluzy rezerwowego wjazdu, używanego w sytuacjach awaryjnych. Była nie strzeżona. I znajdowały się w niej skafandry z pełnym wyposażeniem. Wbiłem się w jeden, po czym otworzyłem wjazd. Pomyślałem, że idzie mi jak z płatką i że jest to w najwyższym stopniu podejrzane. Z tą myślą ruszyłem ku lądowisku. Spotkałem dwa czy trzy automaty, które posłusznie schodziły mi z drogi. Jednemu z nich kazałem oznaczyć przejście w polu siłowym. Wykonał polecenie, jak zwykle dokładnie i od razu. Dopiero kiedy znalazłem się za barierą siłową, usłyszałem sygnał alarmu. Stałem już jednak na platformie windy, sunącej w górę, ku włazowi. Zanim zdążyli dopaść aparatury i wybrać klawisz statku, do którego trafiłem, odpaliłem dysze startowe. Równocześnie

wyłączyłem zdalne sterowanie i przeprogramowałem komputer. Teraz byłem już bezpieczny. Poszło łatwo. Zbyt łatwo, jak na placówkę SAO. No cóż, aparatura strażnicza nie była przystosowana do działania przeciwko obsłudze stacji.

Uruchomiłem nadajnik i na wszystkich częstotliwościach, zastrzeżonych dla SAO, powiedziałem, co zamierzyłem. Uprzedziłem, że nie będę przechodził na odbiór, więc niech się nie wysilają. Usłyszeli wszystko, co powinni. Wiedzieli dokładnie, jakie mam plany i jak zamierzam je wykonać. Dowiedzieli się także, jak się przed nimi zabezpieczyłem. Oczywiście uzasadniłem swoje postępowanie, dokładnie tak, jak to przemyślałem po rozmowie z Bessem. To im się ode mnie należało. Powiedziałem również, że zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie wziąłem. Przecież od kiedy opuściłem stację, obcy znowu odbierali moje sygnały. Informacje o wszystkim, co robię, myślę i czuję. Zapewniłem, że staram się myśleć o rzeczach przyjemnych, o miłych ludziach i o zaletach, które cenimy w sobie najwyżej, po czym wyłączyłem się. Teraz z kolei porozmawiałem z naukowcami na Petty. Dyżur przy radio miał Leski. Zapowiedziałem, że będę wodował przy bazie, w odległości dwustu metrów od brzegu i żeby na mnie czekali. Nie zdążyłem mu wyjaśnić wszystkiego, ale byłem pewny, że dość było jednej wiadomości, tej mianowicie, że jestem pośrednikiem w kontakcie z obcymi, aby zrobić, co tylko zechcę. Na ostatku wywołałem Change'a. Ten, naturalnie, wiedział już o wszystkim. Mruknął, że nie chciałby być w mojej skórze, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, do jakiego stopnia ta niechęć jest uzasadniona i dodał, że z jego strony nic mi nie grozi. Takie ma instrukcje. Na wszelki wypadek uprzedziłem go jednak, że przed lądowaniem wystrzelę uzbrojone sondy i otoczę się polem siłowym. Jeśli chce wypróbować sprzęt SAO, to oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, ale powinien przyznać mi rację, że lepiej do tego celu nadają się nasze poligony. Skończyłem z nim rozmawiać kilka minut przed lądowaniem.

Zrobiłem dokładnie tak, jak powiedziałem. Wyrzuciłem dziewięć sond i otoczyłem się szczelnym pęcherzem, nie zapominając nawet o strefie podwodnej. Następnie z palcami na wyzwala – czach anihilatorów wodowałem w przewidzianym miejscu, zwracając dziób statku od razu w stronę brzegu. Odczekałem, aż morze wokół mnie się uspokoi i ponownie wezwałem bazę.

Stałem w otwartym włazie i poruszając reflektorem przyglądałem się manewrom małego, pływającego łazika. Jego kabina była odkryta. Arika wierciła się niespokojnie, nieustannie poprawiając włosy, rozwiewane przez wiatr. Głowa Semowa tkwiła za przednią szybą nieruchomo, jakby dziewczyna wiozła mi w prezencie kamienne popiersie.

Mieli trochę kłopotów z dobieciem do statku i wejściem po luźnej sznurowej drabince. Spoczywając w pozycji poziomej rakieta traciła większość drobnych udogodnień, składających się na komfort, do jakiego przywykły załogi statków dalekiego zasięgu. Ukląkłem i pomogłem im wejść, podając rękę najpierw Arii, a potem Semowowi.

Byłem w kompletnym skafandrze, z kaskiem i rękawicami. Jeśli nawet coś zauważyli, mogło to w nich wzbudzić najwyżej niejasne podejrzenia. Ale zbyt byli przejęci sytuacją, by przyglądać się moim plecami czy klatce piersiowej. Przepuściłem ich, pomacałem reflektorem brzeg, policzyłem stojące na plaży postacie, po czym wróciłem do śluzy. Czekali na mnie zaraz na początku korytarza. Zaprowadziłem ich do kabiny pilota i umieściłem w jednym fotelu. Sam stanąłem pod ścianą, poza kręgiem światła. – Potrzebuję waszej pomocy – zacząłem – i jestem pewien, że mi jej nie odmówicie. Ludzie zwykli przecież iść sobie na rękę. A teraz chodzi o to, żeby tę naszą cechę przedstawić innym... to znaczy, żebyśmy się w ogóle im przedstawili... takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Jeśli możecie, powstrzymajcie się od pytań i komentarzy. W

każdym razie niech się wam nie zdaje, że zmieniłem zapatrywania, że odżegnałem się od swojej służby czy coś w tym rodzaju. Nic podobnego. Tak się jednak składa, że bezpieczeństwo wasze i innych zależy teraz od nawiązania Kontaktu, a nie przeszkadzania w nim. To jest wprawdzie tylko moje zdanie... nie mam zgody położonych na to, co robię, niemniej po pierwsze nie myślę się na pewno, a po drugie taka opinia pokrywa się przecież z waszymi przekonaniem... przynajmniej w tym konkretnym wypadku. Mogę na was liczyć?

Wpatrywali się dłuższą chwilę w stronę, gdzie stałem, usiłując przebić wzrokiem cień i odgadnąć wyraz mojej twarzy. Ale z niej niewiele by wyczytali...

– Tak, Ago – odpowiedział wreszcie powoli Semow – o ile, oczywiście, Ziemia nam na to pozwoli...

– Och, Sem – wykrzyknęła Aria – ja... to znaczy jestem pewna, że tak!

Semow uśmiechnął się. Odpowiedziałem mu uśmiechem. Tego jednak nie mógł widzieć.

– Zostałem wysłany w kierunku, w którym szły sygnały nadajników zainstalowanych przez obcych na Petty... i nie tylko tutaj – powiedziałem. – To długa historia i nie wszystko w niej jest ważne. Będę się streszczał – mówiłem cały czas łagodnym, przyjacielskim tonem, podobnie zresztą, jak w czasie łączności z Bessem i innymi. Nie zapomniałem ani przez moment, że jestem na podsłuchu. – Leciałem krótko... jeśli wziąć pod uwagę, że wróciłem tego samego dnia. Ale wiecie przecież, jak to jest. Mogłem być w najdalszej galaktyce. Powróciłem jako szpieg... obcych. Nie przerywaj – powstrzymałem Arię, która, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczyma, chciała coś powiedzieć. – Zaraz skończę. Zrobili to tak, że wykorzystali jakiś układ w naszym organizmie, nadrzędny w stosunku do systemu nerwowego razem z jego wszystkimi polami, neuronami i tak dalej. Krótko mówiąc, przerobili mnie na jedyny w swoim rodzaju nadajnik... organiczny. Wszystko, o czym myślę, co mówię, na co patrzę, każda informacja, jaką odbieram, jest od razu przeze mnie wysyłana tym obcym. Poczekam chwilę, żebyście mogli zdać sobie sprawę, co to oznacza... Umilkłem. Nie na długo jednak. Nie potrzebowali się długo zastanawiać. Żyli przecież myślą o Kontakcie...

– Czy to pewne? – spytał krótko Semow.

– Pewne. Przewidziałem także, że mi nie uwierzycie. Że będziecie podejrzewać jakieś nowe środki, podjęte przez SAO. Mam na to odpowiedź. Niczym nie ryzykujecie. To znaczy wy, jeśli mi pomożecie. Bo ja i tak przekazuję te wiadomości. A od was zależy, jakie one będą. Natomiast czy wasza odmowa może mieć wpływ na ograniczenie lub rozszerzenie naszej ingerencji?...

– Powiedz, Ago – nie wytrzymała Arika – co mamy zrobić? Dlaczego jesteś w skafandrze i kryjesz się w cieniu?

– Po kolei – mruknąłem. – Przede mną poleciał ktoś inny i wrócił pozbawiony pamięci. Na szczęście przed startem zdjęto mu zapis osobowości, tak że teraz jest znowu sobą – nie chciałem przecież im mówić wszystkiego. – Otóż ze mną było to samo – ciągnąłem. – Pamięć mi przywrócono... ale tylko pamięć. Przypominacie sobie ten statek, ten obcy wrak, który spotkaliśmy w przestrzeni, kiedy leciałem razem z ostatnią grupą na Petty? Na pokładzie tego wraku był martwy od... no, w każdym razie od bardzo dawna, pilot. Wyglądał jak małpa. Porośnięty sierścią, miał garby z przodu i z tyłu, po sześć palców i różne inne ciekawe rzeczy. Więc kiedy leciałem, poddano mnie operacji...

– Myśmy takiego widzieli! – wykrzyknęła Aria. – Ty nie wiesz, ale zanim przyleciałeś na Petty, żeby nas pilnować...

– Wiem – przerwałem. – Muszę cię rozczarować. To byłem ja. Przyleciałem tu wtedy... powiedzmy, incognito. Już po operacji plastycznej. Chodziło o to, żebyśmy mogli zbliżyć się do

obcych... jeśli rzeczywiście penetrują tę planetę. Wylądowali koło waszej bazy i musiałem działać szybko. Zbiegłem im drogę, jeśli można się tak wyrazić. A potem...

– To ty – w głosie Arii zaskoczenie ustąpiło miejsca oburzeniu – pokazałeś nam...

– ... język? – dokończyłem. – Ja. Głupi kawał. Chciałem was trochę ostudzić w waszym zapale...

– To ci się udało – mruknął po chwili kwaśnym głosem Semow. – Nie tyle może jeśli chodzi o nas, co o nich. Od tamtego dnia przestali się pojawiać na planecie...

– Mieli jeszcze inne powody – odparłem. – Wyłączyliśmy ich nadajnik, ten w ruinach, a w ich kierunku wystartował z naszej stacji pilot... mniejsza z tym. Tamte sprawy należą już do historii. Teraz trzeba wszystko naprawić. Zaraz wam się pokażę... bo to będzie pierwsza rzecz, o którą was poproszę...

Zacząłem, ściągać skafander. Zdjąłem kask, zrzuciłem bluzę i zrobiłem kilka kroków do przodu. Wszedłem w krąg światła...

– Och, tak! – wykrzyknęła Aria. Dłuższą chwilę panowała cisza.

– Skąd mamy wiedzieć – odezwał się wreszcie półgłosem Semow – że jesteś tym samym Ago, który spędził z nami kilka dni na Petty?

– Spytaj jej – odrzekłem z pewnością, która przysłała mi nie wiadomo skąd. – Ona ci powie. Jak, Aria?...

– To jego głos – odpowiedziała zacinając się. – Ale...

– Halo, Ago – zabrzmiało nagle z głośnika. Uśmiechnąłem się. Czekałem na to. Musieli przemówić. A ja musiałem ich do tego sprowokować. Operację mogli przecież przeprowadzić tylko ci, którzy wiedzieli, o co chodzi...

– Słucham, Bess? – rzuciłem pogodnie. – Przysłuchujesz się naszej rozmowie? Ty także? – podkreśliłem ostatnie słowo.

– Tak – warknął. – Ja także. Możesz teraz ty przez chwilę posłuchać?

– Z największą przyjemnością – przystałem.

– Mam ci przekazać decyzję sztabu. Zgadzą się na operację. Wróć tutaj i jeszcze tego samego dnia...

– Słuchaj, Bess – roześmiałem się głośno. – Obiecałem ci nie przerywać, ale nie przypuszczałem, że to mają być żarty. Kiedy zaczniesz mówić poważnie, przysięgam, że będę siedział jak trusia...

Semow i Aria spojrzeli po sobie. Dziewczyna zagryzła wargi. Nie byli przyzwyczajeni do takiego tonu... nawet w moich ustach.

Głośniki milczały dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie odezwały się, znowu, głos Bessa tchnął lodowatym zimnem.

– Kiedy chcesz, żeby przylecieli?

– Dzisiaj.

– U was jest już prawie noc. Co to znaczy dzisiaj?

– Droga nie zajmie im więcej niż dwie godziny... z przygotowaniami. Poczekam. Nie jestem śpiący...

– Dobrze.

Nasłuchiwałem jeszcze jakiś czas, ale głośniki umilkły na dobre. Wtedy wycofałem się do cienia, aby nie widzieli mego uśmiechu. Pamiętałem, jak w tym grymasie wygląda moja obecna twarz.

– Widzicie – rzuciłem lekko – jedna sprawa rozwiązała się sama. A właściwie dwie. Zdobyłeś odpowiedź – zwróciłem się do Semowa – na swoje pytanie, czy jestem rzeczywiście tym Ago,

którego znacie, a także, co ważniejsze, już jutro będę miał normalną ludzką postać... jaka by tam ona była. Miałem zamiar prosić was o pośrednictwo w sprawie tej operacji, ale to okazało się zbyt trudne. Oczywiście mógłbym problem załatwić sam, tylko że gdybym próbował połączyć się z Ziemią, postawiłbym na nogi całą prasę i narobił okropnego szumu. Co innego wy..., macie przecież swoje zastrzeżone kanały. Na szczęście to mamy za sobą. Teraz najważniejsze. Chciałbym zorganizować konferencję teoretyczną... z udziałem was wszystkich. Nie chodzi o jakiś określony temat. To powinien być sumaryczny wykład dotyczący ziemskiej cywilizacji. Historii, stosunków społecznych, etyki, procesów rozwojowych... jak najmniej techniki – zastrzegłem się.

– Jednak pozostajesz agentem – wtrącił z przekąsem Semow.

– Jestem nim – zapewniłem. – I to także powinniśmy wziąć na warsztat. O co mianowicie chodzi takim jak ja. Z SAO, a szczególnie z „Trójki”. Muszą zrozumieć, że troszczymy się

wyłącznie o bezpieczeństwo... tylko trzeba, żebyście przedtem zrozumieli to i wy. Ale wymiana poglądów na ten temat nie zaszkodzi. Zamierzam nawet zaprosić któregoś z tych, którzy przybędą z naszej stacji. Przyjdzie także Change... a propos, jak wam się z nim żyje?

– Robi swoje... – odpowiedział po chwili bez przekonania Semow.

Zaśmiałem się.

– To już postęp – stwierdziłem. – Dawniej uważalibyście tylko, że przeszkadza. Czy Aria i na jego cześć wygłosiła mowę?

– Na twoim miejscu... – zaczął niechętnie Semow, ale nie pozwoliła mu skończyć,

– Zostaw, Sem – syknęła. – My go obchodzimy tylko o tyle, o ile możemy mu pomóc... w jego służbie. Zostaw, bo naprawdę wygłoszę mowę... – uśmiechnęła się z przymusem.

Zrobiło mi się przykro. Przypomniałem sobie tamten wieczór... mniejsza, co sobie przypomniałem.

– Przepraszam – mruknąłem – już nie będę. Nawiasem mówiąc – dodałem niespodziewanie dla samego siebie – to wcale nie miało być złośliwe. Ja... – urwałem. Przyszło mi przez myśl, że to, co chciałem powiedzieć, spodobałoby się pewnie obcym. Ale nie o obcych mi chodziło... no, dobrze.

– No, dobrze – zabrzmiało to może odrobinę zbyt głośno. – Wróćmy do rzeczy. Wiec chcę, abyśmy porozmawiali o Ziemi... wiedząc, że tamci odbierają wszystko, co mówimy i wszystko, co ja będę o tym myślał. A także co będę czuł. Musicie sprawić, abym myślał i czuł, co trzeba. Dlatego potrzebuję obecności naukowców... humanistów, słowem – was. Z waszymi przekonaniem, stosunkiem do ludzi i innych istot, zasiedlających kosmos. Oczywiście mógłbym się przed pierwszym lepszym bębniem pamięciowym komputera, odpowiednio zaprogramowanym, i przekazać im uczony wykład o Ziemi. Ale to byłoby... suche. Tymczasem sami stwierdziliście, że temu komuś, kto się nami zainteresował, chodzi o coś więcej. Pamiętasz, jak mnie przekonywałaś? – zwróciłem się do Arii. – No, rozchmurz się już – dodałem, widząc, że dziewczyna po ostatnim moim wystąpieniu siedzi bez ruchu, z obrażoną miną.

Semow spojrzał na nią szybko, po czym przeniósł wzrok z powrotem na mnie i uśmiechnął się. Odetchnąłem.

– Więc jutro? – spytałem. – Około południa, dobrze? Przygotujcie się. Będę ja, Change, może jeszcze ktoś z SAO... nie krępujcie się. Powinno dojść do wymiany zdań... przecież nasze prawdziwe cele nie wystawiają nam wcale świadectwa, którego powinniśmy się wstydzić.

Semow wstał. Spotkanie dobiegało końca.

– Jeśli chodzi o mnie – powiedział z westchnieniem – nie widzę przeszkód, żeby zrobić tak, jak

mówisz. Ale ja sam nie mogę o tym decydować. Porozmawiam z innymi... a potem porozumiemy się z naszymi Instytutami na Ziemi. Poprosimy ich o zgodę i o... sugestie. Sprawa jest zbyt poważna, żeby ta... nazwijmy to tak, wymiana zdań mogła mieć charakter zupełnie przypadkowy. Osobiście sądzę, że najważniejsze będzie odpowiednie przedstawienie naszej dynamiki społecznej... teraz i na przestrzeni naszego rozwoju. Nauk politycznych... historii, walki o rozpowszechnienie idei naukowego socjalizmu. Ale do tego muszą dojść dzieje zdobywania przez nas wiedzy o nas samych. Takie jest moje zdanie... w tej chwili. Kierownictwa Instytutów z pewnością zechcą się także porozumieć z Radą Naukową... jeśli sprawa ma dotyczyć Ziemi w ogóle. Odpowiedź prześlemy ci, jak tylko sami będziemy coś więcej wiedzieć... zresztą jesteśmy przecież w stałym kontakcie. Masz nas na podłuchu?

– Oczywiście – powiedziałem. – Pamiętajcie o tym, kiedy będziecie się naradzać. Wszystko, cokolwiek usłyszę, dojdzie także do uszu tamtych... jeśli mają uszy. Mógłbym, oczywiście, wyłączyć głośniki, ale nie chcę. Nie powinniśmy teraz sprawiać wrażenia, że coś ukrywamy. Jeśli ci obcy są tak rozsądni, za jakich ich uważamy, to już ta nasza rozmowa dała im z pewnością trochę materiału. A teraz idźcie. Szkoda czasu. Nie zostało go zbyt wiele...

Semow spojrzał wymownie na Arikę. Ta, ociągając się, wstała i ostatni raz spojrzała na mnie, marszcząc zabawnie brwi.

– Chcesz, żebyśmy przyszli w komplecie? – spytała, wyęzając wzrok, żeby ujrzeć moją ukrytą w ciemności twarz. – Także Beccari i Zamfi?

Musiałem się uśmiechnąć.

– Oczywiście – powiedziałem. – Są przecież jeszcze tutaj... i o ile wiem, nie wybierają się nigdzie... na razie. Niech powiedzą o swoim nieszczęściu, a ja wytłumaczę, dlaczego ich ono spotkało. Czy sądzicie, że obcy, słuchający nas teraz, żeby byli nie wiem jak przyjacielscy i poczciwi, latają sobie po wszechświecie bez żadnej broni, że nie podejmują najmniejszych środków ostrożności w przekonaniu, że gdziekolwiek się pojawią, przyjmą ich z otwartymi rękami? Nie bądźcie naiwni... przynajmniej już teraz. Idźcie. Pomogę wam zejść do łazika...

Semow położył Aarii rękę na ramieniu i pchnął ją delikatnie w kierunku drzwi. Poszedłem za nimi, tym razem już bez skafandra. Kiedy stałem w otwartym włączniku i patrzyłem, jak odpływają, uderzyło mnie światło. Pokiwałem z naganą głową. Wróciłem do kabiny i usiadłem przed pulpitem łączności.

– Widziałeś, Change? – spytałem. – Było dość jasno?

– Widziałem – odpowiedział. – Nie przypuszczałem...

– Nie mówili ci? – zaśmiałem się. – Miałeś szczęście. Mogłeś wyglądać dokładnie tak samo. To nawet jest przyjemne w dotyku, ale nie mamy łóżek... rozumiesz? Te garby...

– Nie wygląda na to, żeby ci bardzo przeszkadzały – z brzmienia jego głosu wywnioskowałem, że się uśmiecha. – A co na to dziewczyny?

– Zobaczysz – mruknąłem z mimowolną niechęcią. – Słyszałeś wszystko? – zmieniłem temat.

– A jak myślisz?

– Będziesz jutro?

– Porozumiem się z Bessem.

– On nie będzie miał nic przeciwko temu. Prawda, Bess? – rzuciłem przed siebie.

W głośniku coś zachrobotało.

– Masz zamiar udawać, że cię tam nie ma? – spytałem. – Cóż to znowu? Stajesz się nietowarzyski...

– Musiałem wyjść na chwilę – głos Bessa był lekko zachrypnięty. Słyszałem jego oddech.

– Nie trzeba było tak się śpieszyć – skarciłem go. – Change chce wiedzieć, czy pozwolisz mi jutro przyjść do mnie na kawę... razem z innymi.
– Oczywiście – burknął. – Sam tam będę...
– Słyszałeś, Change? – zaśmiałem się krótko. – Możesz spać spokojnie. Oni wszystko za ciebie załatwią...
– Nie bądź taki pewny – mruknął i przerwał łączność. W moim pulpicie zgasło jedno z wielu zielonych światełek. Ale nie te światelka były teraz ważne. Chodziło o łączność, której nie byłem w stanie przerwać, której nie chciałem przerywać, a o której istnieniu nie informowała żadna lampka ani w ogóle nic uchwytnego naszymi zmysłami. Jutro...

Nie potrzebowali nawet dwóch godzin. Uznałem, że sprawy zaszły już za daleko i poinformowałem ich, że mogą lądować nawet metr przy mnie, bo wyłączam stabilizatory pola. Po czym wyłączyłem je rzeczywiście. Mimo to usiedli pół kilometra dalej. I minęło jeszcze dalsze pół godziny, zanim od ich statku odbił wielki, opancerzony pojazd i skierował się w moją stronę.

Czekałem na nich, stojąc jak przedtem w otwartym włazie. Pomagałem im gramolić się na pokład. Przyleciało ich czterech. Nie było z nimi Bessa. Widać, uznał swoją obecność przy wymuszonym na nich zabiegu za zbyt dużą. Przybędzie pewnie wprost na tę, jak to nazwałem, konferencję.

Wpuściłem ich wszystkich bez ceregieli. Zatrzymałem tylko na dole automaty, które przywieźli ze sobą. O nic mnie nie pytali, a i ja nie miałem ochoty na pogawędki. W milczeniu obserwowałem przygotowania, które nie trwały zresztą zbyt długo. Przeprogramowali komputer, opletli całą kabinę siatką jakichś cienkich jak włosy przewodów, po czym zajęli się przystawką medyczną mojego statku. Wreszcie oświadczyli, że dwa z automatów, które przywieźli ze stacji, są im niezbędne dla zabezpieczenia przebiegu operacji. Jeden, z zapisem mojej przyrodzonej fizjonomii, miał kontrolować, czy nie upiększą mnie nadprogramowo, skracając mi nos lub dodając włosów na głowie, drugi był ponoć ostatnim osiągnięciem inżynierii chirurgicznej. Pozwoliłem im wezwać oba. Zaraz potem ułożyli mnie w fotelu. Przypominałem, na wszelki wypadek, żeby uważali, bo wszystko, co czuję, przekazuję innej rasie kosmicznej i jeśli na przykład wrzasnę z bólu, skompromitują się przed całym wszechświatem. Następnie spokojnie zasnąłem.



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 6

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TextColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 8

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BGColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')"  
onMouseOut="nd();">
```

Kłócili się jeszcze stojąc w otwartym włazie i zapraszając się wzajemnie do zejścia po chybotliwej drabince. Grubas z okularami, siedząc już w swoim pływającym łaziku, wykrzykiwał coś z otwartej kabiny do kołyszącego się opodal na falach pojazdu bazy. Odpowiadał mu podniecony głos Wardy, któremu od czasu do czasu śpieszył z pomocą Offian. Poszło o klasyfikację procesów przystosowawczych, ale obecnie żaden z nich nie pamiętał już swojej wyjściowej tezy, przeskakiwali od jednego etapu argumentacji do drugiego, jakimś cudem zawsze jednak zaczepiając nawzajem o swoje myśli.

– Teraz nic nie mów – poradził Barcew, schodząc po ruchomych szczeblach i podtrzymując idącą za nim Lane. – Woda ciepła, ale za dużo ludzi na plaży...

Lena roześmiała się i zgrabnie wskoczyła do jednego z łazików, omal nie wywijając z nim kozła na szczycie łagodnej fali.

Wreszcie mój statek opustoszał. Pozostało nas czworo: Arika, Bess, Change i ja. Spojrzeliśmy po sobie, po czym zwróciłem się do dziewczyny:

– Co robisz dziś wieczór?

Uśmiechnęła się.

– Zaczynasz tak, jakbyś mi chciał zaproponować teatr, a potem któryś z letnich kabaretów. Gdzie chodziłeś zwykle?

– Nigdzie – mruknąłem i była to najświętsza prawda. Nawet wtedy, kiedy... zostawmy to.

– Będzie zajęta – mruknął Bess, krzywiąc twarz w wyrazie, który u niego oznaczał szczytowe nasilenie życzliwości i dobrej woli.

– Jej towarzysze zaprosili nas na kolację – wyjaśnił. – Kilku specjalistów zostaje także. Arika będzie grać na cytrze i tańczyć...

– Czy wy wszyscy jesteście tacy sami? – przerwała patrząc, nie wiadomo dlaczego, na milczącego Change'a.

– Prawie wszyscy – mruknął zagadnięty. – I prawie tacy sami – dodał z namysłem. Spojrzałem na niego z zainteresowaniem. Sam nie wymyśliłbym innej odpowiedzi.

– Kto zostaje? – spytałem, wodząc po nich oczami. – Czy z okazji tej kolacji wyłączysz dzisiaj pole? – spojrzałem na Change'a. Ten utkwiał z kolei pytający wzrok w Bessie.

– Tak – odpowiedział krótko szef. Change skinął potakująco głową.

– W takim razie wpadnę do ciebie, jeśli pozwolisz – powiedziałem do dziewczyny, uśmiechając się. – Powinienem ci podziękować – ciągnąłem – i nie tylko ja. Niestety oni – wskazałem obecnych mężczyzn – zdadzą sobie z tego sprawę dopiero za jakiś czas. Nie powinnaś brać im tego za złe...

– Chodź, Change – burknął Bess, wkładając nogę w pierwszy szczebel drabinki. – Jeszcze nie wiadomo, co z tego wyniknie – posłał mi z dołu znaczące spojrzenie. – Nic cieszyłbym się zanadto... na wyrost.

– Nie wiadomo – przyznałem. – Ale coś już osiągnęliśmy. W każdym razie ja osobiście mam swoje powody, dla których w tej chwili staram się nie myśleć o rzeczach przykrych...

– Masz je istotnie – głos Bessa dobiegł spod kadłuba statku. Za moment usłyszałem głośniejsze chlupnięcie. Był już w swoim janusie, którego zabrał, przyleciawszy dziś rano.

– Poczekaj – wstrzymałem Change'a, kiedy chciał pójść w ślady Bessa. – Przepuść dziewczynę...

Change usunął się posłusznie.

– Proszę – powiedział spokojnie. – Myślałem, że zostajesz..., – wyjaśnił.

– Ja też tak myślałam – parsknęła Aria. – Ale po zastanowieniu zmieniłam zamiar. Tylko nie

skacz za mną – uśmiechnęła się z przymusem – jeśli przypadkiem wpadnę do wody. Na dłuższą metę to stałoby się nudne... – przysiadła i błyskawicznie zniknęła nam z oczu. Ześliznęła się dwa szczeble, ale udało jej się zatrzymać. Po chwili widziałem już tył jej czarnej główki w otwartej kabinie łazika. Nie odwróciła się ani razu.

– Musisz mieć swoje powody... – mruknął Change, wzywając pojazd, który czekał w pewnej odległości od statku. – Narobiłeś trochę zamieszania... – dodał od niechcenia. – A mnie...

– A tobie kłopotów – podchwyciłem. – Dzisiaj nie będzie pola siłowego... i coś mi mówi, że nie założysz go także ani jutro, ani w ciągu najbliższych dni. Więc sarn musisz zrezygnować z tej kolacji i spacerków...

– To najmniejsze... – mruknął, wkładając nogę w drabinkę. – Cześć.

– Cześć...

Zostałem sam. Postąłem jeszcze chwilę, wodząc wzrokiem po linii brzegu, odprowadziłem znikające za niskimi wydmami figurki ludzi, po czym nie zamykając włązu poszedłem do kabiny, wyciągnąłem się wygodnie w fotelu i głęboko zaczerpnąłem powietrza.

Byłem zadowolony, jeśli to odpowiednie słowo. Osiągnąłem, co chciałem. Co w ogóle było do osiągnięcia. Obcy, jeśli całe moje rozumowanie nie było pomyłką, wiedzą już, z kim mają do czynienia. Nie jesteśmy bezmyślnymi popychaczami cywilizacji. Nie żywimy złych zamiarów. Chcemy wiedzieć... ale nie za wszelką cenę. To, że cenimy w sobie nawzajem takie, a nie inne wartości, wystawia nam dobre świadectwo. Zbyt dobre, gdyby ktoś chciał na tym ubić interes. Ale i z tego zdajemy sobie sprawę. Mamy SAO, są wśród nas tacy jak Bess, Change, ja...

Nasza historia jest tragiczna i zawiła. To co?

Jej głównym nurtem były zawsze wysiłki najlepszych ludzi... na rzecz ogółu. Czy tamci rozwijali się bez wstrząsów i niepokojów, jak roślina w nasłonecznionym, osłoniętym od wiatru i w miarę wilgotnym miejscu? Jeśli tak, nie będziemy sobie nimi zawracać głowy...

Powiedzieli wszystko. Początkowo to jedyne w swoim rodzaju spotkanie przebiegało sztywnie i pompatycznie. Nie trwało tak jednak długo. Rozkręcili się. Zapomnieli, że są na podsłuchu.

O to mi właśnie chodziło. Tylko ktoś źle życzący naszej cywilizacji mógłby ją prezentować wyłącznie od strony oficjalnej. Kiedyś... kiedyś było inaczej. Na szczęście dawno.

Zamknąłem oczy. Dobre kilka minut trwałem bez ruchu, nie myśląc o niczym. Ogarnął mnie spokój. Nigdy jeszcze nie byłem tak spokojny. Odniosłem wrażenie, jak gdyby pancierz kabiny, w której się znajdowałem, nagle stopniał, zniknął, pozostawiając mnie wolnego w wolnej przestrzeni. Przestrzeni nie objętej wzrokiem, zmysłami, nawet rozumem... zaledwie przeczuwanej. Pode mną nie było już morza, nade mną chmur ani atmosfery, wokół żadnego ładu...

Zacząłem marzyć. Nie przeszło mi przez myśl, że nie zdarzyło mi się to od czasu dzieciństwa. Widać, teraz zaszło coś, co spłukało ze mnie cały osad minionych lat, z ich doświadczeniami, zgrzyotami i radościami. Co uwolniło moją pamięć od wszystkich zakodowanych w niej informacji... poza świadomością własnego istnienia w nieogarnionej myślą przestrzeni. Uśmiechnąłem się do siebie, do tej przestrzeni i do wszystkiego, co mogło w niej istnieć. Ten uśmiech nie uleciał z mojej twarzy nawet wtedy, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że dzieje się ze mną coś niezwykłego.

Byłem czysty. Wolny od trosk, wspomnień, myśli o jutrze, wyzwolony z własnej pamięci. Tabula rasa. Minęło jeszcze kilkadziesiąt sekund, zanim dotarło do mojej świadomości, że na tej tablicy ktoś zaczął właśnie pisać. Dziwne, niezrozumiałe znaki, frapujące, fascynujące nawet, pozornie pozbawione treści, niosące jednak określony klimat, utrwalając nastrój łagodności,

ciszy, odprężenia. Aż nagle w tym płynnym, nieokreślonym strumieniu, przepływającym przez moją wyobraźnię, zaczęły się formować jakieś konkretne kształty. Uśmiechałem się nadal, ale zacząłem myśleć.

Przestrzeń przemawia. Oderwanie się od rzeczywistości zaprowadziło mnie daleko... bardzo daleko. Ale nie były to wszystkie możliwe punkty w kosmosie naraz. Nie. Kształty, powstające w moich myślach, zamieniały się w konkretne informacje. Najpierw gwiazdy w otoczeniu innych. Rozpoznałem je. Jedno z dalszych skupisk na drodze do Messier 13. Ze słońcem, jaśniejszym od innych, które nagle zaczęło rosnać mi w oczach, zbliżać się... zanim jednak jego blask stał się zbyt silny, obraz zmienił się. Ujrzałem wirującą w ciemnym granacie błękitnoseledynową planetę... przesłoni ją nagle bliski zarys jakiejś postaci. Jej kontury wypełniały się szybko. Ujrzałem twarz... uśmiech...

Wiedziałem już. Wiedziałem od dobrej chwili, ale teraz dopiero uprzytomniłem to sobie z całą wyrazistością. Przestałem być szpiegiem obcych... tutaj. Role się odwróciły. Inaczej mówiąc mój system nerwowy, czy ten jakiś nie znany „naszym specjalistom” układ nadrzędny, z nadajnika przekształcił się w odbiornik. Widać liczyli się z takim obrotem sprawy. Stałem się znowu człowiekiem „Trójki”. Przynosiłem wiadomości z obcej cywilizacji. To nic, że tych wiadomości udziela mi ona sama. Jako agent, wypełniłem moje zadanie. Miałem rację.

Teraz już w ułamkach sekund spadał na mnie cały deszcz informacji. Nie, nie myliło nas przecucie o stopniu zaawansowania tej cywilizacji. Ani jej drodze rozwojowej. Była dłuższa niż nasza. Nie o tyle jednak, żeby uniemożliwić Kontakt... a nawet wymianę.

Z każdą chwilą wiedziałem o nich więcej.

O ich dynamice społecznej, socjologii, psychologii, normach etycznych, prawnych, o biologii i kształtowaniu procesów przystosowawczych. O tym, jak odnoszą się do eksploracji kosmosu... I co już osiągnęli na tej drodze. W pewnym momencie stała się dla mnie jasna zagadka umarłej cywilizacji Petty i jej analogii... no, powiedzmy, pewnych zbieżności z historią kultury materialnej Ziemi. Poznałem los istot, tak do nas niepodobnych jak ja sam przed ostatnią operacją. Historię owego martwego pilota, wędrującego we wraku statku przez nieskończoną przestrzeń. Wreszcie dotarliśmy tutaj, do Petty, gdzie oni rzeczywiście bywali... nieraz.

Powinienem być dumny. Udało się. Chociaż Kontakt w dalszym ciągu zależy od nich, a nie od nas, to jednak kiedy do niego dojdzie, nie będzie niebezpieczny. Spełniłem swoje zadanie. Może nawet więcej?

Jednak nie czułem dumy. Można by sądzić, że ów nagły przyływ informacji wprowadził mnie w stan podniecenia, niepokoju, gorączkowego szukania sposobu, który pozwoliłby mi zapamiętać... Mc podobnego. Po pierwsze nie wiadomo skąd wzięła mi się pewność, że nie zapomnę. Po drugie wiedziałem, że to dopiero pierwszy seans, że po nim przyjdą następne. Dlatego nawet nie pomyślałem o sprzężeniu z bębniem pamięciowym komputera. Ani też nie pozwoliłem wytrącić się z równowagi. W dalszym ciągu czułem się lekki i jakby zawieszony w otwartym polu. I cały czas nie przestawałem się uśmiechać.

Wreszcie oprzytomniałem. Nadal przepływał przeze mnie ten jakiś niezrozumiały, pogodny strumień, ale nie niósł on już nowych informacji. Powoli wracałem do rzeczywistości. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się. Nic dookoła mnie nie uległo zmianie. Kabina, urządzenia, sprzęty... A jednak wszystko wydawało się inne. Odetchnąłem głęboko. Czy mi uwierzą? Niektórzy może nie. Ale wysłuchać, wysłuchają. Bądź co bądź mam im do przekazania rzeczy w całym tego słowa znaczeniu ciekawe...

Wstałem i niespiesznie poszedłem ku włazowi. Zatrzymałem się na jego progu i przez dłuższą

chwilę wodziłem wzrokiem po wybrzeżu, z widocznymi jak na dłoni zabudowaniami bazy, po krajobrazie Petty, do linii horyzontu. Następnie uniosłem głowę wyżej. Znowu musiałem się uśmiechnąć. Nie był to jednak uśmiech o, taki sobie. Przeznaczyłem go dla kogoś konkretnego...

Przywołałem łazika, zląłem do niego i bardzo powoli ruszyłem w stronę brzegu. Idąc po sypkim piasku plaży w stronę bazy, uśmiechałem się nadal,

W salce, na wprost wejścia, panował tłok. Na mój widok umilkli, ale zaraz znowu wrócili do przerwanych rozmów. Nie zwracając na nich uwagi, podszedłem do Ariki. Uniosła głowę i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma. – Muszę z tobą porozmawiać – powiedziałem półgłosem. – Możesz wyjść?

Patrzyła na mnie jeszcze chwilę, po czym bez jednego gestu wstała i skierowała się ku drzwiom. Poszedłem za nią. Zaraz za progiem zatrzymała się, mierzając mnie pytającym wzrokiem. Minąłem ją i szedłem dalej, w stronę morza. Słyszałem za sobą szelest jej kroków na piasku.

Doszedłem do miejsca, gdzie załamywały się fale, i stanąłem. Odwróciłem się do niej i przestałem się uśmiechać.

– Podejdź bliżej.

Zrobiła dwa kroki do przodu i zatrzymała się znowu.

– Bliżej – powiedziałem ciszej.

Zawahała się przez moment, ale usłuchała. Stała przede mną tak, że mogłem ją objąć. Zrobiłem to. Nie opierała się. Zesztywniała tylko, jakby na coś czekając.

Pochyliłem się i pocałowałem ją. Przygarnąłem ją mocniej i pocałowałem po raz drugi. Teraz jej wargi odpowiedziały mi leciutkim drgnieniem. Nie chciałem więcej. Nie wypuszczając jej z ramion, odchyliłem do tyłu głowę i spojrzałem jej w oczy.

– Dziewczyno – powiedziałem – wiesz, co to było?

Zarumieniła się. Milczała.

– Nie wiesz – uśmiechnąłem się, – Nie możesz wiedzieć. Przyszedłem tutaj specjalnie po to. To był pocałunek gwiazd. Naprawdę. Przesłali ci go za moim pośrednictwem ci, których tak bardzo chciałaś poznać. I nie myśl, że żartuję... albo że to tylko słowa, jakie wypowiada się, spotykając z dziewczyną. Tak jest naprawdę...

Przez jej drobną twarz przeleciał leciutki grymas. Zaraz potem w kącikach warg zaznaczył się ślad uśmiechu.

– Stamtąd, gdzie byłeś? – spytała, przekrzywiając przekornie główkę.

– Tak – odpowiedziałem poważnie. – Ale w dalszym ciągu nic nie rozumiesz. Zrobiłem dla ciebie więcej, niż ktokolwiek kiedykolwiek zrobił dla dziewczyny... której się nie podoba. Przyszedłem do ciebie pierwszej, pierwszej, rozumiesz?... żeby ci powiedzieć, że nawiązałem Kontakt z obcą cywilizacją. Normalny, rzetelny Kontakt, żadne świetliste koła, dyski i włochate stwory wywalające na was języki. Informacje. Od nas do nich i od nich... informacje zupełnie wystarczające, jak na nasze pragnienie poznania. Twoje przede wszystkim. Tak to jest...

Wyrwała mi się z ramion, cofnęła się i wydała cichy okrzyk. Jej oczy zabłyśły przez moment, po czym zaraz przygasły.

– Jeśli to żarty... – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

– Za pół godziny będą o tym wiedzieć wszyscy. Przynajmniej ci tam – wskazałem brodą dach bazy. – Potem przekaże, to, czego się dowiedziałem, całej Ziemi. Ale przez najbliższe minuty wiemy o tym tylko ty i ja. Nie, teraz nie powiem ci o nich nic – dodałem szybko widząc, że otwiera usta. – Pamiętasz, co mówiłem o sobie... jak mnie „przerobili” wysyłając w powrotną

drogę? Że urządzili sobie ze mnie nadajnik, żebym przekazywał im informacje o nas? Otóż okazało się, że mogę działać, jeśli wolno tak powiedzieć, w obu kierunkach. Nadajnik przeobraził się w odbiornik. Wykorzystali go, żeby nam przesłać komplet informacji o sobie. Myślę, że to dopiero pierwsze stadium naszej... znajomości. Ale musisz uzbroić się w cierpliwość. O tym, czego się dowiedziałem, będę mówił wobec wszystkich. Uważam, że to się należy... każdemu człowiekowi na Ziemi. Żeby nie było nikogo, kto dowie się później. A tobie, teraz, powiedziałem tylko, co się stało... i nie uważam, żeby to było mało. A nie zająknę się nawet o tym, co już o nich wiem, także i dlatego, żebyś nie pomyślała, że ten pocałunek naprawdę był tylko od nich. Rozumiesz?...

Stała jeszcze chwilę nieruchomo, po czym skoczyła do przodu i zarzuciła mi ramiona na szyję. Mocno przywarła mi policzkiem do ramienia. Jak to jednak dobrze mieć zwykłe, męskie ramiona, choćby tylko dwa, normalną gładką skórę i ręce o pięciu zaledwie palcach.

Rozejrzałem się. Brzeg morza był wymieciony z ludzi. Change gdzieś zniknął, pewnie czuwał przy swoich automatach. Inni nie ruszą się przed północą.

Opuściłem wzrok. Natrafiłem na czarne jak przestrzeń włosy, z lekkim, granatowym połyskiem. Tak zmienia się próżnia, kiedy człowiek wkracza w sąsiedztwo atmosfery, co zawsze oznacza powrót... choćby do obcego świata. Bo dla pilota to także jest powrót. Uśmiechnąłem się i dotknąłem wargami tych włosów. Przestałem się rozglądać.

– Urządzicie mi tutaj studio – ciągnąłem – i zapewnicie odbiór przez wszystkie stacje na Ziemi. Chcę, żeby mnie widzieli, kiedy będę mówił. Inaczej nie potrafię nikogo przekonać... rzecz jest, mimo wszystko, dość niezwykła... – uśmiechnąłem się szeroko, wodząc wzrokiem po ich skamieniałych twarzach. Wszyscy, ilu ich było, wytrzeszczali na mnie oczy. Najwyraźniej nie znajdowali słów. Niektórzy ich chyba nawet nie szukali.

Pierwszy ocknął się Offian. Westchnął głęboko, przejechał dłonią po swojej białej czuprynie, po czym powiedział zachrypniętym głosem:

– Brzmi to wszystko fantastycznie... ale już dawno nauczyliśmy się nie lekceważyć fantazji... jakie rodzi wyobraźnia człowieka. Jesteś pewny, że się nie mylisz?

– Nie myślę się – odpowiedziałem. – Zresztą rzecz jest do sprawdzenia. Jeśli potrafiliście – – poszukałem wzrokiem łysego grubasa z Akademii SAO – stwierdzić, że nadają sygnały, to powinniście także umieć przechwycić te, które stamtąd płyną do mnie. Wasza aparatura jest dostatecznie uniwersalna... tak przynajmniej zawsze słyszałem. Proponuję, żebyście zainstalowali swoje anteny w moim statku... będę tam siedział, aż dojdzie do tego wykładu, który mam zamiar wygłosić... przed pełną widownią.

Bess poruszył się niespokojnie w swoim fotelu.

– Czy te wiadomości – zaczął marszcząc brwi – nie będą zbyt... szokujące? – burknął bez przekonania.

– Co przez to rozumiesz? – spytałem. – A raczej czemu nie powiesz wprost, że znowu czegoś się boisz. Czego? Przecież zawsze będziecie w stanie wytłumaczyć ludziom, że opowiadam takie sobie bajeczki... bo przed czym innym mielibyście ich ochronić? Przed wiadomościami? Jeśli okażą się niebezpieczne, to będzie to tylko woda na nasz młyn. Cóż bardziej umocni pozycję SAO? A jeśli nie, to także potraficie przekonać, kogo trzeba, że chodzi o jedną tylko cywilizację, jedną jedyną z miliardów możliwych i że spotkanie z innymi nadal pozostaje wielką niewiadomą. Że mogą istnieć rasy mniej dobrotliwe. A wreszcie zapytajcie zainteresowanych. Reprezentujemy tu niemało różnych specjalności... ale tylko je reprezentujemy. Poradźcie się swoich instytutów, sztabów, Rady Naukowej... co do mnie, będę spał spokojnie. Ja znam ich

odpowieź...

Bess umilkł. Milczenie przeciągało się. Przerwał je wreszcie wysoki głos Arii:

– Nie rozumiem, nad czym myślicie – wy – dyszała. – To jasne jak słońce, że trzeba zrobić tak, jak chce Ago!

Głowy obecnych poruszyły się.

– Powinnaś wiedzieć – odezwał się Semow – że są słońca mniej i bardziej jasne... a co do myślenia, nie zaszkodziło ono jeszcze nikomu... chociaż rozumiem – dodał ze znaczącym uśmiechem – że w pewnych sytuacjach... może nawet nie powinno się myśleć zbyt jasno? Nie pamiętam. Chyba jestem już na to za stary...

Rozległo się kilka przytłumionych szeptów. Ktoś zaśmiał się krótko. Aria zaczerwieniła się tak, że białka jej oczu wydały się bielsze od śniegu. Uśmiechnąłem się i ja.

– Nie powinniście tego lekceważyć – powiedziałem, szukając wzrokiem Lany. Znalazłem ją tuż obok masywnej sylwetki Barcewa. – Za pierwszym razem, kiedy znaleźliśmy tutaj przekaźnik, porzucony przez obcych, okazało się, że reaguje on także, jeśli nie przede wszystkim, na stan naszych uczuć. Prawda, Lana?...

Tym razem zaśmiało się już kilka osób. Nawet twarzyczka Arii nieco złagodniała. Semow wstał. Było to jakby hasło do zakończenia naszego drugiego już w ciągu tej doby „plenarnego” spotkania.

– Poczekasz u siebie? – upewnił się Bess, patrząc na mnie surowym wzrokiem.

– Tak. Dajcie mi znać, kiedy ustalą termin tego... seansu, jeśli do niego dojdzie. Muszę się przygotować. Umyć, uczesać, ubrać w najmodniejszy kombinezon. Chciałbym wyglądać ładnie jako poseł obcych, przemawiający do Ziemi. To należy się jednym i drugim. A poza tym odkryłem właśnie w sobie wadę, której dotąd nie znałem. Jestem próżny. Chcę się podobać...

Albo potraktowali to moje ostatnie oświadczenie zbyt serio, o co mimo wszystko trudno ich było podejrzewać, albo też po prostu nie potrafili inaczej. Dość, że owe „przygotowania” przeszły wszystko, czego mogłem się spodziewać. Minęło zaledwie dziesięć dni, a na Petty pojawiła się liczna ekipa telekomunikacyjna. Kiedy dowiedzieli się, że w czasie ich lotu kilkakrotnie jeszcze obcy przekazywali mi informacje o sobie, oraz że ich sygnały zostały przechwycone przez aparaturę SAO, a więc stały się uznanym faktem, ich zapał przeobraził się w euforię. Zaczęli od tego, że wyrzucili mnie z mojego statku. Spektakl zapowiedziano na sobotę wieczór, czasu europejskiego. Miał być retransmitowany przez wszystkie ziemskie stacje holowizyjne, bez względu na geografie i związane z nią różnice pory dnia lub nocy na różnych kontynentach.

W sobotę rano zaczęli próby. Najpierw bez mojego udziału, potem, niestety, uznali moją obecność za niezbędną. Nie przestawałem wprawdzie odnosić wrażenia, że im przeszkadzam i najchętniej załatwiliby wszystko beze mnie, ale biegali tak gorączkowo, z takim przejęciem przenosili jakieś zastawki, instalowali płyty pogłosowe, najróżniejsze miksery trikowe, tak żwawo nawoływali się nawzajem, że nie powiedziałem im słowa. Po raz pierwszy w życiu czułem się zagubiony i bezradny jak dziecko. Kiedy reżyser, wysoki, szczupły blondyn o przygasłym spojrzeniu i niesłychanie ruchliwych dłoniach, zaczął mną tyrpać po kabinie, zawalonej najrozmaitszymi sztucznymi gwiazdozbiorami, mgławicami, krążącymi kryształowymi kulami i licho wie czym jeszcze, oładnęła mną nagła myśl, że nadszedł koniec. Że mogłem zmieniać się z człowieka w kosmatego potwora, lecieć do innych mgławic, wracać, zanim wyleciałem, uciekać ze stacji SAO, służyć obcej rasie kosmicznej jako szpieg i przekształcić się potem w ich skrzynkę kontaktową, ale z rąk tych tutaj nie wyjdę już żywy. Spokorniałem, stałem

Się mały, niezgrabny, wszystko leciało mi z rąk, nie byłem w stanie wykrztusić jednego sensownego słowa. Na próbie stłukłem kamerę, przewróciłem fragment dekoracji, wypłem herbatę, którą przygotował sobie asystent reżysera, za co zostałem zrugany od ostatnich, wreszcie zgubiłem kopię scenariusza, gdzie były wielkimi literami wypisane słowa, od których miałem zacząć. Bo przygotowali jakiś wystrzałowy wstęp do programu, chodziło tylko o to, żebym nie zepsuł efektu, otwierając usta ułamek sekundy za wcześniej albo za późno. Byłbym uciekł, ale mnie pilnowali.

Wreszcie wszystko się trochę uspokoiło. W mojej kabinie pozostało ich zaledwie trzech, wciśniętych w zakamarki między pulpitemi a dekoracjami. Ktoś poinformował mnie, że Ziemia jest już na podglądzie. Nie wiedziałem, dlaczego podglądają Ziemię, chociaż rzecz polega na tym, żeby to właśnie Ziemia nas widziała, ale siedziałem cicho. Za moment ten sam głos oświadczył, że do rozpoczęcia programu zostały dwie minuty. Zapalono światła. W ich blasku przestałem widzieć. Dopiero po chwili ujrzałem jakiegoś dryblasa, a właściwie tylko jego rękę, wysuniętą zza lustra, pod którym biegły fioletowe tasiemki z wszytymi w nie płonącymi gwiazdami. Trzymał w niej chorągiewkę. Nikt mi tego nie powiedział, ale kiedy ta ręka wraz z ową chorągiewką wykonała gwałtowny zamach, zrozumiałem, że seans się zaczął. Skupiłem całą uwagę na tym, żeby rozpocząć we właściwym momencie. Kopii scenariusza nie dostałem, powiedzieli, że nie mają już żadnego rezerwowego egzemplarza. Słyszałem jakieś grzmoty, wycie wiatru, huk gazu wylatującego z dyszy startujących rakiet, przetłumaczone na języki dźwięków promieniowanie gwiazd... Niebawem do tego wszystkiego dołączyła się muzyka. Była fascynująca, posępna i ogromna. Czuję, że moje ciało pokrywa się gęsią skórą. Jakiś głos recytował coś, czego nie rozumiałem. W pewnej chwili umilkł. Przez moment trwała cisza, po czym nagle coś gruchnęło i w tym samym ułamku sekundy ujrzałem w jednym z ustawionych w kabinie zwierciadeł swoją własną twarz. Przyjrzałem się jej uważnie. Tak, to byłem ja. Kątem oka pochwyciłem ruch po przeciwnej stronie tego samego lustra. Facet z chorągiewką, wychylony tak, że niemal unoszący się poziomo w powietrzu, dawał mi jakieś rozpaczliwe znaki.

Wtedy pojąłem, że to już. Że na mnie patrzą. A równocześnie, jakimś cudem wróciła mi świadomość tego, co tutaj robię... co mam zrobić. Jeszcze sekunda i mogłem się uśmiechnąć. Kabina z jej cudeńkami, muzyka, głosy, lustro, wszystko to zniknęło. Pomyślałem o tych, którzy teraz za moim pośrednictwem przedstawiają się Ziemi. Przypomniałem sobie ten spokój, który mną owładnął, kiedy po raz pierwszy poczułem przepływający przeze mnie strumień ich emisji. Przeszło mi przez myśl, jakby to było pięknie, gdyby właśnie teraz moje wystąpienie zbiegło się z ich kolejnym seansem. Niestety, milczeli. Ale byłem już tak spokojny, jak wtedy. Wróciła mi jasność myśli i zdolność formułowania zdań. To co miałem do powiedzenia, samo ułożyło się w logiczne, związane treścią warstwy. Uśmiechałem się nadal. Poprawiłem się w fotelu i, uśmiechnięty, zacząłem mówić...



Po kliknięciu nastąpi przeskok do nagłówka

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#00006C', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do części 7

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#6C3800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```

Po kliknięciu nastąpi przejście do początku, do części 1

```
', ABOVE, RIGHT, FGColor, '#004800', BgColor, '#00FFFF', TEXTColor, '#FFFFFF')" onMouseOut="nd();">
```